

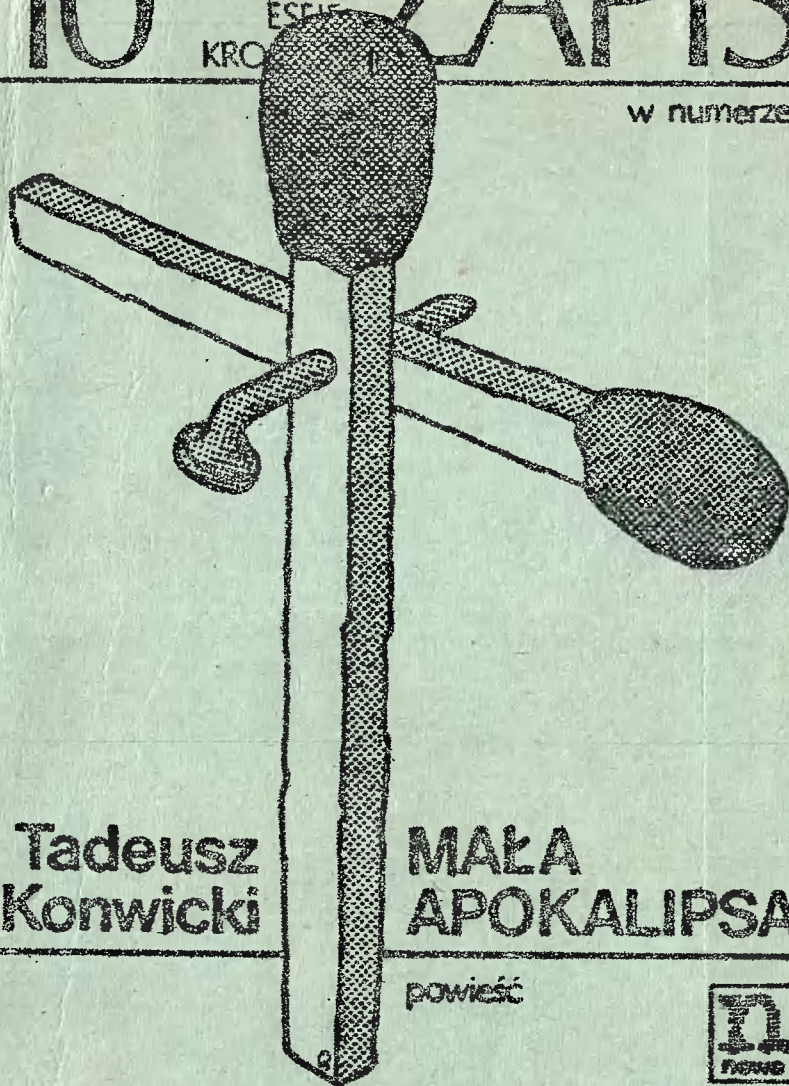
kwiecień 1979

10

PROZA  
POEZJA  
ESEJE  
KRO

ZAPIS<sup>®</sup>

w numerze:



Tadeusz  
Konwicki

MAŁA  
APOKALIPSA

powieść



**ZAPIS nr 10**

**TADEUSZ KONWICKI**

**MAŁA  
APOKALIPSA**

Copyright by TADEUSZ KONWICKI

Warszawa 1979r.

Oto nadchodzi koniec świata. Oto nadciąga, zbliża się, czy raczej przypieka mój własny koniec świata. Koniec mego osobistego świata. Ale zanim mój wszechświat rozpadnie się w gruzy, rozsypie na atomy, eksploduje w próżnię, czeka mnie jeszcze ostatni kilometr mojej Golgoty, ostatnie okrażenie w tym maratonie, ostatnich kilka szczebli w dół albo w górę po drabinie bezsensu.

Zbudziłem się o tej mrocznej godzinie, która zaczyna beznadaziejny dzień jesienny. Leżę i patrzę w okno pełne chmur, a właściwie pełne jednej chmury, jak szarzała ze starości tapeta. To jest godzina podliczania kasy życiowej, godzina codziennego obrachunku. Kiedyś ludzie podsumowywali się o północy, przed ciężkim zaśnięciem, teraz biją się w piersi nad ranem obudzeni koskotem zdychającego serca.

Obok, w szafce, leży czysty papier. Nitrogliceryna współczesnego literata, proszek narkotyczny obolałego indywiduum. Można zanurzyć się w płytką białą czelusć stronicy, schować się przed sobą i przed prywatnym wszechświatem, który już niedługo eksploduje i szeeźnie. Można tę biel bezbronna zbrukać zią krwią, wściekłym jadem, suchnącą flegmą - a tego nikt nie lubi, nawet sam autor. Można na tę biel bezmyślną wysączyć śródzyc sztucznej zgody, ambrozię fałszywej otuchy, kłiwly syrop pochlebstwa - a to wszyscy lubią, nawet sam autor.

W którą stronę skrócić na tym ostatnim okrażeniu?

W gorzkie lewo czy w słodkie prawo? Za oknem ta sama chmura, albo kolektwy ujednoliconych chmur. Przelatują po zardzewiałym paraspecie deszcz na długich, cienkich nogach. Coś tam kiedyś było. Gwałtowny ruch kształtów, barw, okruchów emocji. Moje życie, albo cudze. Najpewniej jakies wymyślone. Ulepiec z lektur, niespełnień, starych filmów, niedokończonych rojeń, zasympsonowanych legend, niewysnionych snów. Moje życie. Kotlet z białka i kosmicznego pyłu.

W tej chmurze albo w tych kilku scalonych chmurach jesiennych nurza się Pałac Kultury, który kiedyś, za młodu, był Pałacem Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. Ogrzewna, szpiczasta budowla budziła strach, nienawiść, magiczną zgrozę. Pomnik pychy, statua niewolności, kamienny tort przestrogi. A teraz to tylko wielki barak, postawiony na sztorc. Złarty przez grzyb i pleśnię, stary szaleet zapomniany na środkowoeuropejskim rozdrożu.

Mruka do mnie kilkoma wątlými płomyczkami okienek. Kokietauje z oblesną poufałością. A kto mnie postawił na sztorc? Mnie położono na boku. Odłożono na bok. Leżę na lewym boku i szucham swego serca, którego nie słychać. I myślę o tym wątlým fałcuszku reakcji chemicznych, który powoduje, że unoszę powłokę, że burczy mi w żołądku, że marszczy się skóra na czole, że skwierczy stłumionym bólem ordynarny pecherz. że w głowie albo poza głową odbywa się ruch słów, wyobrażeń, które nazywamy myślami, że pojawia się obłok fal, który jest tesknota albo spazmem nienawiści, że wystrzeliwiuje w przestrzeń kosmiczną pochławkę leku przed wiecznym nieznanym albo nabój rozkoszy poznania okrucu prawdy. U wielu moich przyjaciół pełk nagle jednego dnia ten fałcuszek reakcji chemicznych i nie wiem, gdzie oni teraz są, czy pokutują przy garści fosforu wietrzejącej w ziemi omentarnej, czy oddalają się w konwulsjach drgań właściwych falom, czy pedną w głąb nieskończoności i odbijają się od czarnej ściany końca tej nieskończoności i wrócą tu, gdzie już mnie nie będzie.

W domu słychać pierwsze odgłosy życia. Ta wielka lokomobila w postaci czynszowej kamienicy rusza powoli w codzienność. Więc i ja sięgam

po pierwszego papierosa. Najsmaczniejszy jest ten papieros przed śniadaniem. Skracam życie. Od wielu lat mozolnie skracam sobie życie. I wszyscy ukradkiem skracają swoją egzystencję. Coś w tym musi być. Jakiś wyższy nakaz albo może prawo natury przeludnionego globu.

Lubię ten mglisty zawrót głowy po mocnym zaciągnięciu się gorzkiem dymem. Chciałbym się godnie pożegnać ze światem. Be ja od dziecka rozstaje się z życiem i nie mogę rozstać. Marudzę na przejazdach kolejowych, chodzę pod ścianami, gdzie spadają dachówki, upijam się do utraty przytomności, napastuję chuliganów. I tak zbliżam się już do mety. Jestem na finiszowym odcinku. Chciałbym jakoś pożegnać się z wami. Pragnę zawayć nieludzkim głosem, żeby mnie usłyszano w najdalszym zakątku planety, a może nawet w sąsiednich gwiazdozbiorach, a może nawet w siedzibie Pana Boga. Czy to próżność? Czy to obowiązek? Czy to instynkt, który, jak rozbitkom, jak rozbitkom kosmicznym, każe nam krzyknąć przez wieki w rozgwieźdżoną przestrzeń.

Spoufaliliśmy się z wszechświatem. Kosmosem wyciera sobie gębę sprzedajny poeta, głupkowaty humorysta, zdradziecki dziennikarz, więc dlaczego i ja nie mogę zadzierać głowy do góry, gdzie zrybują zarzewia sputniki i zamarnięte na kość odchody kosmonautów.

Więc chciałyby się jakoś pożegnać. Całą noc śniłem zęby. Trzymałem w garści kupę zębów, jak ziarna kukurydzy. W jednym tkwiła nawet pomba, warzawska tania pomba ze spółdzielni dentystycznej. Coś powiedziec o sobie do końca. Ani ku przestrodze, ani ku nauce, ani nawet ku rozrywce. Po prostu coś powiedzieć, czego nikt inny nie może wyjawic. Bo ja przed snem, albo może w pierwszym przelotnym obłoczku snu, zaczynam rozumieć sens egzystencji, sens czasu i sens bytu poza życiem. Rozumiem tę tajemnicę przez ułamek sekundy, przez mgnienie dalekich wspomnień, przez krótką chwilę kojących albo ztrasznych przeczuć i natychmiast spadam na kamieniste dno złych snów. Wszyscy z jako tako ukrwionym mózgiem napinają ostatek ził, żeby zrozumieć. A ja jestem blisko. To znaczy bywam blisko. I oddałbym co posiadam, do ostatniej okruszyny, a przecież nic nie posiadam, więc oddałbym wszystko nic, żeby zobaczyć tajemnicę w całej jej prostocie, zobaczyć za jednym razem i zapamiętać ją na zawsze.

Jestem dwunogiem urodzonym nie opodal Wisły przez starych rodziców, to znaczy, że odziedziczyłem w genach całe ich dwunożne doświadczenie. Sam widziałem wojnę, to znaczy straszny smok szaków, które mordują się wzajemnie aż do ostatecznego wyczerpania. Obserwowałem rodzenie się życia i jego kres w postaci tego aktu, który nazywamy śmiercią. Poznałem całą zwierzęcość swego gatunku i całą niezwykłą anielskość. Przeszedłem tę ciernistą drogę pojedynczej ewolucji, którą zowią losem. Jestem jednym z was. Jestem doskonałym anonimem homo sapiens. Dlaczego więc kaprys przypadku nie miałby mnie zawierzyć tajemnicy, jeśli w ogóle jest przesnaczone jej ujawnienie.

To, co powiadam, wygląda na jakąś odświętność, na luksus nieroba, albo na dewiację zbrocenca. Ale przecież wy wszyscy, którzy uruchamiać od czasu do czasu swoje leniwe zwoje mózgowe, podlegacie takim samym strachom i odruchom samozagłady. Takim samym buntem i rezygnacjom.

Dwie pijane roznosicielki obaliły wysoką kolumnę skrzynek z butelkami mleka. Teraz zamarie w bezruchu obserwują skutki kataklizmu przeżywając skomplikowany, a zarazem prosty proces transformacji grozy w lekkomyślne rozradowanie. Przewroczyły deszcz zaważdził skrzydłem o nasz dom truchlejący ze starości. O nasz warszawski dom z epoki późnego stalinizmu, z ery dekadentckiego stalinizmu, z okresu spolszczonego i zeszmaczonego stalinizmu.

Trzeba wstawać. Trzeba podnieść się z łóżka i wykonać piętnaście czynności, nad których sensem nie wolno się zastanawiać. Narosił automatycznych przyzwyczajęń. Biogozławiony rak bezmyślnego ładu tradycji. Ale ostatnia wojna nie tylko zabiła kilkadziesiąt milionów ludzi. Ostatnia wojna zdruzgotała niechcąco i przypadkowo wielki pałac kultury

europiejskiej moralności, estetyki i obyczaju. W rolls-royce'ach, mercedesach i moskwiczach ludzkość wjechała z powozem do mrocznych pieczar i lodowatych jaskiń.

Za oknem moje miasto pod chmurą, jak stara szczerbiona tapeta. Miasto, do którego zapędziło mnie przeznaczenie z mojego własnego miasta, co go już nie pamiętam i coraz rzadziej śnię. Los mnie przegnał tylko kilkaset kilometrów, ale oddalił od niespełnionej egzystencji o całą wieczność reinkarnacji. To miasto jest stolicą narodu, który wyparowuje w nicosć. O tym też trzeba powiedzieć. Ale komu? Czy tym, których już nie ma albo którzy odchodzą w niepamięć? A może tym, co pożerają pojedynczych ludzi i całe narody?

Miasto zaczyna szumieć, jak pas transmisyjny. Ruszyło z nocnego targu. Ruszyło ku swemu przeznaczeniu, które ja znam i któremu chce zapobiec.

Pająk zjeżdża na niewidocznej nici spod sufitu. Schudł biedak, zmierzniał, bo much coraz mniej. Współżyje tak ze mną od wiosny. Ułatwiałem mu swego czasu polowanie. Zaprzyjaźniliśmy się z konieczności. On czemuś nie ma kolegów, a moi wyeksplowali.

Więc najpierw się pomodlę. Za siebie, za bliskich i za zmarłych przyjaciół. Moja modlitwa, ułożona praktycznie i spójnie przeze mnie, wygląda jak płacziwe ultimatum. Same żądania i niewiele kurtuazji. Kiedy się modlę, płożliwe bluźniercze myśli pobrzykują wokół głowy. Odpędzam je gorliwie, choć one tylko przymierzają moją skromną wiedzę do ogromnej i staroswieckiej konstrukcji aksjomatów religijnych inkrostowanych w to pęseppne i melancholijne tmaszyisko wzniesione przez ludzi z epok świątliwych i ciemnych, dobrych i okrutnych. Potem dżungo się żegnam, rozpaczliwie żegnam się bez końca, żeby tym gestem rytualnym odpedzić złe myśli, złe pragnienia i złe duszy.

Jestem wolny. Jestem jednym z niewielu ludzi wolnych w tym kraju przeczroczystego zniewolenia. Zniewolenia pokrętego niechlujnie lakierem nowoczesności. Walczyłem długo i bezkrwawo o tę marną wolność osobistą. Walczyłem o moją wolność z pokusami, z ambicjami i z głodami, które wszystkich gnają na osłęg ku rzeźniom. Ku niby nowoczesnym rzeźniom godności ludzkiej, honoru i czegoś tam jeszcze, o czym dawno zapomnieliśmy.

Jestem wolny i sam. Bo samotność jest dosyć niską ceną za ten mój niewielki luksus. Wyzwoliłem się na ostatnim okraśnieniu, kiedy już gołym okiem widać mete. Jestem wolnym anonimem. Moje wloty i upadki odeszły w czapkach-niewidkach, moje sukcesy i grzechy pożeglowały w korwetach-niewidkach i moje filmy oraz książki poleciały w przepaść w sejfach-niewidkach. Jestem wolnym anonimem.

Szapną sobie wobec tego jeszcze jednego papierosa. Na pusty żoładek. Oto nadchodzi mój koniec świata. To wiem na pewno. Mój przedwczesny koniec świata. Kto będzie zwiastunem? Czy nagły przesywający ból pod mostkiem w piersiach? Czy przeraźliwy wizg opon hamującego samochodu? Czy wróg, a może przyjaciel?

A te baby za oknem ciagle jeszcze omawiają katastrofę z mlekiem. Przysiadły sobie na zabytkowych pojemnikach z ciemnoszarego plastiku, zapaliły papierosa i obsarwują, jak wodniste mleko ścieka do ulicznej studzienki, z której bucha para, bo pewnie znova przez pomyłkę do rur wodociągowych puszczono gorącą wodę z elektrociepłowni. I nagle uświadamiam sobie, że już od lat nikt nie różnosi mleka, że taki widok robotnych bab w nieokreślonym wieku pchających wózki z butelkami mleka, że taki widok już dawno zapominałem, że ten obrazek kojarzy mi się w mojej świadomości z dawnymi laty, kiedy ja byłem młody i świat był młody.

Pewnie kręca film kostiumowy, myślę sobie i przytykam czoło do wilgotnej szyby. Ale za oknem normalna, codzienna zabłocona ulica. Niewielkie tłumki ludzi śpieszą pod ścianami domów do swoich zajęć. Z Pałacu Kultury, jak zwykle rano, kiedy warstwa temperatura, odrywa się zmurszały blok kamiennej okładziny i leci z hukiem na dół po szczerba-

tych żlebach budowli. Dopiero teraz spostrzegam na ścianie tego gmachu wielkiego oria na czerwonym tle, to znaczy na czerwonym, ale szerniałym od deszczu. Biały nasz orzeł trzyma się nieźle, bo od spodu wspiera go ogromna kula ziemską oplecioną ciasno sierpem i młotem. Jakaś rytna odzywa się głębokim głosem okaryny. To wiatr, może jeszcze letni, a może już zimowy gna z Placu Defilad i obraca topole srebrną stroną do słońca, które uwieźło w mokrych chmurach.

Skończyły się papierosy. A jak się skończą papierosy, wtedy ogarnia człowieka raptowna chęć zaciągnięcia się dymem. Więc otwieram kolejne szuflady mojego skarbca, w którym chowam obelżywe listy i stare rachunki, popsute zapalniczki i kwity urzędu finansowego, fotografie z młodości i proszki nasenne. A tu między kłakami waty i rolkami bandaży z dawnych dobrych czasów, kiedy jeszcze opłacało mi się poddawać operacjom, więc w tym omszałym starościanym zakamarku znajduję zdołką stronę sprzed wielu lat, stronę jak kartusz pomnika albo jak płyta nagrobna, stronę, na której kiedyś rozpocząłem nową prozę nigdy już nie dokończoną. A rozpoczynałem pracę w owej świetnej epoce na Nowy Rok, zaraz po Sylwestrze, jeszcze z miłym kacem pulsującym w zdrowej głowie. A rozpoczynałem na Nowy Rok dlatego, że holdowałem wtedy przesadom i chciałem nowy cykl biologiczny i astronomiczny uczcić pracą. Później zrozumiałem, że mój własny Nowy Rok zaczyna się w końcu lata albo na początku jesieni i dlatego pewnie przerwałem pisanie i nigdy już więcej nie napisałem ani słowa.

Więc leżała ta kartka, dawniej biała, dziś żółta, przez długie miesiące, kwartały i lata niedokończona, niezapełniona, z wyblakłym mottem, co miało błogosławić rzewnym scenom, podniosłym myślom i ślicznym opisom przyrody. Zdmuchuję proch warszawskich fabryk z tego woskowego trupa mojej wyobraźni i czytam słowa, które były dewizą życiową starego magnata polskiego z XIX wieku: "Jeżeli interesy Rosji na to pozwalają, chętnie zwracam uczucia ku swojej pierwotnej ojczyźnie". O co mi wtedy chodziło? Czy chciałem każdego ranka, na czczo, odczytywać to wyznanie swoim dzieciom? Czy zamierzałem rozesać je na świątecznych kartkach do współczesnych sobie magnatów nauki, literatury albo filmu? Czy próbowałem pozyskać względy cenzora dla prozy umarłej już w żołyisku anemicznego natchnienia?

Szyby w oknach brzęknęły boleśnie. Wyskoczył gdzieś z przecznicy historyczny sygnał wozów milicyjnych. Spojrzałem na zegarek przywieziony mi kiedyś przez przyjaciela Stanisława D. z wycieczki do Związku Radzieckiego. Dochodziła ósma. Wiedziałem, co to znaczy. Jak codziennie o tej porze pędziła przez miasto w asyście karettek milicyjnych pancerna chłodnia z artykułami żywnościowymi dla ministrów i sekretarzy partyjnych. Kawalkada maszyn przeleciała pod moim domem rozbrzygzując kałuże mleka na jezdni. Archaiczne młeczarki, wydobyte na ten dzień z jakiegoś domu starców, zadeptywały pety w błocie chodnika żegnając się ukradkiem.

Nagle odezwał się gong przy moich drzwiach. Zamarłem koło okna nie wierząc własnym uszom. Byłem przekonany, że to urządzenie nie funkcjonuje już od wielu lat. Ale wytowny dźwięk ksylofonu powtórzyl się natarczywiej. Wciągając na grabiet stary szlafrok, prezent od szwagra, Jana L., ruszyłem czujnie pod próg. Uchyliłem drzwi. Na podściele schodów stali Hubert i Rysio, obaj w odświętnych garniturach pamiętających środek pogodnych lat siedemdziesiątych. Hubert w prawej ręce trzymał laske, a w lewej groźnie wyglądająca czarna teczkę. Zaczęło mi bić szybko serce i nie bez powodu, bo obaj przychodzili do mnie jakieś dwa razy do roku i każda ich wizyta oznaczała radykalne zmiany w moim życiu.

- Można. Nie za wcześnie? - spytał jowialnym tonem Hubert.

Znałem dobrze te ich sztuczne uśmiešky, za którymi krył się cios wymierzany w moją wygodę.

Uśmiechnąłem się też swobodnie, rozwarłem gościnnie drzwi i kiedy wchodzili ceregielując się do korytarza, ja błyskawicznie w myślach odgadywałem cel ich odwiedzin. Dzięki nim podpisałem dziesiątki pe-

tycji, memoriałów i protestów kierowanych przez lata do naszego mą-  
 zomównego w tym względzie reżymu. Kilka razy traciłem pracę, wiele  
 razy byłem cichcem pozbawiony praw obywatelskich, prawie codziennie  
 podlegałem jakimś drobnym, niewidocznym szykanom, o których wstyd  
 nawet wspominać, ale które zsumowane przez lata, mocno zniechęcały  
 do życia. Więc ścisaliśmy się kordialnie przepychając się w cias-  
 nym korytarzu, ciągle z tymi uśmiezkami starych kumpłów, ale ja już  
 byłem dobrze napięty i zasychało mi w gardle.

Wreszcie znaleźliśmy się w moim pokoju i usiedliśmy w drewnianych  
 fotelach, w jednym rzędzie niczym w samolocie lecącym ku nieznanym i  
 podniecającym przylądom.

- Dobrze wyglądasz - rzekł Hubert stawiając obok siebie tę zio-  
 wróbną teczkę.

- Tobie też niczego nie brakuje - powiedziałem życzliwie. Chwilę  
 przyglądaliśmy się sobie ze skrepowaniem. Hubert opierał żyłaste dło-  
 nie na łasce. Osłepłe oko było nieruchome, drugie zmrużył i przyglą-  
 dał mi się ni to przyjaźnie, ni to ironicznie. Kiedyś w zamierzonych  
 czasach został skatowany może przez podziemie antykomunistyczne, a  
 może przez oficerów śledczych z Bezpieczeństwa i od tego zapomniane-  
 go już przez wszystkich incydentu chodził zawsze o łasce i szwanko-  
 wał na zdrowiu. Rysio, którego pamiętam jeszcze jako złotowłosego a-  
 niolka, był teraz przytępłym łysawym blondynem, kapłanem afabularnych  
 powieści bez znaków przestankowych i bez dialogów.

Dobrze wyglądał, jak na starych przyków, to fakt. Ale ta pauza  
 milczenia trochę się przedłużała i należało coś powiedzieć.

- Może napijecie się kielicha?

- Kielich nie zaszkodzi - rzekł Hubert. - A co masz?

- Czysta. Kartoflana. Z importowanych kartofli.

- To tym bardziej nie można odmówić - głos Huberta był tubalny,  
 jakby ustawiony na większe pomieszczenie niż mój zagracany pokój.

Kiedy wydobywałem z szafki flaszkę i kielichy, obaj z Rysiem roz-  
 glądali się dyskretnie po pokoju. Zabulgotał płyn z importowanego  
 surowca, przycupnąłem na brzeżku fotela. Papieros na czczo to niez-  
 drowo, ale seta kartoflanki to po prostu śmierć. Może i lepiej. Unio-  
 słem kieliszek do góry.

- Za pomyślność.

- Twoje zdrowie - odezwał się wreszcie Rysio i szybko przełknął  
 zawartość kieliszka.

Za oknem ucichł na chwilę wiatr i topole obróciły się dojrzałą so-  
 lidną zielenią w naszą stronę. Dom był, jak na złość, wyjątkowo ci-  
 chy i nasze milczenie stawało się coraz głośniejsze. Ale postanowi-  
 łem twardo nie odzywać się i zmusić ich do odkrycia kart.

Hubert odstawił z rozwągą kieliszek.

- Mało wychodzisz z domu - powiedział.

- A tak. Jesień mnie rozstraja.

- Depresyjka?

- Chyba coś w tym rodzaju.

- Piszesz coś?

- Właśnie rozpecząłem.

Przyglądał mi się jakby z niedowierzaniem. Rysio nalał sobie na-  
 stępnego dzioba.

- I co to będzie?

- Nic rewelacyjnego. Przyszła mi ochota napisać trochę głupstw o  
 sobie.

- Zawsze pisałeś o sobie.

- Może masz rację. Ale chciałem o innych.

- Najwyższa pora.

- Żeby się zagłuszyć.

Wszystko to wyglądało na egzamin. I ja czułem się jak maturzysta.  
 Ale przecież całe życie czułem się jak maturzysta, najwyżej student.

- No co, Rysiu - rzekł kaptem Hubert. - Czas chyba przystąpić do  
 rzeczy.



Rysio skinał głową.  
- Coś podpiaszemy? - odgadywałem uszuźnie zarkając na czarną teczkę?

- Nie, tym razem mamy inną sprawę. Może ty, Rysiu, zaczniesz?

- Mów, mów, skoro zacząłeś - powiedział skwapliwie Rysio.

Jakieś głupkowate ciepło rosło we mnie. Machinalnie sięgnąłem po butelkę, Chciałem przy okazji nalać Hubertowi.

- Dziękuję. Wystarczy - powstrzymał mnie jakby odrobine oficjalnie. A ja pomyślałem, że to niedobry znak.

Właściwie wszystko mi jedno. Jestem wolnym człowiekiem, który zawist wysoko nad tym miastem i z odłali z łagodnym zdumieniem przygląda się dziwnym ludziom oraz ich dziwnym poczynaniom. Bezmyślnie włączyłem stojący na stole telewizorek. Odszwało się wycie wiatru, łopot jakichś płócien, a po chwili wypłynął ze srebrzystego punkciku obraz urczywiście udekorowanego lotniska. Kompania honorowa marża w poprzek ekranu, jacyś cywile osianiali się palcówkami przed wiatrem, a nad tą kompanią i nad cywilami wzdymały się jak żagle czerwone flagi przetkane gódcienięgódzie, jakby wstydliwie, białoczerwonymi sztandarami.

- Właśnie - zdecydował się przerwać milczenie Hubert,

- Dawno z tobą nie rozmawialiśmy.

Oddechnąłem wstydzając się tego odetchnięcia. Siadłem głębiej w fotelu.

- Tak. Tracimy ze sobą kontakt - powiedziałem tonem światowca. - A coż nas mniej.

- Każdy sobie rzepkę skrobie - dodał Rysio.

- Ale ja obserwuję waszą działalność.

- Jaka tam działalność - machnął ręką Hubert. - Podtrzymujemy tła-cy się pływok.

- To fakt. Mam wrażenie, jakby ten kraj naprawdę umierał - rzekłem nie wiedząc, do czego zmerzają.

- Tyle lat szarpaniny. Zestarczałem się, skapcenieliśmy wydając te nasze półlegalne biuletyny, periodyki, odeszły, które mało kto czyta. Owszem, młodzież. Ale młodzież żeni się, płodzi dzieci, kupuje małego fiata, wydzierała działeczkę, sadzi pomodory. Zalewa nas mieszczaństwo, sowieckie mieszczaństwo.

- Koniec. Mogiła - dodał Rysio nalewając sobie kielicha.

Przez mieszczelne drzwi balkonowe sączy się na podłogę woda. Powinienem znaleźć ścierkę i zapobiec szkodzie, ale trochę mi się nie chce, a trochę się wstydzę kolegów. Ciężko nam idzie ta mowa. Niesporo gładzić o sprawach, o których myślimy cały Boży dzień, o których nawet śnimy w kiepskie noce. Kiedyś wyglądało to lepiej. Byliśmy dziećmi XIX wieku. Ojcowie nasi należeli do Legionów albo do POW, my byliśmy w AK albo w ZWZ-ie. To znaczy, jak to dziś powiedzieć, to znaczy, jak to po latach objaśnić, to znaczy, to nic nie znaczy, do diabła, w końcówce naszego wspaniałego XX wieku, wieku tyranii i rozpasanej demokracji, głupkowatej świętości i genialnego łajdactwa, skapceniowej sztuki i rozwydrzonej grafomanii.

Widzę utkwione we mnie zdrowe oko Huberta.

- Słyszysz? - pyta.

- Tak, oczywiście.

- Chcemy ci coś zaproponować. W imieniu kolegów.

Czuje jakiś móżdż na plecach. Odstawiam bardzo wolno nie dopity kieliszek.

- Co chcecie zaproponować?

- Żebyś dziś o ósmej wieczorem spalił się pod gmachem centralnego komitetu partii.

W obrazie telewizora nic się nie zmieniło. Wiatr, gwałtowny łopot flag i oczekiwanie. Dopiero teraz wysuępuje się muzyka nadawana ze studia, czcigodna i uroczysta.

Przeżytkam ciężko ślinę zmieszaną z wodką.

- żartujesz, Hubert?
- Nie. Nie żartuję - i ociera z czoła niewidoczny pot.
- Ale dlaczego ja? Dlaczego do mnie z tym przychodzić?
- No a kto? Ktoś musi to zrobić.
- Rozumiem, wszystko rozumiem, tylko nie rozumiem, dlaczego ja?

Hubert spogląda na Rysia.

- Mówiłem, że tak będzie.

Rysio patrzy na podłogę.

- Słuchaj - odzywa się wreszcie z męką - myśmy długo rozmawiali. Przeanalizowaliśmy wszystkie kandydatury. Wyszło na ciebie.

Na oknie stoi moje drzewko szczęścia. Dopiero teraz widzę, jak wybujało ostatnio, jak obrośło w młode, silne listki. Tyle lat cherlaka, a teraz nagle bez żadnej zewnętrznej przyczyny śmignęło w górę, puściło na boki wiele mocnych węzlastych gałązek.

- Widzisz - powiada cicho Hubert - taki czyn będzie tylko wtedy miał sens, jeśli wstrząśnie ludźmi tutaj w kraju i wszędzie za granicą. Jesteś znany naszym czytelnikom, a i na Zachodzie gdzieś tam się słyszało o tobie. Twój życiorys i twój charakter jak najbardziej pasują do tej sytuacji. Oczywiście my ciebie nie możemy namawiać i nie będziemy tego robić, to jest twoja sprawa i twego sumienia. Chcę ci tylko przekazać opinię nie tylko moją czy Rysia, ale całej tej społeczności, która próbuje walczyć. Wybac, że nie użyję większych słów.

- Mam wątpliwości, czy moja śmierć spełni tę rolę, jakiej się po niej spodziewacie. Ja widzę takich, których ta ofiara uczyniłaby symbolem na miarę światową.

Popatrzyli na mnie z ciekawością. Hubert rozcierał uporczywie śniejące palce.

- Pewnie myślisz o Janie? - spytał.

- A chociażby. Jego filmy zna cały świat i jego książki są czytane w wielu krajach na prawach uniwersalnej literatury. Co roku czekamy z bicielem serca, że zostanie nagrodzony Oscarem albo Noblem.

Hubert uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

- To za duży koszt, za duża cena dla tego kraju i tej społeczności. Sam sobie odpowiedziałeś.

- Dobrze. A nasi filmowcy, a nasi kompozytorzy. Mogę zaraz wymienić kilka nazwisk godniejszych ode mnie.

- Ty jesteś w sam raz, stary - powiedział Rysio i sięgnął po butelkę. Odczuł widać, że siabnę, nabrał nowej otuchy.

- Życiem i krwią trzeba szafować rozsądnie - odezwał się zmęczonym głosem Hubert. - Oni mają do spełnienia inną rolę. W tym zmasakrowanym narodzie każdy samorodek geniuszu posiada najwyższą cenę. Ich śmierć niewiele by nas wzbogaciła i straszliwie zubożyła.

- A dlaczego nie ty, Rysio?

Spojrzeli na siebie z niesmakiem. Zawstydziło ich moje marzagtwo.

- Po cóż mielibyśmy wtedy do ciebie przychodzić? - spytał Hubert - Powiedzmy sobie otwarcie: twoja śmierć jest o całą skalę bardziej spektakularna. Czy tego nie rozumiesz?

- Stary, ty jesteś w sam raz - dodał Rysio, który miał miękkie serce i męczył się teraz razem ze mną.

- Posłuchaj mnie, Hubert. Nigdy nie ingerowałem w funkcjonowanie naszego organizmu artystycznego. Do waszych spraw, spraw udęczonej opozycji w nikogo nie obchodzącym kraju, do tych waszych spraw także nigdy się nie wtrącałem. Ale teraz muszę ci powiedzieć, co o tym myślę. Wyhodowaliście głuchych i ślepych demagogów. Takich, którzy w cudownym artystycznym uniesieniu, produkując piękną sztukę uniwersalną, nie zauważali ani nas czólgających się w błocie ani codziennej męki społeczeństwa. Oni pilnowali skrzętnie buzującego w nich ognia genialności i skwapliwie korzystali z klaki masowej propagandy reżimu, która codziennie się nimi chwaliła i ich rozgłosem światowym karmiła swoje kompleksy. Wy, zabiedzona opozycja, również nie szczędzi-

liście im klaki namaszczając charyzmą aprobaty moralnej. Oni utuczylili się z naszej poniewierki, z naszych upokorzeń, z naszej anonimowości. Oni hasali swobodnie po uroczyskach sztuki narodowej, bo nas stamtąd wypędzono albo sami odeszliśmy z dobrej woli. Kiedy chodziliście żebrać o ich podpis pod najskromniejszym apelem humanitarnym, który nie podobał się rozwydrzonej ekipie rządzącej, oni was arogancko odprawiali z kwitkiem, mrugając do swoich orszaków dworskich, że jesteście prowokatorami, agentami bezpieczeństwa. Ich wielkość wzięła się z naszego dobrowolnego skarlenia. Ich geniusz wyrósł na naszych mogiłach artystycznych. Dlaczego któryś z nich nie ma zapłacić okrutną fizyczną śmiercią za dziesięciolecia skradzionej, nadludzkiej wielkości?

Wyłączyłem telewizor, w którym cywile i wojskowi czekali na kogoś i nie mogli się doczekać. Po balkonie przeleciał grad strącający w przepaść prezerwatywę wiedzłą na żelaznej balustradzie. Te prezerwatywy to były bukietki konwalii, którymi obdarowywali mnie sąsiedzi z górnych pięter w dni wolne od pracy.

- Każdego z nas w mniejszym albo większym stopniu dręczy zawiść - powiedział z zażenowaniem Hubert. Był błady i coraz gorliwiej rozcierał siniejące palce. - Ale o tym dziś nie mówmy, może kiedyś indziej.

- A kiedy ze mną porozmawiasz, jeśli teraz usłucham twego rozkazu?

- No wiesz, stary - odstawił kieliszek Rysio. - To nieładne argumenty.

- Nigdy nic nie mówiłem, chociaż przewracali się we mnie flaki. Mam ci, Hubert, wymienić tych, którzy szli całe życie pod rękę z rządem udając, że idą osobno? A swe dziełka co sprytniejsi przyoblekali w szatki mód uniwersalnych, światowych frustracji, zachodnich melancholii i niby to lewicowych newralgii. Kiedy zswietyzowaliśmy się do tego stopnia, że i u nas wybuchł kult niedozwolności, dwuznaczny głód lizania zabronionego, żąkosna rozkosz z pornografii politycznej ubranej w desusy aluzji, kiedy i u nas pojawiło się to szoczenie udziału w wychytrzonej kontestacji dla samousprawiedliwienia się za wszystkie grzechy kolaboracji, to oni pierwsi, chcivi poklasku, żądni powódzenia, chwycili się nowej koniunktury i zaśmiecili sztukę fałszywymi gestami szczywnych Rejtanów, skołowali tę naszą biedną sztukę, zdeptali w niej resztkę sumienia. Dlaczego ty przed nimi padasz plackiem, kiedy oni po twoich krzyżach wspinają się po złote jabłuszka, które syca ich pychę? Po co kadzisz im uwielbieniem, kiedy ich los jest przeciwko twemu losowi?

- Sam wybrałeś swój los. To nie pora na takie dyskusje. Cóż, Rysiu, chyba na nas już czas? - Hubert pochylił się ciężko i wyciągnął spod stołu tę czarną teczkę, która mogła zawierać apel o zniesienie kary śmierci, tom niecenzuralnych wierszy, albo zwykłą bombę domowego wyrobu.

- Zaczekaj, Hubert - przytrzymałem jego rękę. - Powiedz mi prywatnie, jak człowiek człowiekowi, dlaczego wyznaczyłeś mnie?

Wyrwał rękę z mojej dłoni.

- Ja nikogo nie wyznaczam. Mam takie same prawa jak ty. I obowiązki te same.

- Ale musi być coś we mnie takiego, że ja się nadaję, a inni mniej się nadają.

Deszcz zamgłił szyby. Jakies dziecko w sąsiedztwie grało jednym palcem melodię, którą pamiętam z dawnych, bardzo dawnych lat.

- Przecież ty żyjesz obsesją śmierci - szepnął Hubert ochryple. - Ja nigdy twego kompleksu nie traktowałem jako manieri literackiej. Ty z tą śmiercią jesteś najbardziej spoufalony, ty się jej nie powinienes bać. Najstaranniej przygotowałeś siebie i nas do swojej śmierci. O czym myślałeś, zanim tu przyszliśmy?

- O śmierci.

- Widzisz, ona jest przy tobie. Wystarczy podać rękę.

- Wystarczy podać rękę.

- Tak, tylko tyle.
- Dziś?
- Dział o ósmej wieczorem, kiedy skończą się obrady zjazdu partii i delegaci z całego kraju wyjdą przed gmach.
- A oni wszyscy?
- Kto?
- Ci, potrzebni narodowi.
- Oni w grzechu i świętości, w konformizmie i buncie, w zdradzie i odkupieniu przeniosą w wieczność duszę narodu.
- Łeżesz. Udławisz się tą brednią. Już wychodzą ci oczy z orbit.
- Rysio zerwał się z fotela przewracając kieliszek.
- Zostaw go! - krzyknął i zaczął szperać w zanadrzu Huberta, który zeszywniał, wyciągnął nogi, jakby chciał obejrzeć własne zabłocone buty. Rysio jał wpychał mu w zsiniałe usta białe grochy tabletek. Przemocą wład między zaciskające się zęby kilka kropel wódki. Hubert ruszył zuchwami, przytknął powieki, potem rozgryzł jedną tabletkę i spróbował przełknąć.
- Ktoś dzwonił do drzwi. Otworzyłem zatrząsk trzęsącymi się rękami. W progu stał podchmielony gość trzymając się futryny.
- Niech pan nabierze wody, bo zamykamy - buchnął kłębem niestrawionego alkoholu.
- Mnie już woda niepotrzebna.
- Do wanny proszę napuścić i gdzie się da. Na całą dobę odcinamy.
- Dziękuję. Pewnie rura pękła?
- Wszystko pęka. Można u pana posiedzieć z kwadransik, bo ledwo na nogach stoję?
- Przepraszam, ale przyjaciel zasłabł. Muszę sprowadzić pogotowie.
- Wszyscy słabi w dzielejszych czasach. Nie będę przeszkadzać. Zdrowia życzę.
- Nawzajem.
- Poszedł stukać do sąsiadów. Wróciłem biegiem przez korytarz. Hubert siedział już wyprostowany w swoim fotelu. Uśmiechał się boleśnie, żeby ukryć nagły popłoch.
- Zadzwoń po lekarza?
- Nie trzeba. Już dobrze. To na czym stanęliśmy?
- Jak wielki latawiec płynął przez dachy miasta splechod słońecznego światła. Znajomy wróbel wskoczył na pręt balustrady i dziwił się, że go nie witam.
- Hubert, czy jest sens? Czy ty wierzysz w ten sens?
- Dzisiaj dopiero pytasz?
- Dlaczego całe życie byłeś taki zajadły? W każdą stronę. To sprawa hormonów czy wyższego nakazu?
- Zostaw go, on musi wracać do domu - odpychał mnie Rysio.
- A nie bliżej do gmachu partii?
- Widzisz, Śmierć śmierci nierówna - rzekł zdławionym głosem Hubert
- Nam wszystkim potrzebna podniosła, majestatyczna, święta. Ty taką nam możesz ofiarować.
- Za grzechy, stary - dodał Rysio i spróbował się uśmiechnąć. - Masz sporo swoich i naszych grzechów na sumieniu.
- Ale oni wszyscy mają tyle samo - powiedziałem z rozpaczą, bo i mnie udzieliła się histeria tego paskudnego, jesiennego dnia.
- Ich już nie ma. Zostajesz sam na sam z Bogiem, albo jeśli wolisz, ze swoim sumieniem.
- A gdzie się podzielił?
- Zostali daleko na małej nieszczęśliwej planecie.
- Hubert, to jakiś głupi żart. Ktoś was podpuścił.
- Nie, to nie żart. Sam dobrze wiesz, Czekaliśmy na nas wiele lat. Bądź wreszcie uczciwy i powiedz, czy czekałeś.
- Patrzył na mnie dłużej tym zdrowym okiem, a potem zaczął szukać teczki, którą wkopał pod stół w czasie ataku.

- Hubert, to ty mi odpowiedz, czy wierzysz, że to jest potrzebne. Podszedł z trudem, objął mnie i pocałował zimnymi ustami w oba policzki.

- Bądź o jedenastej na ulicy Wiślanej 63. Tam czeka na ciebie Hanna i Nadzieжда. One są od techniki.

- Od techniki samopalenia?

- Nie utrudniaj, stary - wtrącił Rysio.

Ogarnęła mnie nagła wściekłość.

- A co ty grasz tu jowialnego kmięcia spod kiosku z piwem? Zaczniij lepiej, kurwa, stawiać przecinki i kropki.

Rysio zmieszał się, odstąpił w stronę drzwi.

- Przeszkadza ci brak kropek? - powiedział niepewnie.

- Bo gdybyś używał znaków przestankowych, to może nie trzeba by było w tym kraju umierać na pokaz.

Przetoczył się leniwy grzmot z jednego końca miasta na drugi. Drzwi balkonu otworzyły się z jękiem pod naporem wiatru. Chciałem je zamknąć, ale odebrała się klamka.

- Stary, to pożycz jeszcze pięć tysięcy na taksówkę. On nie dojdzie do domu w taką pogodę - Rysio odebrał Hubertowi zaczarowaną teczkę i spoglądał już w mrok korytarza.

Wyrzekałem z kieszeni pięciotysięczny banknot. Wzięli bez podziękowania, ruszyli do przedpokoju. A tu przywitało nas jakieś buczenie, wysoki dźwięk drutów telefonicznych zwiastujących niepogodę. Tak jeczyły one szkliscie przed wielu laty, kiedy świat był jeszcze normalny i spokojny.

Hubert zatrzymał się przy górze starych kapci, których nazbierało się nie wiadomo skąd przez całe życie.

- Kiedy przestałeś pisać? Już nie pamiętam - powiedział spoglądając z ukosa niewidzącym okiem na te śmiecie walające się po podłodze.

- Przecież ja piszę.

- Zacząłeś pisać na nowo w tej chwili. Piszesz swój testament. Ale ja pytam o beletrystykę.

- Nie pamiętam. Może pięć, może siedem lat temu. Zniosłem wtedy za jednym zamachem dwie cenzury, własną i państwową. Napisałem opowiadanie do podziemnego pisemka i to był mój ostatni tekst. Stałem się wolnym impotentem.

- Urodziłeś się na niewolnika. Niewola cię wyemancypowała, przypięła skrzydła i uczyniła prowincjonalnym klasykiem. A potem za karę, jak zła czarodziejka, wszystko odebrała.

- Niewola zawsze ginęła z rak niewolników - odezwał się Rysio. - Ty mnie rozumiesz, stary?

Ten dziwny dźwięk, dźwięk jakby zabijania szczurów, pojawił się w naszym domu kilka miesięcy temu. Szukałem tygodniami jego źródła, spenetrowałem strychy i piwnice, ale nic nie znalazłem. Odzywał się zniecierka i raptem po kilku kwadransach ucichał. W dzień i w nocy. Utrzymywał domowników w stałym histerycznym pogotowiu.

- Ale ten raport napiszę do końca. Nie raport, tren żałobny. Napiszę w myślach i zaraz zapomnę. Dzieło literackie dla jednego czytelnika.

- Oszczędzaj słowa. Te najlepsze zachowaj na wieczór. Musisz tam krzyczyć z całych sił. Samymi złotymi myślami. Ludzie to zapiszą i przechowają jak wersety z biblii. Twoje arcydzieło literackie.

Poszukał w ciemności mojej ręki i ścisnął ją mocno. Wydało mi się, że dostrzegam szybkie ironiczne błyski w tym zdrowym jego oku. Ogarnęła mnie znowu wściekłość.

- Kto was podkusił? Jaki sukinsyn poszczał na mnie?

- Ktoś musi to zrobić. Dajemy ci szansę. Ty będziesz pierwszy. Ubiegiesz wszystkich rywali. Oni cichoem będą pomniejszać twój czyn. Pierwszy raz pokonasz ich bezapelacyjnie.

- Czy warto? Trzeba palić się codziennie tam w centrali, pod murami Kremia. Tamte pożary zachwycają gapiów na całym świecie. A na-

sze regionalne zaproszenia ognia irytują światową publikę, wprowadzają niepotrzebne komplikacje do emocjonującego widowiska walki do bra ze ziem. Słuchaj, Hubert, a może nasz system słoneczny zeszedł ze swego toru wyznaczonego przez opatrność i pędzi teraz w głąb wszechświata, gdzie wszystkich nas pogodzi nieznan, kosmiczny los? Może nas czeka wspólna wygrana albo wspólna przegrana?

- Cóż można wygrać albo przegrać poza tym, co tu mamy do wygrania albo przegrania?

- Dobrze, idźcie już.

Otworzyłem drzwi. Marudzili jakoś z wychodzeniem. Hubert zaczął czytać wizytówkę sąsiada. Zawsze byli trochę ciekawi mojego życia, choć do dobrego tonu należało pogardzanie moją egzystencją. Czytał więc tę wizytówkę jak sztyl sekretarza KC i nie wiedział, że za tymi drzwiami od dziesięciu lat umiera stary rencista, umiera z wysiłkiem co dnia i nie może umrzeć. Z góry, po stopniach i po krawędziach schodów, spadały brudne krople wody. To nasz dozorca, w dzisiejszych czasach nazywany już naczelnikiem domu, nieoprawny wariatułcio, mył klatkę schodową. Już go tyle razy pokazywano w telewizji, opisywano w gazetach, a on ciągle z tym samym uporem mył co kwartał nasze schody, jedyny naczelnik domu w całym kraju, który to praktykował.

- Nie nawal, stary - odezwał się Rysio.

- Muszę się namyślić.

- One czekają o jedenastego. Halina i Nadzieja - dodał Hubert.

- A jeśli tego nie zrobię?

- To będziesz żył tak, jak żyjesz dotąd.

Odchodzili w dół po schodach podtrzymując się nawzajem niczym dwaj święci, niczym Cyryl i Metody. A ja przecież pamiętam Rysia z dawnych lat kiedy byliśmy młodzi. Pamiętam taką pijacką noc w jakimś óworze pod Warszawą i wspólny nocleg pokotem na śłomie. Rysio był wtedy ni to krytykiem, ni to filmologiem i leżał obok, a między nami była pijana dziewczyna, której już potem nigdy nie spotkałem. Leżeliśmy półprzytomni na moim zielonym, brzoentowym piaszczu, który rozesałem usłużnie, dziewczyna pojękiwała przez ciężki pijacki sen, Rysio coś przy niej manipulował posapując chrypliwie z raptownej chuci, więc ona odwróciła się twarzą do mnie, a plecami do Rysia. Czuję teraz jej wilgotny, senny oddech na swoim policzku, Rysio nie zrezygnował, nieprzytomny, ale robotny, gmerał coś tam przy niej, szarpał jej odzież, podkładał się pod jej bezwładne ciało dysząc histerycznie. A potem, kiedy już zapadałem w maligne, Rysio widać dopiął swego, bo zaskuczał raptownie, zaszamotał się w skotłowanej śłomie. Ona, nieświadoma ekstazy sąsiada, owiewała mnie lekkim spokojnym oddechem. Dopiero rano, kiedy w kacu zbieraliśmy się wszyscy z tej wiejskiej pościeli, naciągnąłem na grzbiet swój brzoentowy piaszcz, machinalnie włożyłem rękę do kieszeni i ze zgrozą przekonałem się, że to moja kieszeń w ciemnościach nocnych stała się ofiarą namiętności Rysia, że moja kieszeń kochał młodzieńczo, zajadł miłością, może nawet pierwszą miłością.

A teraz Rysio pisze amorficzną prozę bez znaków przestankowych, adiutantuje Hubertowi i jest czcigodną postacią świata literackiego. Wróciłem do swego pokoju, żeby spojrzeć na nich przez okno. Właśnie jakimś cudem trafiła się wolna taksówka, ale oni ją omineli i poszli godnie w stronę Nowego Świata. Byłem ciekaw, czy są śledzeni. Ale żadne auto nie ruszyło się z chodnika i nikt nie wybiegł za nimi z podcieni sąsiedniego domu. Agenci mieli dzisiaj poważniejszą sprawę na głowie.

Hubert powiesił się swego czasu w szafie, tak go zaszczuto w jakiejś akcji, bo wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych, jeszcze reżim miał siłę do widowisk okrutnych i akcji zbrodniczych. Więc ten Hubert się powiesił, ale uczynił to pewnie pierwszą raz w życiu i nie miał wprawdy. Wieszak się zerwał, szafa się przewróciła, a Hubert wyżył. Tak wyżył, aby po latach przyjść do mnie z wyrokiem śmierci.

Znowu zagrzmiało w tym ciasnym niskim niebie. Poszedłem do łazienki, żeby się umyć. Rura zarzęziła boleśnie, czknęła, ale poszła jeszcze resztką wody. Myłem się machinalnie i myślałem czy dobrze robię, myjąc się i ubierając wobec takiej perspektywy. Ale przecież śmierć trzeba przyjąć jak komunię, na czczo i schłodnie. Czy jednak muszę umierać? Czy ktoś mnie siłą zepchnie z mostu albo obleje benzyną? Decyzja jest przecież w moich rękach. Mogę z honorem umrzeć i niehonorowo żyć dalej.

Znowu odezwał się gong. Pomyślałem, że Rysio i Hubert czegoś zapomnieli, albo wracają odwołać wyrok. Ociekając skapo wodą podbiegłem do drzwi. Na stopniu schodów siedział staruszek z wielką skórzaną torbą.

- Pan do mnie - spytałem?

- Tak, do pana. Mam polecenie odciąć gaz.

- Przecież już w tym roku odcinaliście trzy razy.

- Panie, ja tam nie wiem, każą to odcinać, każą to włączać. Oni panie, potracili głowy. Codziennie jakiś dom wylatuje w powietrze, to żeby była podkładka, każą odcinać. I tak szczęście, że pana mieszkanie istnieje, bo tu, panie, mam numery, których nie ma w całym domu - i pokazał mi brudną karteczkę.

- No to niech pan za jednym zamachem i elektryczność odetnie. Mnie wszystko jedno.

- Panu wszystko jedno - rzekł z chytrym uśmiechem staruszek i zręcznie wskoczył do łazienki. - Ale mnie nie wszystko jedno. Ja mam uprawnienia tylko na gaz.

I rzeczywiście, w ułamku sekundy zakręcił zawór, zdemontował paleńsko w piecyku i już siedział na krawędzi wanny zapalając rozklejającego się papierosa.

- Dohrze się wykapać w ciepłej wodzie, choćby tylko, za przeproszeniem, tyłek umyć - prawili staruszek rozglądając się po łazience. - Ale co robić, jak rozkaz to rozkaz. Chyba żeby pogadać z kierownikiem, pan rozumie. Przemówić do ręki.

- Nie chce mi się rozmawiać z kierownikiem. Ja dziś umrę.

Staruszek hydraulik zachichotał wesoło.

- Co pan tak na dzisiejszy dzień wycyrklował? Nie szkoda okazji?

Dzisiaj ten ich ruski sekretarz przyjeżdża. Całe miasto udekorowane, od rana orkiestry wszędzie grają. Mówią, panie, że jakiś festiwal odbywa się, wielkie ichnie święto, a może i nasze. Rzucili towar na stoiska, wszędzie, panie, pod Pałacem Kultury, nad Wisłą, ludzie od rana stoją w ogonkach, a pan wybiera się umierać.

- To umrę im na złość.

Sędziwy rzemieślnik wycierał żyzy radości.

- Panie, pan to komik. Jakby można było im na złość umrzeć, to już by nie było Polaków. Wiesz pan co, podłączę panu gaz, ale rączki od zaworów zaplombuję. Zrobię taką szeroką pętlę, że pan będzie mógł wyciągnąć gaz, było ostrożnie.

- Nie potrzebuję gazu. Niech pan weźmie piecyk na pamiątkę.

- Obrażliwy pan. Jak nie, to nie. Proszę tu podpisać.

Wyprowadziłem go do korytarza. Przy okazji pomacał mój płaszcz wiszący koło drzwi.

- Dobra wełna. Zagraniczna.

- Bierz pan na zdrowie.

- Coś pan, mogę zapłacić. Dam pięćdziesiąt tysięcy.

- Oddam darmo. Tylko niech pan nakładając ten płaszcz westchnie nad moją duszą.

- Pantochyba artysta, nie? Do śmiechu pan lubi, nie?

Ale zręcznie zwinął płaszcz, wpakował go do torby i już był przy drzwiach sąsiada. Z surowym wyrazem twarzy nacisnął taster dzwonka.

Ja wróciłem do swego pokoju, siadłem na fotelu, który jeszcze nie wystygł po Hubercie. Rzeczywiście wiatr niósł nad miastem jakieś

strzępiaste dźwięki muzyki. Dobrze, że oddałem piaszcz, ubiorę się lżej, lżej będzie przeskoczyć na tamten świat. Tak jakbym od nich otrzymał życie i gniewnie im je zwracał. Jakiś symbol. Jeszcze jeden symbol. Wobec wieczności czy wobec idiotów współczesnych? Skomplikowany i nieczytelny gest. Gest piętnujący nasz marionetkowy, uwikłany w serwilizmie reżim, czy gest oskarżający wieczną Ruś ukrytą za butwiejącym parawanem Związku Radzieckiego. Protest przeciwko niewoli społecznej czy przeciw niewoli narodowej. O jaką wolność tu chodzi, za którą z wielu wolności wskoczę w ogień, w święty ogień śmierci? Czy to błązadna, czy wniebowstąpienie?

- Zawsze mogę wskoczyć w ostatniej chwili w jakąś myślą dziurę - powiadam sobie na pocieszenie, ale wiem, że nigdzie indziej nie wskoczę, a tylko tam, gdzie trzeba, gdzie mi kazali. Ubiaram się skromnie, ale chędogo. Polecili krzyżeć, a to dla mnie najgorze. Ogień może znieść, ale wstydu nie przeżyję. Bojownik musi być nachalny i bezczelny. A ja wiele okazji erotycznych zmarnowałem, bo wstydzikiem się rozpiąć spodnie.

Zapalam telewizor, muszę coś zrobić, trzęsą mi się ręce, nie mogę zebrać myśli. I na małym obrazku widzę samolot, a pod nim dwóch grubych facetów całujących się w usta. To nasz sekretarz z ten ich ruki, car carów, pan połowy świata. Nasz ma dobroduszną twarz kardynała albo dozorcy, dzień nazywanego naczelnikiem domu. Tamtego historia i geny wyposażyły w fizjonomię kałużką. Popieścili się i słuchają hymnów. A naszym hymnem jest teraz Międzynarodówka. Dostaliśmy ją po starszym bracie, jak kamizelkę.

Chowam do kieszeni dowód osobisty. Bez tego ani rusz. Nazwisko, imię, data urodzenia, ojciec, matka, wzrost, oczy, wszystko nieważne. Ważny jest mój kod, kilka liter i rząd cyfr. Takiego zna mnie policja, urząd miejski, służba zdrowia. Takiego mnie znają komputery i pilnują, żebym nie umknął, nie schował się przed ciemieźcami, nie wykreślił się od nachalnego protektoratu. Wyjdę z domu. Trzeba wyjść z tych czterech ścian. Wyjście z mieszkania to jeszcze nie decyzja. Przede mną cały dzień. W ciągu dwunastu godzin rozdziły się fortuny i ulegały zagładzie dynastie, w ciągu dwunastu godzin powstawały i ginęły imperia.

Schodząc po schodach zajrzałem do skrzynki na listy, nawet ją otworzyłem na wszelki wypadek. Zagrzrzało, posypała się rdza. W środku było trochę zwietrzałej pajęczyny. No i chwiała Bogu. Dobrych listów poczta nie roznosi już od wielu lat.

Na ulicy uderzył we mnie wielki gwieźd muzyki. Huczały gigantofony, pojękiwały jakieś kapele, gdzieś grzmiał z ponurym uporem bęban woj-skowy. A pod Pałacem Kultury, który mnie kiedyś tak fascynował jak uroczyisko, jak straszny kurhan, w którym pokutują złe duchy, więc pod tym Pałacem na estradzie mnożono hożych par w kierzących i staniczkach obszytych cekinami, w pawich piórach i żywiewkich koronkach. A wdzirej przytupując podśpiewywał ze złym akcentem: Krakawlak wet tak ja!

Starym zwyczajem stanąłem w ogonku do kiosku z gazetami, kupiłem paczkę papierosów, ale gazet już zabrakło. To też zły omen. Szczęśliwe kupno gazety rano było zawsze naszym pierwszym sukcesem. Z gazetą pod pachą człowiek zwracał uwagę. Kiedyś nawet nawiązałem intymne stosunki z dziewczyną, która łakomie patrzyła na moją gazetę. Gazet nikt nie czytał, choć zdobycie ich kosztowało wiele trudu. Ale gazetę należało mieć. Taki się wytworzył obyczaj.

Z kamienicy po drugiej stronie jezdnj wyszedł jegomość o trochę cierpiących oczach w chudej twarzy. Znałem go już z widzenia i cała ulica go znała. Był to oryginalny i dziwak, dygnitarz, który z niewiadomych powodów nie wybudował sobie zamczyste willi w rządowej dzielnicy i dalej mieszkał razem z nami, zwykłym bydłem peerelowskim. Spojrzał na mnie i ja spojrzełem na niego, nie ukloniliśmy się sobie, bo jemu nie wypadalo, a mnie honor nie pozwalał. Wsiadł do czarnego mer-



cedesa i ruszył w głąb ulicy, za nim ponknął wóz ochrony.

Zawsze miałem jakieś dziwne przeczucie, że mój los splecie się z jego losem. Podejrzewam, że on również żywił podobne obawy. Dlatego obserwowałem ukradkiem ubogie życie dygnitarza, jego odjazdy i przyjazdy, jego nudne tasiemcowe przemówienia w telewizji, śledziłem w gazetach jego podróże służbowe, życzliwie przyjmowałem pojawianie się rządowej chłodni, która przywoziła mu serwołatkę, karkówkę, podroby i twarożki niskotłuszczowe. Przypuszczam, że on także, tknięty jakąś złą myślą, dyskretnie interesował się moim równie nieciekawym żywotem.

Wyszedłem na Nowy Świat obrośnięty krzakami flag, flag czerwonych i biało-czerwonych. Ale w tych naszych biało-czerwonych przez lata czerwieni z wołna rosła, a biel malała. I teraz nasze flagi też były czerwone, ale z małym białym szlaczkiem u góry. Więc te stare domki, jak ceglane larwy obłuskujące się permanentnie z kokonów tynku, wypuściły z siebie złą krew świątecznych flag i drzemały nad wąskim kaniómem ulicy, po której maszerowała dziatwa szkolna i załogi urzędów oraz fabryk. A nad świątecznym tłumem kopotał gigantyczny transparent z napisem: "Niech żyje czterdziesta rocznica Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

Zadumałem się kontemplując ten slogan i to zwróciło uwagę rencisty z gazetą pod pachą. Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

- Pan też zauważył?  
- Przepraszam, co?  
- No, niech pan nie udaje.  
- Myśli pan o czterdziestej rocznicy.  
- Dodali sobie parę ładnych lat - zachichotał. - Ja mam dobrą pamięć.

- Myśli pan, że dodali?  
- Ja nie myślę, ja wiem.  
- Niech pan pokaże gazetę. Zobaczymy datę.  
- To pan mało spostrzegawczy. Od dawna daty w gazetach jakieś takie rozgniecione, jakby ktoś na litery obcasem nastąpił. Niech pan sam zobaczy.

I podsunął mi gazetę, a ja chwyciłem ją mocno w garść.

- O co to, to nie? - zaprotestował rencista. - Żona jeszcze nie czytała.

- Błagam pana, muszę mieć gazetę.  
Zaczął wyszarpywać z mojej dłoni cienki zwitek "Trybuny Ludu".  
- Puść, puść, bo zawałam milicję.  
- Jestem ciężko chory, może pójdę do szpitala albo w ogóle umrę.  
- Każdy tak mówi.

W tym momencie gazeta rozerwała się i w mojej dłoni została drogocenna połowa z repertuarem kin, teatrów, z programem telewizji, z ostrymi dyżurami szpitali i aptek, z zawiadomieniami o odczytach i zlikwidowanych liniach komunikacyjnych. Jemu przypadła ta druga połowa, której nikt nigdy nie czytał: depasze polityczne, przemówienia, także przemówienia mojego znajomego dygnitarza, eseje o rozpadzie kapitalizmu i apele o zwiększenie ideowości.

- Żulik, żuliki - wrzasnął poszkodowany starzec, ale nikt na niego nie zważał, ponieważ wszyscy coś krzyczeli tego świątecznego dnia.

Wnieśliśmy się skwapliwie w tłum unosząc zdołobcz. Było mi jakoś przyjemnie, że zwymyślał mnie tym starym wyzwiskiem, które pamiętałem z dzieciństwa. Trzymałem poza tym w garści przewodnik po dzisiejszej Warszawie. Ale w tym momencie zasalutowało mi grzecznie dwóch młodych milicjantów.

- Poprosimy pana do bramy.

Weszliśmy w krótki tunel o zasikanych ścianach. W samą porę, bo znów zaczął padać deszcz.

- Dowód osobisty - rzekł wyższy milicjant.

Podaliśmy tę zniszczoną książeczkę, która już w pierwszym kwadransie

mojej podróży okazała się potrzebna. Podróż dokąd? Zrobiło mi się zimno.

- Którego dziś mamy? - spytałem.
- A po co to panu? - odezwał się nieufnie niższy.
- Warto wiedzieć.

Popatrzyli na siebie i ten wyższy rzekł z naciskiem:  
- Dwudziestego drugiego lipca.

- Jak to lipca? Przecież już późna jesień. Grad pada.

Wyższy nie odpowiadając zaczął spisywać moje personalia. Niższy obserwował mnie bez złośliwości. Kolega coś mu pokazał w dowodzie, a on skinął głową, że rozumie.

- Nie dziwi pana, że spisujemy - zapytał.
- Mnie często spisują.
- To niedobrze. A dokąd pan idzie?
- Do "Familijnego".
- Co to znaczy?
- Bar mleczny, mój ulubiony.

Chciałem jeszcze zapytać o rok bieżący, ale ozułem, że przeciągnąłbym strunę. Ktoś nadchodził z mroku bramy.

- Zdarow, diadzia - klepnął mnie poufale. Poznałem Kolkę Nachałowa.

- To mój znajomy. O co chodzi?

- Proszę przechodzić - rzekł z naciskiem wyższy.

- Ej, maładiec patisze. Gdzie twój nomier?

- Słucham?

- Nomier dołżen byt' - pociągnął go za rękaw munduru.

- My ze szkoły milicyjnej. Z Golędzinowa.

- Wsio taki nomier dołżen byt'!

Trochę speszeni, usiłując zachować godność, zwrócili mi dowód i odeszli.

- Cegły nie potrzebujesz? Dobrej, stalinowskiej?

- Czyś ty zwariował? Na co mi cegła?

- Na daczę albo na osabniak. Hutę Warszawę rozbierają. Można tanio kupić.

- Nie, dziękuję.

- Mam prezerwatywy z rządowego sklepu. Państwowa cena, pięćset złotych.

- Nie używam.

- To chociaż może rozbijemy pół litra.

- Dziękuję, ale jestem chory.

- Chcesz, sprzedam balsam Szostakowskiego. Prosto z Pribałtyki.

Znałem Kolkę Nachałowa nie wiadomo skąd. Krażył po Warszawie od lat robiąc jakieś dziwaczne interesy. Podobno jego ojciec, generał KGB, był doradcą Bezpieczeństwa w Szczecinie. Kiedy przeszedł na emeryturę, zdjął polski mundur, nałożył radziecki, spakował graty i wyjechał z rodziną do domu, do Moskwy. A Kolka został. Spodobało mu się w Polsce, choć czasem po pijanemu dostawał od kogoś po mordzie.

- Muszę już iść - powiedziałem - żeby coś powiedzieć.

- Ja też lecę. W którą stronę, na lewo czy na prawo?

- Przed siebie. Na drugą stronę ulicy.

- No to bud' zdarow. Jakbyś miał kłopot, zawsze znajdziesz mnie w "Paradyzie".

Odszedł prawie biegiem, a ja w ylocie bramy zobaczyłem młodego, prowincjonalnie ubranego młodzieńca, który ukłonił się z szacunkiem mnie albo komuś za moimi plecami. Ale za mną nikt nie stał, więc oddałem ukłon z pewnym zdziwieniem. Chłopak uśmiechał się niesmiało, jasnowłosy chłopak o szczyrych oczach, takich chłopców pełno było podczas wojny w akowskiej konspiracji.

- I wtedy przyszła nagle śmierć. W tej zimowej roziskrzanej gwiazdami nocy przyszła okrutna śmierć - zarecytował przyciszonym głosem chłopiec z prowincji.

Coraz więcej spotykało się wariatów, nikt ich już nie leczył, bo szpitale psychiatryczne były przepełnione ministrami, sekretarzami, dyrektorami. Kiedyś zdarzali się opozycjoniści, których umieszczano tam ku przestrodze. Ale wkrótce zabrakło dla nich miejsc, bo nastała moda wśród dygnitarzy chronienia się przed upadkiem, detronizacją albo wyrokami w szpitalach wariatów.

Udając obojętność minałem chłopca i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Zanurzyłem się w gorące, woniące zjeżdżeniem wewnątrz bazy mlecznego pod firmą "Familijny". Do kasy stał ogromny ogonek. Szeszyło mrie to nowe niepowodzenie, zakreśliłem się niepewnie koło szklanych, popękanych stolików i postanowiłem wyjść, kiedy z ogonka ktoś zawołał przyjaźnie:

- Panie kolego!

Chciałem uciec, bo poznałem brata Rysia, ale było już za późno.

- A to pan? - rzekiem z przykrością.

- Co zamówić?

- Może gorące mleko i jakąś bułkę.

- Mleka dziś zabrakło. Ale jest maślanka.

- Mlecz będzie maślanka.

Czekając na brata Rysia i na swoje śniadanie, meczyłem się z jego imieniem. Ani rusz nie mogłem przypomnieć. Gorączkowo przepowiadałem sobie w myślach imiona siołańskie, zachodnie i te wszystkie pochodzenia antycznego, ale żadne jakoś nie pasowało do surowej sylwetki filozofa-marksisty, tak serdecznie nienawidzonego przez Rysia. Oba bracia nie utrzymywali ze sobą stosunków pogardzając sobą nawzajem.

Po dwudziestu minutach siedzieliśmy już przy stoliku zastawionym nie sprzątniętymi naczyniami.

- Jak leci, panie docencie? - spytałem, żeby okazać grzeczność.

Filozof zakrztusił się łykiem maślanki.

- Wypraszam sobie taki tytuł.

- Niech pan wybaczy, ale nie miałem nic złego na myśli.

Ugryzł suchą bułkę i z nawyku rozpoczął wykład.

- Docent to w dzisiejszych czasach brzmi obraźliwie.

- Nie wiedziałem.

- Proszę nie przerywać. Ta forma nagradzania przez przyznawanie tytułu docenta nie zdała w praktyce egzaminu. Mamy teraz wielką armię docentów i wiele kłopotów z nimi. Rozumie pan, niektórzy ledwie po maturze, a i te maturoy to pożał się Boże. A jakie ambicje. Musimy przeszkalać, douczać. Powołaliśmy specjalne studium kształcenia docentów. Jestem dyrektorem. Pan wie, co to znaczy? Ogromny program, gigantyczny materiał, należałoby dwanaście godzin dziennie prowadzić zajęcia, ale oni stale na wagarach. Zwolnienia lekarskie, telefony od żon albo co gorsza, z Komitetu Centralnego. Tracę już cierpliwość. O, właśnie - spojrzaj na zegarek. - Za pięć minut rozpoczyna się wykład. Muszę lecieć. Szkoda.

- Do docentów?

- A, nie. Do cenzury. W cenzurze mam wykład.

- Tam też są docenci?

- Są i docenci. Ale nie o to chodzi. W cenzurze powołano samodzielny departament aluzji. Prowadzą wykłady złecone. Aluzja w dziele sztuki, aluzja w masowym środku przekazu. Pan się krzywi? Wy zawszeszkwaszeni.

- Maślanka zjełczała, tylko dlatego.

- Ja, proszę pana, jestem zwolennikiem aluzji. Stworzyłem teorie funkcjonowania aluzji w społeczeństwie socjalistycznym. Ale pan nie słucha?

- Słucham, słucham. Zamyśliłem się trochę.

W końcu sali siedział ten prowincjonalny chłopak i znowu się usmiechał.

- Otóż aluzja w naszych warunkach - ciągnął filozof - spełnia doniosłą rolę. Nie nazywając rzeczy po imieniu, ujawnia ją, sugeruje i

doprowadza do podświadomości odbiorcy. Zatem prawda nieobjawiona staje się prawdą publiczną. Napiecia wywołane głosem prawdy czy raczej, ja bym powiedział, kompleksem prawdy, te groźne napięcia zostają skutecznie anulowane właśnie przez umiejętnie zastosowaną aluzję. Dlatego aluzyjności nie wolno tępić, wręcz przeciwnie, trzeba ją popierać, a nawet uczyć rozumnej, wyważonej aluzji. Po jakimś czasie odbiorca będzie przekładał aluzję do prawdy nad samą prawdę. Bo aluzja jest swego rodzaju formą sztuki. Aluzja to prawda ubrana w szatę metafory.

- Zawsze miałem podziw dla cenzury.

- Powiedzmy sobie odzwarte, nie wszystko jeszcze u nas funkcjonuje prawidłowo. Odczuwamy stale różne dokuczliwe braki, Ale rzeczywistość, trzeba przyznać, cenzura ma pewne ambicje i należy jej oddać sprawiedliwość, że przoduje w naszej dynamice przemian społecznych. I nie jest to przypadkowe, proszę pana. Nasz system jest systemem intelektualnym, zrodzonym przez intelektualistów. Ktoś wywyżsi lepszą cenzurę, jeśli nie intelektualista?

- Był dziś u mnie Rysio.

- Jaki Rysio?

- Pana brat.

- To idiota. Mówię tak, bo to w końcu mój brat. Nie użyję więc gorszego słowa - prowokator. Idiota o rozpasanych ambicjach. Dziwił się, że nie został mianowany docentem. Jemu się marzy światowa kariera. Dlatego pisze bez znaków przestankowych opozycyjną prozę. Lecz on nie rozumie mojej teorii aluzji w prozie. Dlatego jego powieści takie niby prawdziwe, a zupełnie nieprawdziwe, niby nowoczesne, a kompletnie staroświeckie. To osioł, proszę pana.

Prowincjonalny chłopak patrzył ciągle na mnie pokuszając bezdźwięcznie ustami. Ktoś szoganko reklamował nieswieże jajko w okienku kuchennym. Urażona kucharka rozpłakała się, zaczęła zdejmować fartuch i czepiec służbowy chcąc porzucić pracę. Kasjerka wyjęła kasę i z kasą w objęciach pobiegła uspokajając kucharkę. Na ulicy zagrzelała przechodząca orkiestra. Spojrzeliśmy wszyscy w smatowiało od kurzu okna. Ale była to tylko orkiestra przedszkolaków.

- Niech pan im się nawet nie kłania - powiedział docent.

- Komu?

- No tym pańskim opozycjonistom. To tacy sami aparatczycy jak państwowi. Ektatowi, zrutynizowani, dotywtotni. Reżim się do nich przyzwyczaił, a oni do reżimu. Taka opozycja, jaki reżim. Oni są kością z kości reżimu. Niech pan pisze dla cenzury. Ona pana ceni. Ona jedyna pana lubi. Pan miał smykałkę do aluzji. A aluzja to wyższe wtajemniczenie sztuki. Pan pamięta, co mówił Joyce? że za trzyseta lat nawet nie rozszyfrują ślubaczę literatury jego aluzji. Nie miał cenzury państwowej, więc własną powołał do życia i ustanowił nad sobą.

Na ścianie wisiał kalendarz mocno popstrzony przez muchy. Pokazywał kwiecień 1980 roku. I nie wiedziałem, czy to stary, zapomniany kalendarz, czy nowy, który jeszcze nie rozpoczął swojej kadencji. Kasjerka wróciła do kasy. Kucharka stanęła do pieca w kuchni. Pokonany klient jadł z rozpaczą nieswieże jajko.

- Pamiętam pana jako młodego genialnego filozofa - odezwałem się po chwili, a on zastygł czujnie z uniesionym do ust kęsą czarstwej bułki. - Kręcił się pan koło młodej inteligencji katolickiej. Co pchnęło pana do marksizmu? Leniństwo, prawda?

Rzucił bułkę ze wściekłością na stół. Odbiła się od pustej solniczki i spadła na ziemię. Natychmiast podniósł ją znający mł kłoszarz, który gnieździł się na naszej ulicy. Opierał się na dwumetrowym, świeżo okorowanym kiju jak apostoł.

- Słucham, proszę mówić dalej - rzekł filozof usiłując opanować wzburzenie. Spojrzeliśmy obaj na telewizor, który zawieszono pod sufitem baru. Z rozpaczyliwych zakłóceń wyłonił się obraz gigantycznego samochodu, w którym jechali obaj sekretarze, nasz i radziecki. Właśnie

zatrzymali ich hutnicy ubrani na biało jak kucharze. Z apatycznym entuzjazmem zaczęli całować w usta naszych władców.

- Lękał się pan odpowiedzialności za życie na własny rachunek - powiedziałem dopijając maślanke. - Bał się pan czystego papieru, bał cenzury, bał się pan konkurencji litych dynamicznych filozofów. Więc schował się pan za ikonostas partii, zasiadł pan w kolegiach, komitetach, rozparł się pan w fotelach dyrektorów i sekretarzy. Teraz pan rządzi, a inni pracują. Teraz pan cenzuruje cudze teksty. Teraz pan jest gnusnym, leniwym, złym bogiem utalentowanych kolegów.

Zobaczyłem drobne kropelki potu na jego czole, pochylił się ku mnie z wyrozumiałym uśmiechem. Ale dżonie jego, choć oparte na stole, drżały histerycznie.

- Pan też jest głupcem. Czy pan nie rozumie, że przeżywamy kolejny potop? Ocean żajna ze wschodu zalał nas od Bugu po Łabę. I trzeba przeżyć ten kataklizm. Uratować się biologicznie. Ocalić własną duszę. To nasze szczęście, że Rosjanie runęli na tę ziemię przeżarci trądem komunizmu. Niech pan codziennie w modlitwie dziękuje bogom za to, że ci Rosjanie są ohezwiadnieni przez idiotyczną doktrynę, zdeprawowani przez upierne życie, wycieńczeni przez kretyński system ekonomiczny. Niech pan dziękuje co wieczór niebu, że mają grafomańską sztukę, że błąkają się im po mózgu strzępy jakichś myśli idealistów dziewiętnastowiecznych, że stoją w ogonkach, że łakną modnych strojów, że czytają mieszczańskie tygodniki polskie, że, jednym słowem, taplają się w błocie piwnicy człowieczeństwa. Niech pan wyobrazi sobie Rosję wołną, demokratyczną, o systemie ekonomiki kapitalistycznej. Taka Rosja w kilka lat wyda genialną sztukę, która rzuci świat na kolana. Taka Rosja rzeczywiście przescignie Amerykę przemysłowo. A nas taka Rosja zaśmie jak elektroluks pajęczka. Bez czołgów, bez zdrady, bez wywózek na Sybir wchłonę nas na prawach wyższości kulturalnej i cywilizacyjnej. Wszyscy będą się tam pchali, jak dzisiaj do Ameryki. Pan też poszuka wśród pradków babć i dziadków rosyjskich, pan także zażąda wyjazdu na Kamczatkę w ramach humanitarnej akcji łączenia rodzin. Widzi pan, oni całują sztucznie i pod przymusem - pokazali na telewizor, gdzie aktualnie całowała obu sekretarzy młodzież. - A powinni całować tego kałmuka po nogach z prawdziwej, rozumnej i głębokiej wdzięczności.

Siedziałem trochę zdruzgotany wykładem filozofa. Chciałem mu się przeciwstawić i żałowałem, że nie ma przy mnie Huberta. A on patrzył na mnie jak wąż na laboratoryjną myszkę. W kątach jego ust zaschła żółtawa piana albo resztki maślanek.

- Niech pan to powie przy okazji Rysłowi - znęcał się widząc moje osłabienie. - Ten osłoił razem z bandą szczywanych i głupich koleśków piłkę pracowicie gałąz, na której siedzi. Gałąz ziamie się i wpadną razem do ogromnej kadzi rosyjskiej. A lecąc w tę otchłań i nas wszystkich postrącają jak gruszki.

- Pan jest Cassandra. Wściekła wróżka polskiego nacjonalizmu - powiedziałem zmęczonym głosem. - A nasz szowinizm to zero, nul, plwocina na gościńcu światowym. Tedy się nie przebijemy, były filozofie od Psscala i Sartre'a. Nikomu nie powiem o tej rozmowie. Niech będzie zapomniana.

- Pan postawił wszystko na ich cyfrę i boi się stracić - zaśmiał się szyderczo filozof. - Dla mnie ganc pomada. Zademontrowałem panu tylko jeszcze jeden punkt widzenia. Ja jestem kropką białką w oceanie chaosu, który nazywamy wszechświatem. Mnie wszystko jedno.

Wstał gwałtownie od stołu, zabrał swój kubek, niepotrzebny talerzyk i zaniósł to do okienka z brudnymi naczyniami. Był precyzyjny nawet w undiesieniu. A potem wyszedł na ulicę bez pożegnania.

Ten chłopak z prowincji siedział teraz bliżej, przy sąsiednim stoliku. Znowu recytował jakby na moją cześć skądś mi znany werset.

- I zatrzasnął się za nim głucho drzwi jak zamykana księga albo jak opuszczone ciężko wieko trumny.

Wyszedłem z baru. Chłopiec także poderwał się od stolika w obawie, że straci mnie z oczu. Nie wyglądał na łapsa. Nasi hyole ubierają się

modnie, to europejczycy z doktoratami z socjologii albo z prawa. A ten miał samą poczciwość w twarzy nie tkniętej zarostem.

Szedłem w gęstym tłumie, a on skradał się za mną i czynił to niezdarne zderzając się jak wieśniak z przechodniami. Środkiem ulicy, rozpędzając szkolne dzieci z chorągiewkami, gnał wóz milicyjny. Wychnylny przez otwarte okno oficer milicji dawał jakieś znaki elewom z Gołędzinowa.

Podszedł do mnie młody pan spowity w modne beże, z lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi, choć, dalibóg, od tygodni nikt nie widział słońca.

- Mogę prosić o ogień - zapytał miętosząc w palcach gaulcisa.
- Przepraszam, nie pałę.
- To nic nie szkodzi. Może pozwoli pan ze mną do bramy.
- A dlaczegoż to do bramy?
- A dlatego - i pokazał mi metalowy znaczek agenta.
- Już byłem dziś spisany. W tamtej bramie po drugiej stronie ulicy.
- Nic nie szkodzi. Spiszemy jeszcze raz. Proszę o dowód.

Podaję mu swój dokument wytarty, zalany swego czasu herbata albo jakimś sosem. Wziął go do ręki i udawał, że czyta. Na tyłach tej kamienicy, a był to dom, gdzie mieszczą się na Nowym Świecie dwa sklepy ze zwierzętami, więc na tyłach od strony ulicy Górskiego stał na asfaltowym skwerku ogromny milczący tłum. Wszyscy trzymali w rękach słoiki, plastikowe woreczki z wodą, akwarja, a w tych naczyniach sennie poruszały się rybki, Czerwone, złote, szare, czarne, białe. Ryby milczały i handlarze, albo może eksperci, również nie zabierali głosu. Więc tak stali z rozświetlonymi krystalicznie garściami wody i przyglądali się nawzajem swoim rybkom.

- Ciekawa sprawa, że zawsze i wszędzie tylko mnie legitymują - powiedziałem do agenta, który z powudzeniem mógłby zagrać w amerykańskim filmie.

- Czasem tak bywa - powiedział beznamiętnie. Ten jego ton można było uznać nawet za przychylny. Ze wszystkiego, co może się unowocześniać w zacołanym kraju, unowocześnia się pierwsza policja. Więc ta jego nowoczesność jakby posładała pierwiastek wyższości nad moją niższością. Czułem się trochę zakłopotany.

Tymczasem za moimi plecami, na ulicy, zawyły wozy milicyjne, rozległ się ogłuszający ryk motocykli eskorty honorowej, zerwały się rzadkie i cienkie oklaski. Agent spojrzął ponad moją głowę, spojrzął bez podniecenia i ciekawości, tak jak patrzy mechanik na prawidłowo działającą maszynę.

- Czy ja wyglądam na zamachowca?

- Niech pan spyta swojej żony - rzekł mój wytorny agent zamykając dowód osobisty. - Dziękuję, może pan iść.

Wróciłem na ulicę mijając chłopaka z prowincji, który tym razem wyraźnie na moją intencję zadeklamował sceniczny szepet:

- Umiera ziemia guślarzy i wróżbitów, umiera ziemia proroków i mesjaszy, co już nie zdążyli zbawić świata.

Mógłbym dać głowę, że znam ten cytat. Wyglądało to na fragment poematu Huberta albo amorficznej prozy Rysia, ale prędzej na Rysia, bo Rysio lubił przyduszać bez potrzeby pedał patosu.

W płytkim rowie Nowego Świata płynął wielki obłok jadowitych spalin źle wyregulowanych silników. Działwa szkolna, prowadzona przez orkiestrę przedszkolaków, odchodziła w stronę ulicy Świętokrzyskiej. Obaj sekretarze, spleceni uściskiem, mającymi gdzieś w perspektywie Krakowskiego Przedmieścia.

Wyszedłem z domu pod impulsem decyzji. Coś czułem wyraźnie i czegoś zdecydowanie chciałem. A teraz wszystko się rozmydliło. Z jakimś dusznym niedowierzaniem przypomniałem sobie wizytę Huberta i Rysia. Może w ogóle ich sobie przysniłem?

Takie rzeczy już mi się zdarzały. Parę lat temu zadzwoniłem rano do wydawnictwa prosząc o zmianę tytułu mojej nowej książki. Redaktorka była grzeczna, ale zdziwiona. Twierdziła, że nic nie wie o tej porzeczności, że nie widzi jej w planie, ale zaraz pójdzie i sprawdzi, a potem zadzwoni. Lecz kiedy kończyła swoją uprzejmą i podszytą lekliwym zdumieniem orację, ja nagle skrosniałem, że realizuję swój sen sprzed paru godzin. Sen, w którym moczyłem się ze wstydu nad tytułem książki, której nigdy nie napisałem i nigdy nie napiszę. Natychmiast wyłączyłem telefon, żeby już nie mogła do mnie zadzwonić.

W sklepie z instrumentami muzycznymi wisi kalendarz między puzonem a czynelami. Wskazuje wyraźnie październik 1979 roku.

- Panie, jaki dzień i rok mamy dzisiaj? - pytam faceta obsługującego uliczny saturator.

- Panie, nie mam głowy do głupstw - odpowiada niegrzecznie. - Pan widzi, co za ruch. A gazu nie dowieśli.

- Tak, za mało gazu. W ogóle za mało gazu.

Zaraz, zaraz, Wyszedłem z wyraźnym postanowieniem. Spalić się wieczorem. Dlaczego akurat spalić się? Właśnie baysnęło znowu słońcem. Miasto od razu poweselało. Po co w ogóle ich słuchałem? Jak zwykle za-brakło mi charakteru? A co to jest charakter? Przecież doskonale wiem, dawno zrosniałem. Charakter to brak wątpliwości, charakter to uporczywość trwania przy swoim zamiarze, choćby nie wiem jak bezsensownym, charakter to brak wybrazni, charakter to wrodzona tępota, charakter to nieszczęście ludzkości.

Zabrakło mi charakteru. Będę szedł tak aż do wieczora. Ale mogę orzecie skrócić w bok. I zrobię to w którymś momencie. Standsiem na przystanku autobusowym. Pod śłupkiem przechadzała się kontrolarka biletowa, szersza niż wyśsza, przerażająca słońca miejskich zakłędów komunikacyjnych. Przyglądała się podejrzliwie potencjalnym pasażerom.

- Proszę pani - pytam nieśmiało, - czy chodzi jeszcze autobus 155, bo słyszałem, że został skasowany?

- A bo ja wiem. Przedwczoraj jeszcze widziałam na rozdzicie. Pan po- stoi, to zobaczy.

Charakter się przeżył. W dawnych prymitywnych czasach smagał z wszechmocną przyrodą i z biologiczną siabością człowieka charakter był pożyteczny, przynosił korzyść, popychał do przodu w koszmarnym mozołe ciężki gład niemocy ludzkiej. Nauczylismy się chwalić, wielbić charakter, padać przed nim płackiem, czynić z niego fetysz. A dziś nikt nie ma odwagi skompromitować charakteru, choć stał się kategorią psychologiczną najzupełniej wsteczną, po prostu reakcyjną. W dzisiejszym wieloznacznym świecie charakter to despotyzm, tyrania i totalna nietolerancja. Wreszcie przyszedł czas, żeby wielbić brak charakteru i skąbność wewnętrzną człowieka. Nasza epoka to szlachetne wątpliwości, to błogosławiona niepewność, to święta nadwrażliwość, to boski brak decyzji.

Wcisnąłem się do przepełnionego autobusu. Kaczadziały wzywaniami znaczących ludzi przypominałem sobie w końcu, co pogarsza moje samopoczucie, moją ogólną sytuację. Oczywiście kac. Coś tam kac numer jeden. Gdzie go nabyć? W jakich okolicznościach?

W moim kraju nie ma nędzy. Mało kto żebrze na rogach ulic, a jeśli to robi, to jakoś bez przekonania, bez tej siły wewnętrznej, bez tych praw moralnych właściwych prawidłowemu żebractwu. Nikt nie dzieli zapalek na cztery części i nikt nie liczy ziaren soli. Wreszta dzielić zapalek nie opłacałoby się w dzisiejszych czasach. Ledwie co trzecia daje się zapalić.

Nasza nędza współczesna jest przezroczyta jak szkło i niewidzialna jak powłotrze. Nasza nędza to kilometrowe ogniki, to nieustanny ślók łokci, to złośliwy urzędnik, to spótniony bez powodu pociąg, to odcięta przez fatalne siły woda, czyli brak wody, to zamknięty niesoczekiwanie sklep, to rozwścieczony sąsiad, to kłamliwa gazeta i wielogodzinne przemówienie w telewizji zamiast transmisji sportowej, to przynus nale-

żenia do partii, to zaparta pralka sprzedana w państwowym magazynie, to specjalne sklepy, w których możesz sobie coś kupić za dolary, to monotonia życia bez żadnej nadziei, to rozpadające się miasta historyczne, to pustyniejące województwa i zatrute rzeki. Nasza nędza to żaska totalnego państwa, żaska, z której żyjemy.

Tak, ten kac mnie osłabia. A oni poszuli się szantażem. Bo jak inaczej nazwać to zasiadanie Huberta. Oni wyreżyserowali starannie nieodwołalny wyrok śmierci. Pewnie ekspert od psychologii przewidział wszystkie moje reakcje i potęrył, jak je rozstrzelać. Może i w ten kac celowo zostawił wpędzony. Kac obrzyza, kac totalniak.

Ale od pewnego czasu nieważne kace sucha, kace bez powodu, kace same w sobie. Po najgrzeszczniejszym dniu, po naszym wieczorze przed telewizorem, po zagodnym zaśnięciu budzę się rano z ciężkim kacem. Nie dość, leżąc cichutko w łóżku przez pracę dopinguowanej w ciągu życia wykończani, w sferze całkowicie intelektualnej dopracowałam się do skrajnych kaców. Kac to mój najwzmocniejszy towarzysz, kac to mój schowatek.

Ledwo zdałyśmy zjeżdżać Tamka na Powiśle, autobus zepsuł się bez powodu. Po prostu kierowca skręcił do krawężnika, wyłączył silnik i z mściwą satysfakcją oświadczył, że dalej nie jedzie, bo ma awarię. Wtem cicho, bez szemrania, jak skuteczne polne myśki opróżnił wnętrza oklepięne podniosłymi hałasami.

Ruszyłem ku Wiśle, domyślając się, że ulica Wiślana powinna się znajdować nie opodal rzeki. Skieruję ją, w ostatniej chwili umknę, gdzie pieprz rośnie. Ale do wieczora muszę udawać lojalność. Będę szedł wpatrwałe po tych stacjach męki, które mi wysnaczył tajemniczy areopag szubtowanych. Młodzieżowe biuro polityczne ostatnich, któryś dzieńka na bezsenność w tym uspokojnym kraju.

Tak naprawdę to nie mogę zebrać myśli i jeszcze nie wiem, jak postąpić. Kiedy przypomniałam sobie tę wizytę Huberta oraz Rysia, wydaje mi się, że to był złowieszczy, poranny sen. Ale roki mi się jednak dźszno, brakuje powietrza, chcę uciekać w spazmie hysterii. Lecz dokąd uciekać?

Wiśka niewie burą, mulistą, powodziową wodę. Miłka żagliówek w gali flagowej walczy pośrodku murtu z nieprzysłany wiatrem. Po drugiej stronie, nad wędznąą dżunglą ogrodu zoologicznego zapala się i gąfnie obrzymi neon; abudowaliśmy socjalizm!

Nad tą rzeką przesiadziałam wiele ciężkich chęci. Te potamane przez chuliganów krawężki to moje niegdysiejsze sceny. Wstrzyłem godzinami w jasną przetrzał wody, naoczas jeszcze czystej i trawiłem w sobie słodką gorączkę jakichś pozostań miłosnych albo gorąca kwasność kłeski literackich. Moje grzechy, moje bóle, moja wstydy jak wianki świętojańskie odpływały do dalekiego morza.

Dobrze byłoby wskoczyć na szusze do wody. Ale bracia moi nieszczęśliwi chcą, żebyś wskoczył w ogień.

Pragnąłem długo, jak najdłużej szukać tego domu na ulicy Wiślonej. On jak na złość znalazł się od razu. Kamienica z epoki stalinowskiej. Dokonywająca swego żywota. Przeznaczona na rozbiórkę. Zmęczona wieloletnią egzystencją. Nigdy nie dopieszczona remontem, nie wyiskana z grzyba, zestawiona własnemu losowi, jak wszystkie domy naszych miast. Już tylko jedno piętro funkcjonuje. W pozostałych wybito szyby, wyłamano drzwi, obeszczono ściany. Ale to nic nie szkodzi, bo na horyzoncie widać przeciek stawiane strono pudełka bloków, którym przeznaczone jest króciutkie, ciężkie życie motyla.

- Polska, Polska, Polska, Polska! - skandował wlatłuki tłumek, który maszerował bulwarem nadbrzeżnym niosąc ogromny portret zagniewanego kaźnika, naszego gościa. Wiatr szarpał nad ich głowami narodową flagę całą czerwoną z białym sznurkiem w góry. Na drugim brzegu szedł podobny tłumek manifestantów. Spostreżeli się nawzajem, zaczęli do siebie machać portretami i sztandarami zupełnie poza protokołem, ot tak dla draki.

A na rogu Wiślonej stał ten chłopiec z prowincji i uśmiechał się nie-



pewnie. Towarzyszył mi jak pies. W rękę trzymał żółtoczerwony liść klonu.

Przekroczyłem już ulicę i chciałem wejść w rozbebeszoną klatkę schodową, kiedy odezwał się przeraźliwie gwizdek milicyjny. Starszy plutonowy z kompanii ruchu, w białej przybrudzonej czapce, zbliżał się do mnie zniechęconym krokiem.

- Pan przeszedł ulicę w niedozwolonym miejscu - powiedział beznamiętnie. - Proszę dowód osobisty.

- Ja już dziś byłem sprawdzany. Dwa razy.

Popatrzył z lekkim szyderstwem.

- Pan myśli, że mi się chce interweniować? Ja też jestem człowiek. Ale obejrzał bez ciekawości mój biedny certyfikat.

- To ile zapłacimy? - spytał.

- Ile pan każe.

- Co pan taki szybki. Za dużo ma pan gotówki?

- Mam za dużo. Już nie zdążę jej wydać.

Nie chciało mu się otwierać torby, szukał blankietów mandatowych. Widać trafiła mu się także kiepska noc. Z daszku czapki kapąca jeszcze woda po ostatnim deszczu. Mówić również nie miał ochoty. Włec pogroził mi tylko palcem i zwrócił dokument.

Gdy byłem już na schodach, rzekł jednak za mną z wielkim trudem:

- Niech pan uważa. W ogóle niech pan uważa.

Gdzieś w głębi miasta odezwały się gdzieśkolwiek orkiestry. Huknęło ciężko na praskim brzegu. Sypnęły się w sąsiedztwie szyby. To był pierwszy salut armatni.

Na półpiętrze minął mnie wychudzony starzec w pomiętym ubraniu i ze staroświecką teczką obwiązana rzemieniem. Na moment spotkałem się z jego wzrokiem, ciągle jeszcze mrocznym, połyskującym wygasłym fanatyzmem. To był towarzyszy Sachet, członek Biura Politycznego sprzed wielu lat. Stanałem zdumiony przy strzaskanej balustradzie i patrzyłem na plecy tego nędznego starca, którego kiedyś wożono w pancernych limuzynach i ochraniano jak królewski brylant. Na jego skinię nie zmieniano nazwy miast i ucinano ludziom głowy. Teraz był tylko bezbronnym starcem na emeryturze, który szedł pewnie do ogonka pod sklepem z makaronami niskojajecznymi.

Odwrócił się raptem i spojrział na mnie z dołu tymi oczami, które kiedyś hipnotyzowały stare, oddane rewolucji towarzyski.

- Dzień dobry - powiedziałem machinalnie.

- Dzień dobry - odrzekł schrypniętym głosem i wyszedł na ulicę.

Naciśnąłem guzik dzwonka przy drzwiach pomalowanych szarosiwą farbą. Długo nikt nie otwierał, choć słyszałem za drzwiami jakiś głos autorytatywny, cedzący ważne słowa, i krótkotrwałe wybuchy entuzjazmu. Wreszcie drzwi uchyliły się na długość łańcucha i zobaczyłem anemiczną, bezbarwną dziewczynę.

- Ja z polecenia Euberta. Do pani Haliny i pani Nadziejdy.

Odpięta łańcuch, wpuściła mnie do przedpokoju pełnego starych grawatów, koszów na niepotrzebne ciuchy, marnych reprodukcji na ścianach i mnóstwa pajęczyn.

- Pan w sprawie techniki?

- Tak. Można to tak nazwać.

- To proszę dalej.

Nie była mnie wcale ciekawa. Jakbym przyszedł z pralni po brudną bieliznę. Odczułem pewną przykrość. Błogosłówną przykrość. Będę stawiał opór. Bierny opór.

Ten pokój dziwnie przypominał prowizorycznie urządzone pokoje z lat okupacji niemieckiej. Jakies kilimki ludowe na ścianie, jakies mebelki drewniane z Cepelii, trochę zeschniętych kwiatów w glinianym dzbanie. W jednym kącie jarzył się telewizor, w drugim na tapczanie leżał człowiek z białą brodą.

- Przygotowałam dla pana trochę broszur - odezwała się dziewczyna. Była szczupła, drobna, wymizerowana, jak cała współczesna młodzież,

która zastała już gotowy, przez nas zbudowany socjalizm.

- Jakże broszury? - spytałem zdziwiony.

- Dotyczące techniki. Pana poprzedników. Z różnych stron świata. To warto wiedzieć.

Wziąłem do ręki kilka książeczek i nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Wiedziałem tylko, że nigdy do nich nie zajrzę. Z półki ściennej szczyrzyły do mnie zęby z postrzępionych grzbietów klasyczne dzieła rosyjskich dysydentów.

- Uwaga! Będzie się rozbierać! - krzyknął człowiek z białą brodą pokazując telewizor.

Podeszliśmy bliżej aparatu, dziewczyna przesunęła regler potencjometru, żeby wzmocnić głos. Na dużym ekranie staroświeckiego telewizora widać było prezydium akademii. Pośrodku siedzieli: nasz sekretarz oraz ten radziecki o azjatyckich rysach i trzymali się za ręce. Nad nimi widniała ogromna rzymska cyfra XL, a pod spodem biegło hasło po polsku i po rosyjsku: zbudowaliśmy socjalizm!

Właśnie za plecami prezydium zdążył ku mównicy kolejny prelegent i od razu rozpoznałem w nim znajomego dygnitarza, który mieszkał naprzeciwko mego domu. Szedł niespiesznie ku trybunie ozdobionej gwiazdą, jeszcze nie gwiazdą radziecką, ale już trochę do niej podobną.

- Towarzysz Kobiałka - odezwał się podniecony człowiek z tapczanu.  
- Ja go obserwuję od wielu miesięcy. Zobaczycie, dziś się rozbierze!

Sala zjazdowa ucichła i my wstrzymaliśmy oddech. To było straszne fatum, niepojęta zaraza, nieokiełznana epidemia ogarniająca całą partię. Nikt, jak dotychczas, nie umiał jej zapobiec. Wszystkim spędzała sen z powiek, przyspieszała bicie serca i zarazem obezwładniała. Uczestników i obserwatorów. Bezpieczniaków i reakcjonistów.

Mój towarzysz Kobiałka doszedł do trybuny trzymając przed sobą, jak alibi, stertę kartek z przemówieniem. Wielkimi, cierpiącymi oczami spojrzął na sufit, a potem przeniósł wzrok na salę i powoli, ledwo dostrzegalnie, zaczął rozchyłać usta w ohydny, nieprzyzwoitym, przerażającym uśmiechu.

- Niel Niel - ktoś krzyknął nieludzkim głosem na zjazdowej sali.

Ale towarzysz Kobiałka, jakby powodowany przez niezłe siły, zakolebał się przy mównicy i wolno, przeciągając tę czynność, rozdarł maszynopis przemówienia na cztery części i upuścił je niefrasobliwie, a one sfrunęły z agresywnym pośpiechem na pierwsze rzędy delegatów i w tych właśnie rzędach powstał zaraz jakiś dziwny, historyczny szloch.

Towarzysz Kobiałka otworzył usta, chwilę dręczył milczeniem zastygłą w złym przeczuciu salę, a potem odezwał się dźwięcznie i mocno:

- Towarzysze zdrajcy! Towarzyski świnie!

W tym momencie wystąpiły gwałtowne zakłócenia. Białe pręgi przecięły ekran, coś zagrzętało, obraz pojawiał się i znikał, jakby ktoś go chciał wyłączyć i z jakichś powodów nie mógł wyłączyć. Więc towarzysz Kobiałka ukazywał się na krótką chwilę i zaraz znikał. A kiedy się pojawiał, poruszał gwałtownie ustami, ale nic nie było słychać, bo fonia jednak dała się wyłączyć. Więc towarzysz Kobiałka wygłaszał swoje nieme przemówienie, swoją mowę oskarżycielską, do której się szykował przez ćwierćwiecze, swoje credo układane przez wiele nieprzespanych nocy, swoją spowiedź wynoszona w zaschniętym gardle przez wszystkie padoły upokorzeń, więc to krzyczał niemyim głosem towarzysz Kobiałka, a sala umarła na kilka sekund w nadprzyrodzonym letargu.

Wreszcie, jak we śnie, ktoś podniósł się wolno ze strapontena, ktoś inny oderwał się od ściany, jakieś ręce trochę biagalnie, a trochę drapieżnie wyciągnęły się z nieruchomej ściany prezydium i wtedy obraz powrócił do normalnej życiowej prędkości. Towarzysz Kobiałka, ciągle krzycząc bez głosu, zdjął marynarkę i rzucił ją na schody okryte purpurą, rozwiązał krawat, powiesił go na mikrofonie, nie rozpinając guzików zdarł z siebie białą uroczystą koszulę i na koniec zaczął ściągać spodnie. Ale agenci byli już blisko. On zaplatał się

w opadającym przyodziewku, zachwiał się niebezpiecznie, oni dopadli go, chwycili za ręce i nogi, powlekli za plecami prezydium w kulisy. A on szarpał się, wywijał im z rąk, pluł pianą na wszystkie strony, wierzgał nogami, rzucał głową niczym epileptyk i tak zniknął za pasową kotarą, mignawszy jeszcze śnieżnymi gatkami z importu radzieckiego.

Pokazała się raptem plansza z dwoma całującymi się gołabkami. Jeden był czerwony i drugi był czerwony, ale z białym ogonkiem. Pod nimi znajdowała się magiczna rzymska cyfra: XL. Odezwały się majestatem tony piątej symfonii Czajkowskiego.

Milczeliśmy chwilę, jak nad grobem, w którym złożono nieboszczyka.

- To mój sąsiad - powiedziałem wreszcie.

- A ja go lubiłem - rzekł człowiek z białą brodą. - Na pewno był takim pijakiem.

- Wszyscy piją - odezwała się Halina.

- Ale on pił szczerze. Dlatego tak skończył - człowiek z białą brodą chciał obrócić się na drugi bok, lecz po krótkim wysiłku zrezygnował.

Halina podeszła do drzwi prowadzących w głąb mieszkania.

- Przepraszę pana na chwilę.

Zostaliśmy sami z człowiekiem na tapczanie. Patrzył na mnie bardzo długo, wreszcie poruszył ustami i rzekł:

- To pan.

- Tak. Ja.

- Niech pan podejdzie bliżej. Proszę sięść koło mnie. Jestem sparializowany. - A kiedy przycupnałem na krawędzi tapczana, dodał: - oczywiście. Pamięta pan wojnę?

- Którą wojnę?

- No tę naszą. Wielką naszą wojnę.

- Brałem w niej udział. Wydawało mi się, że nie zapomnę jej do końca życia. Ale dawno już zapominałem.

- Ja pamiętam. Dla mnie ona trwała długo. Jeszcze dziesięć lat po wojnie. Byłem w łagrach sowieckich.

Przyjrzał mi się z uwagą.

- Nie, nie to, co pan myśli. Nie wsadzili mnie za komunizm. Byłem w łagrach akowskich, to znaczy nie tylko dla akowców, dla wszystkich. Łagry jak wieża Babel. Ale nas, akowców, było dużo. Dlatego tak powiedziałem.

Czajkowski patetyczniał z wolna pod przykryciem tych dwóch czerwonych gołabków, z których jeden miał biały ogonek. Stary akowiec poruszał nerwowo palcami prawej ręki leżącej na fałdzie koca. Domyśliłem się, że wylew zaatakował prawą półkulę jego mózgu. Ta ręka żyła swoim własnym życiem.

- Chciał się pan przewrócić na drugi bok? - spytałem.

- Tak. Zauważył pan?

Pomogliem przewalić chude i ogromnie ciężkie ciało na drugą stronę. Patrzył teraz w ścianę odartą z tapet. I tak było lepiej.

- Boi się pan pewnie? - odezwał się cicho.

- Nie wiem jeszcze, czy to zrobię.

- Strach to rzecz ludzka. Ja też się bałem do momentu, kiedy mi powiedzieli, że żona i córka umarły w więzieniu. Od tego momentu przestałem się bać. A tortury to rzecz straszniejsza od śmierci.

- W ogóle od rana nie mogę zebrać myśli. Chcę się skupić, zobaczyć jasno swoją sytuację, chcę się zdecydować i nie mogę.

- A żona i córka nie umarły. Żyły na wolności. Chcieli mnie złamać, ale tylko wyprostowali.

- Czy ja mam to zrobić?

- Nie wiem. Wtedy wszystko wiedzieliśmy, teraz nic nie wiemy. Wtedy świat był prosty. Teraz zwichrował się. Sam przez się zwichrował albo go zwichrował ten przeciąg ideologii, jak huragany. Może to będzie słabość, a może to będzie siła.

- Co będzie słabością albo siłą?  
 - Pana śmierć.  
 - Moja nie przedwczesna śmierć. Moja śmierć o czasie.  
 - I tak umieramy z wolna minuta po minucie. Świat z nami też umiera, prawda?

- Świat mię może umrzeć. Wielu już pokoleniom zdawało się, że świat umiera. Ale to tylko ich własny świat umierał.

- Dobrze pan powiedział, Lecz jeśli świat nie umiera, to musi z czegoś żyć.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że potrzebuje człowieczej śmierci.

Zniknęła plansza. Pojawił się obraz sali zjazdowej. Ktoś przemawiał, sala huczała oklaskami, a ktoś inny jeszcze wznosił entuzjastyczne okrzyki. Wszystko wróciło do normy. Do nienormalnej normy na pewien czas.

- Pan leży tu i obserwuje tę garstkę młodzieży, tę niewielką grupkę, którą coś nawiedziło. Coś na kształt wyrzutu sumienia za grzechy rodziców, coś w rodzaju gniewu za paskudność egzystencji, coś na podobieństwo spazmu zbiorowej moralności gatunku. Przecież oni płyną pod prąd, ale stoją w miejscu.

- Straszna noc. Koszmarne sen. Trzeba krzyknąć, żeby obudzić ludzi.

- Bracie mój z lasów, z obozów, z poniewierki, z rozpacy, ze spierdolonego życia, bracie, co mam zrobić?

- Będziesz sam wiedział. Kiedy zbliży się godzina.

Otworzyły się drzwi i zobaczyłem Halinę, która zasłaniała sobą drugi pokój.

- Czy mogę pana prosić?

Wszedłem tam, a ona zamknęła drzwi. Przy oknie, pod światło, stała dziewczyna o ogromnych, jakby zbitych w wojtek włosach, na których żarzył się rudy blask.

- To Nadzieжда - powiedziała.

Ukłoniłem się, ale dziewczyna o rudych włosach pozostała nieruchoma. Popielaty cień zakrywał jej twarz.

- Pan wie, gdzie to się ma odbyć? - spytała Halina.

- Pod gmachem partii.

- Nie, zmieniono decyzję. Przed salą kongresową, gdzie odbywa się zjazd.

Kto zmienił decyzję, pomyślałem. Te dzieci, loża masonska czy niezany demiurg przykuty do lochów Warszawy?

- Mnie wszystko jedno - powiedziałem i natychmiast sobie uświadomiłem, że są to słowa filozofa, brata Rysia.

Drgnęły ściany, huknęło od strony Wisły. Ostatni spóźniony salut. Ktoś oś przegapił albo zakorkowała się bateria.

- Potrzebna jest benzyna i niezawodne zapalaki. Pan, widzę, nic nie ma ze sobą?

- Myślałem, że można kupić na stacji benzynowej.

- Trzeba mieć talony. A poza tym oszukują. Dolewają wody.

- To co zrobimy? - spytałem z pewną nadzieją.

- Pan tu zostanie. Z Nadzieждą. Ona pana wprowadzi w szczegóły. Ja pójdę do znajomej mydlarni i kupię rozpuszczalnik.

- Ale dziś święto narodowe.

- Nie szkodzi. Oni przeprowadzają remanent. Mamy pieniądze na łapówkę.

- Ja też mam trochę grosza. Może niech będzie na mój koszt?

- Do wieczora daleko. Jeszcze pan zdąży wydać - i nagle uśmiechnęła się zupełnie nieoczekiwanie, dodając: - A babcia Nadzieждy była kochanką Lenina, pan wie?

- Nie. Pierwsze słyszę - ponownie ukłoniłem się nieruchomej dziewczynie spod okna.

Nałożyła kusą kurteczkę, bo wiatr znowu zaatakował okna, i wyszła cicho zamykając drzwi. Wicher trząskał źle zakitowanymi szybami. Przy-

nosił też dalekie i zmaczone włosy muzyki albo wiatujących tłumów. Stałiśmy naprzeciwko siebie, ona mnie widziała, ja nie potrafiłem rozróżnić rysów jej twarzy. Milczeliśmy bardzo długo, ale ja, o dziwo, nie odczuwałem skrępowania. Mogłbym tak stać do wieczora. Wreszcie ona zaczęła iść w moją stronę, zrazu powoli, jakby sennie, potem coraz szybciej i wreszcie upadła na klęczki, chwyciła moją rękę, przytuliła do niej usta i powiedziała dziwnie niskim głosem:

- Wy gienij.

Zrozumiałem, że to jakiś niezastużony komplement, chciałem ją podnieść, ale tylko zaplątałem się w jej włosach, suchych, skłębionych i rudych, jak u Lenina w młodości.

Westchnęła przepastnie i nagle sama zerwała się z podłogi, wybiegła do tego pokoju, gdzie leżał siwobrody.

- No i tak - powiedziałem sam do siebie, bo musiałem coś powiedzieć, a nic innego nie przyszło mi do głowy. Rozejrzałem się ukradkiem. To był chyba pokój Nadzieźdy, bo ze wszystkich ścian spoglądały na mnie brodaty i srogie fizjonomie rosyjskich dysydentów.

Wróciła po chwili wesoło uśmiechnięta, ale wycierając wierzchem dłoni kąciaki oczu.

- Pan się na mnie nie gniewa? - spytała niskim, jak dawniej powiadano, gardłowym głosem.

- Ależ nie, skądże.

- Ja się zawsze tak wygłupię, a potem wstyd. Nie mogę przywyknąć do waszych obyczajów. U nas po prostu. Jak ktoś kocha, to kocha. A jak nienawidzi, to nienawidzi.

- Co kraj, to obyczaj - powiedziałem dyplomatycznie.

Wydobyła z szafki butelkę z czarnym płynem i dwie szklaneczki.

- Wypijemy na zgodę? - spytała jeszcze odrobinę płaczac, ale już śmiejąc się zaraźliwie. Oczywiście miała zielone oczy, policzki z dołkami i w ogóle była przykości.

- Przecież my się nie gniewamy.

Nalała mocne dawki do obu szklanek.

- To moja nalewka syberyjska. Przywiozłam z Moskwy i powiedziałam sobie, że wypiję przy najważniejszej okazji. Pan wie, ja się w panu kochałam.

- Ja się w pani i teraz kocham.

- U was zawsze ironia i ironia. A ja prawdę mówię. Kiedyś mi pana pokazali z daleka, no i zakochałam się jak wariatka.

- Może mnie pani z kimś myli?

- Nie. Ja pana nawet czytała. U pana nasza dusza. Tylko w niej cząstki czuć - czuć takiego tutejszego. Jakby nieprawdziwego.

Dziwnym zbiegiem okoliczności gdzieś niedaleko, na jakiejś estradzie przy brzegu Wisły, orkiestra dęta zagrała starego walca "Na sopkach Mandżurii", a to był piękny i fatalny dla mnie utwór.

Podawała mi szklanę z tajemniczym zielonym likworem nie odejmując ręki. Włęcz oboje trzymaliśmy to moje szkło wypełnione syberyjską ognistą wodą. Słuchałem staroświeckiego walca i coś ścisnęło mi serce.

- Za pana zdrowie.

- Za pani zdrowie.

- Za nasze zdrowie.

Jakaś przykrość zapiekła mnie przez gnienie. Tak, toast nie był na miejscu, ale co tam, i jednym haustem wychyliłem moją cykute.

- Może pan usiadł - wskazała żelazne łóżko przykryte jakimś futrem. Pewnie syberyjskim. - To niezdrowo tak stać i stać.

- Prawdę mówiąc, już mi zdrowie niepotrzebne.

Patrzyłem na dno szklanki, gdzie leżały resztki ziół. Bóg raczy wiedzieć na co działających.

- U pana katzenjammer. Od razu poznałam. Pan na mnie nie obraził się, prawda?

- Pani Nadzieźdo, po polsku Nadziejo...

- Ach, jak pan ładnie powiedział. Chyba pana pocałuję.

Co oczywiście zrobiła. I poczułem na moment jej gorące, dość szerokie usta koło swoich warg. A orkiestra wciąż grała "Na sopkach Mandżurii", melodię, przy której, jak się zdaje, ujrzałem wiele lat temu światło dzienne albo nocne, czyli przyszedłem na świat.

- Co pan o mnie pomyśli - powiedziała Nadzieńda zakrywając lekko skośne, zielone oczy. Spostrzegłem przy okazji, że pod dziwną przejrzystą szatą, przypominającą ogromną chustę albo teatralne ponczo, a najprędzej dosyć ryzykowny habit, że pod tą szatą nie nosi stanika. Już się trochę zdemoralizowała naszym pół-zachodem.

- Myślę jak najlepiej, córo stepów i ugorów.

- Wam, Polakom, nie wolno wierzyć.

- Można jeszcze trochę tej ambrozji ludu rosyjskiego?

Stukneliśmy się szklaneczkami. Melodia starego walca szybowca nad naszym domem jak biały kaukaski kabadź, choć nie byłem pewien, czy na Kaukazie zdarzają się kabadzie.

- Ach, jak ja pana kochałam.

- Pani ciągle w czasie przeszłym, piękna Nadzieńdo, czyli Nadziejo.

- Chciałam nawet samobójstwo popełnić.

Znowu lekki mróz przeleciał mi po plecach. Albo trochę niedelikatna, albo cokolwiek za bardzo oswojona ze śmiercią.

- Pana proza działa na mnie wprost fizycznie.

- Ja już nie piszę.

- Ach mój Boże, dlaczego?

- Znudziło mi się.

- Jak może znudzić się literatura! Panu nie wolno tak mówić. Pan, wied', twórca, geniusz, na pana cały świat patrzy.

Syberyjska nalewka robiła swoje. Pokój gibnął się na boki, jakby zapraszając do kozaka. A ta orkiestra skończyła walc "Na sopkach Mandżurii" i jeszcze raz zaczęła "Na sopkach Mandżurii". Ale teraz jakby wolniej, jakby zamierzając wpisać każdą nutę w mój miękący mózg.

- A jak ty czujesz się, dziecko, w naszej pół-Europie? W naszej by-  
kiej pół-Europie?

- Trochę nie bardzo.

- Inaczej sobie wyobrażałaś Polskę?

- A skąd pan wie?

- Bo ja was znam.

- Nas, Rosjan?

- Nie, Rosjanki. Rosjan też znam.

- A skąd pan zna Rosjanki? z Turgieniewa, Tołstoja, Leskowa?

- Przecież powiedziałaś, że mam waszą duszę.

- Ja powiedziałam?

- Na początku.

- Pan jednak inny.

- I Polska inna.

- Inna.

- Lepsza czy gorsza?

- I tak, i tak.

- Co to znaczy?

- Ja tęsknię za Moskwą.

- Czy można tęsknić za tym miastem?

- Ja bym bosko przez śnieg poszła.

- Do Moskwy?

- Tak, do Moskwy.

Krciło mnie, żeby zapytać, dlaczego obuta nie poleci "Aeroflotem", ale nie zapytałem.

- Jesteś, Nadzieńdo, patriotką?

- To wy polskie nacjonalisty.

- Widzisz, dziecko skośnookie, taka nasza dola. Cokolwiek byśmy wam rzekli, zawsze usłyszymy, że jesteśmy szowinistami.

Przytuliła się raptem do mnie. Rzewne tony walca mojego dzieciństwa jak papierosowy dym snuły się po tym panieńskim, zruszczonym pokoju.

- Ach, po co te ciągłe kłótnie między nami i wami. Przecież my wszyscy Słowianie. Czy nie lepiej by było, gdybyście się do nas przyłączyli z dobrej woli. Zapomnielibyśmy wspólnie o tych wszystkich niepotrzebnych urazach, pretensjach, niechęciach, co nas tyle wieków dzieliły. My was potrafimy kochać, tylko wy nas pokochajcie.

- Przecież was, Rosjan, już nie ma. Ostatnich Słowian, to znaczy wyższe warstwy, wymordował twój dzieduszka Lenin. Od Bugu po Chabarovsk hula Azja.

Odepchnęła mnie tak mocno, że upadłem na poduszkę.

- Ja wiedziałam, że się rozczaruję. Boże, jaka ja nieszczęśliwa.

I znowu wybiegła z pokoju. Podniosłem się z trudem, siadłem na kosmicznej krawędzi łóżka. Ten syberyjski lubczyk zmógł mnie w końcu. Padł na podatny grunt. To znaczy skapał na mego biednego, bezbronno go kaca, na moją starczą chorobę. Tak, pamiętam, piłem wczoraj sam z sobą. Przykryłem obrusikiem stół, położyłem talerz, sztucce i kawałek sera. Niespiesznie, z godnością, jak na szacownym przyjęciu, spuściłem pół litra czystej z krajowych kartofli. Rozmawiałem ze sobą z początku grzecznie, z humorem, później zdaje się trochę naulbiałem. Za oknem do północy wypróbowano gigantofony. Szły na przemian dzika muzyka i przeprosiny anonimowego spikera za hałas o spóźnionej porze.

Wróciła znowu śmiejąc się i wycierając skośne, zielone oczy.

- Ja wszystko biorę serio, a pan na pewno żartował.

- Chyba żartowałem, moja Nadziejo.

- A ja pana zaraz uduszę i będę miała spokój.

- Nie wolno mnie przed czasem udusić.

Ala nie zwróciła uwagi na moją aluzję. Podeszła do mnie, oparła się delikatnymi, tak, naprawdę delikatnymi kolanami o moje kolana i położyła obie dłonie na mojej pulsującej szyi.

- Boi się pan?

- Jak każdy człowiek. Boję się, że będę się bał coraz bardziej.

- Mój kolega z uniwersytetu to samo zrobił. Pod Kremlem.

- Wielu ludzi już to zrobiło.

- Chce pan powiedzieć, że nie warto.

- Nie wiem, czy nie warto. Może za którymś razem okaże się, że war-

to.

- A pan nigdy nie czuł, że ja o panu myślę?

- W ogóle nie wiedziałam, że istniejesz, Nadziejo.

- Ach, nieładnie pan mówi. Pan taki zwyczajny, a ja myślałam...

- Zwyczajność to cała moja siła.

- Pan się godzi na zwyczajność?

- Dawno się pogodziłem.

- Nie wolno. Człowiek to dziwna, niezwykła, wspaniała istota.

- Szczególnie człowiek rosyjski. Bogonosiec.

- Pan znowu zaczyna.

Ująłem przeguby jej dłoni ściskających lekko moją szyję. A orkiestra ciągle grała na moją zgubę "Sopki Mandżurii".

- W tym kraju musisz się przyzwyczaić do zwyczajności. Ona ci się wydaje płaska, nieszczęśliwa, bez polotu, ale ona ma też pewne zalety, które nieraz okazują się potrzebne. Piszesz wiersze, Nadziejo?

- Piszę.

- Co tydzień?

- Bywa, że i częściej. Nie mogę żyć tak normalnie, jak wy tu żyjecie.

- My nie żyjemy normalnie. Żyjemy tak, jak nam każą.

- Pan wierzy w Boga?

- Wierzę. To znaczy usiłuję wierzyć.

- Widzi pan. Pan tylko usiłuje. Jak wy wszyscy.

Wstyd powiedzieć, ale biło od niej ciepło rozłożystego, rosyjskiego ciała. Zdawało mi się, że wśród kolorowych płamek, którymi upstrzona była jej szata, że wśród tych pastelowych oczek widzę także migdałowe, szeroko rozwarłe oczy jej sutek.

Domyślałem się pod przejrzystą tkaniną masywnych, kobiecych, gorących piersi. Takich piersi, jakich się już na zachód od Wisły nie nosi. I nagle w swoim niemłodym, zmaltretowanym przez kaca ciele odczułem jakieś nieprzystojne wapory.

- Ja bym pana zabrała do nas, na starą Ruś. Gdzie horyzont daleki, jak nigdzie indziej, i niebo wielkie, największe. Pan broni się przed wielkością, bo nie ma odwagi. Niech pan plunie na wszystko i wyjdzie szukać Boga.

- Już za późno, spóźniona Nadziejo.

Ona czuła mój puls, ale i ja łowilem uderzenia jej krwi w dziwnie cienkich i kruchych przegubach rąk. Z zażenowaniem stwierdziłem, że myśli moje trochę się płaczą. Że przesywam wzrokiem jedwab albo może batyst tego dziwnego habitu. Dysydenci patrzyli na mnie karcąco ze wszystkich ścian.

- Wie pan co, ucieknijmy - powiedziała raptem Nadzieja.

- O czym pani mówi?

- Chodź, nikt nas nie zobaczy. Ucieknijmy od ludzi.

- Ale dokąd, wnuczko Dzyngischana?

- Zobaczymy. Zawsze się znajdzie trochę miejsca dla nas dwojga.

- Zostawisz ich samych? A kto zbawi świat?

- Pan jest cynik. Boże, dlaczego ja pana musiałam kochać. Gdybym wiedziała...

Nieoczekiwanie rozeszły się chmury odsłaniając jaskrawo niebieskie niebo. Zapłonęło ogromne czyste słońce i zrobiło się gorąco jak w sierpniu. Wielki prostokąt światła rozarzył się na podłodze. A orkiestra ciągle jeszcze grała walca "Na sopkach Mandżurii".

- Jestem pozytywnym cynikiem. Dlatego się nadaję. Mnie po drodze z wami.

- Pan się nie umie zdobyć na coś zwariowanego, prawda? Nigdy pan nie potrafił.

- Nadziejo droga, to nieładnie robić mi takie wyrzuty w momencie, kiedy Halina poszła kupić rozpuszczalnik.

Chciała coś powiedzieć, ale zmlczała. Patrzyła na mnie tymi kosymi oczami, które wcale nie były zielone, choć powinny być zielone. Te oczy miały intensywną fiołkową głębię i wydawało mi się, że odrobinę fosforyzują. Przykucnęła przede mną.

- Szkoda, że nie ośmieliłam się poznać pana wcześniej.

- Ty mnie z kimś mylisz.

- Nie, jej Bohu. Zapytaj Halinę.

- Poczujesz się między nami zagubiona i szukałaś bratniej duszy. Kacapskiej, dzikiej, sumaszedszej duszy.

- Za co pan nas tak nie lubi?

- Ja wszystkich nie lubię. Albo, jeśli chcesz, wszystkich lubię. Nawet tych biednych sekretarzy waszego i naszego, którzy w tej chwili być może całują się bez ochoty w usta. A ciebie, Nadziejo, po prostu kocham. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Ty jesteś jednak polski pan. Białopolak.

- Chodź, siądź tu koło mnie.

- Jeszcze czego. Już mi przeszło.

- Ale tak będzie wygodniej.

- Jest mi pan obojętny.

- W porządku. Tym bardziej możesz sięgnąć na swoim panieńskim Łózkku.

- A skąd pan wie, że jestem panienką? Może miała już trzech mężów.

- Pierwszy był artystą, drugi kierownikiem sektora w KC, a trzeci Polakiem, który cię wywiózł z ojczyzny.

- Niech pan mówi dalej. Odczuwam wstręt. Wyleczę się przynajmniej z odurzenia.

Pachniała henną albo jakimś syberyjskim ziołem. A te włosy mogłyby być wodorostami w tajemniczej rzece usuryjskiej. Usiadła obok mnie z zagniewaną miną.

- Nadziejo miła, ty sobie kpisz ze mnie. Wy wszyscy odrobinę kpicie ze starszego człowieka nadającego się już tylko na podpałkę.



- Nie mam ochoty rozmawiać.  
- Musisz ze mną rozmawiać, to twój obowiązek. Masz mnie zagłuszać, ogłuszać, znieczulać.  
Spostrzegłem ze zdziwieniem, że te ogromne włosy, jak szczerzolyty czepiec, że te włosy drżą leciutko, a ona chowa twarz w ich gestwinie.

- No nie, Nadziejo, tak nie można. Dlaczego płaczesz?  
Objąłem ją, przyciągnąłem do siebie.  
- Sama nie wiem - chlipnęła. - Taka jestem rozstrojona.  
Pocałowałem w policzek, gdzie biegła ścieżka łez.  
- Kocham ciebie. Pokochałem w ciągu godziny, na przestrzeni całej epoki, ostatniej ery mojej ziemskiej nieskończoności. Wierzysz mi?  
Kiwnęła posusznie głową. Czuję jej gorący ciężar w swoich rękach. Tak było wiele razy. Jak było wiele nocy, świtów, przedwieczorów. Ale teraz zdawało mi się, że trzymam ciało pobłogosławione przez opatrność, magiczne ciało kobiety, o którym śni się całe życie. Ciało dziewczęce i kobiece, ciało - przygoda, ciało-schronienie. Po prostu pierwszy raz ogarnęła mnie jakaś przejmująca tęsknota do młodej kobiety zespolonej za mną siostrzanym, może tylko ludzkim uściskiem.

Jednym słowem objął mnie nie znany dotąd nastrój rzewności i niepokoju, błogiej ulgi i niedobrych przeczuć. Wznagała się ta muzyka, orkiestry detętej za oknem i rosła we mnie chaotyczne pożądanie. A ona tuliła się do mnie coraz silniej, jakby chciała przynieść do przezroczystej ściany nieuniknionego.

Więc poszukałem jej w tym habicie i znalazłem nieoczekiwane frędzliste prześwity i stwierdziłem, że jest naga pod tym szalem-ponczem. Coś chciałem pomyśleć przytomnie na ten temat, ale nie zdążyłem, bo ujrzałem przed sobą łagodne wzgórza jej piersi i wydało mi się, że pierwszy raz w życiu widzę piękne piersi kobiece i zadziwiłem się ogromnie, i z kojąca rozkoszą ułożyłem głowę w cienistej przełęczy między tymi piersiami.

Gdzieś tam w tyle mojej głowy kołatała przyćmiona świadomość uczestnictwa w magicznym obrzędzie i ów popłoch, owa zaćma, ta gorączka, która towarzyszy mi zawsze w tych grzesznych chwilach, cały dwuznaczny animализm sześciu w melodii naszych beładnych szeptów oraz pocałunków.

Potem chciałem wejść w nią i nie mogłem. Zaskoczony, walczyłem z jej oporem, ale to nie był jej opór, bo ona chciała mnie, to był opór jej bezgrzeszności. Wreszcie wdarłem się w gorącą, przejmującą ciemność.

- O Boże - szepnęła.

I w tym momencie odezwał się przeraźliwie telefon nad naszymi głowami. I wydał mi się jak rechoł pneumatycznego młota. Stał ukryty zdradziecko na parapacie okiennym i alarmował nas z całych swoich mechanicznych sił.

Zamariem, ona również ucichła. Dzwonek rzeził nad nami nagłaco, z pretensją, z potępieniem.

- Odbierzcie telefon! - krzyknął chory z drugiego pokoju.

Wstałem, okryłem ją tym habitem, a ona zasłoniła twarz ramieniem tak porażająco pięknym, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. Rzeczywiście zgięta w łokciu ręka młodej kobiety wydała mi się w tamtej chwili jakąś bolesną doskonałością. Nie odrywając wzroku od tych zdumiewających owalów oprawnych w przejrzyste złotawe cienie, podniosłem ciężką niczym wiosło słuchawkę.

A włosy Nadzieży, czerwonawe, ogromnie żywe i zachłanne włosy rozsypały się po ordynarnym szarym kocu tego szpitalnego albo więziennego łóżka.

- Halo - powiedziałem ochryplym głosem.

- Mówi Halina. Wszystko w porządku. Tylko jaki pan woli kanister. Bo są do wyboru. Czerwonony, żółty, niebieski?

- Kanister?

- Pan nie wie do czego? Więc jaki kolor?

- Czy to ma znaczenie?

- Nie wiem. Może mieć. Wolałam zapytać.

- Dobrze. Niech będzie niebieski.

- To na razie. Za chwilę będę z powrotem.

Po niebie znowu gnały chmury namoknięte burzową czernią. Moja orkiestra nie wiadomo kiedy umilkła. Pod domem maszerował kilkusobowy tłumek skandując nierównymi głosami:

- Polska, Polska.

Nieśli zmięty transparent z odrywającymi się literami, które składały hasło: "Niech żyje 22 lipca 1999 roku" Położyłem słuchawkę na widełkach.

Nadzieжда wstała raptem i nie spojrzawszy w moją stronę, jak lunatyczka wyszła z pokoju. Patrzyłem trochę ogłupiały w spękaną srebrzyście szybę. Spostrzegłem resztkę tej syberyjskiej nalewki w mojej albo w Nadzieжды szklance. Machinalnie podniosłem ją do ust, wypilem gorzko-słodki łyk ziarnistego osadu. Usiłowałem opanować chaotyczne myśli, zrationalizować jakos tę dziwną sytuację.

Na dole przy strzaskanej latarni ulicznej stał ten chłopak z prowincji i bawił się żółto-czerwonym liściem klonowym. Czekają na mnie.

Najlepiej byłoby wyjść stąd chyłkiem i poczekać na Halinę na schodach. Ale jak to zrobić? Pokój miał tylko jedno drzwi, za którymi była moja niespełniona Nadzieжда i ten sparaliżowany starzec, co krępował mnie najbardziej. Znalazłem się w potrzasku, jak mawiali dawniej si literaci. W potrzasku własnej lekkomyślności. W potrzasku gusek skośnookiej rosyjskiej dziewczyny. I kac mną trzęsie, ten kociokwik, którego nabawiłem się wczoraj.

Otworzyły się z trzaskiem drzwi. Weszła Nadzieжда trzymając w obu dłoniach szklanki z herbatą. Uśmiechała się, jak gdyby nigdy nic, choć w tych skośnych oczach miała resztki łez.

- Napijesz się czaju? - spytała swoim normalnym, to znaczy zadziwiająco niskim głosem.

Wziąłem w milczeniu swoją szklankę. Prostokąt słonecznego światła zaczynał się już wspinąć na przelwitę ścianę. Gdzieś znowu grały orkiestry, ale wśród nich nie było naszej, tej od "Sopek Mandżurii".

- Halina już idzie - powiedziała Nadzieжда.

- Czy ty się na mnie gniewasz? - spytałem niepewnie.

- Może i gniewam się - rzekła, a potem dodała spiesznie; - gniewam się, że w ogóle ciebie spotkałam.

Patrzyłem na nią ze ściśniętym sercem. Odrzuciła na plecy ten ciężki welon czerwonych włosów i z namysłem piła mocną, gorącą herbatę wpatrzona w zamgloną szklankę.

- Nadzieждo, czy ty zwariowałaś? - odezwałem się wreszcie.

- Dlaczego? O co ci chodzi?

Zmieszany, także zapatrzyłem się w swoją szklankę.

- Ty wiesz, o co mi chodzi. Ja jestem przechodniem. Jutro już będę bardzo daleko. Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego się zgodziłaś?

- Może dlatego.

- Jak ty się w ogóle uchowałaś w tym dzisiejszym świecie?

- Widzisz, ja jestem ruska barysznia - zaśmiała się i pobeitała łyżeczką herbatę, w której już nie było cukru.

- Dawniej bym powiedziała: jaka szkoda, dziewczyno, że nie spotkałismy się wcześniej.

- Ale teraz już wiesz, że spotkałismy się, kiedy było trzeba.

- Nic nie wiem, Nadzieждo. Buczy mi w głowie i myślę, że to wszystko to nieprawda. Zdarzało mi się śnić bardzo realnie.

- Dzisiaj już nikt nie wierzy w sny. Sny to śmiecie ze złego dnia. Sny to grafomańskie, nie napisane wiersze.

- Coraz lepiej mówisz po polsku.

- Jak chce, to mówię bardzo dobrze po polsku.

- Tyle mam ci do powiedzenia. Gdybym się nie wstydził i gdyby był na to czas.

- Ja wiem wszystko, co chcesz powiedzieć.  
 - Tak dobrze mnie znasz?  
 - W ogóle nie znam. Zobaczyłam cię dzisiaj pierwszy raz w życiu.  
 - Mówiłaś, że czytasz moje rzeczy.  
 - Tak mówiłam? Wszyscy Polacy i wszyscy Rosjanie piszą. Mogłam powiedzieć, ale nie miałam pojęcia, że piszesz.  
 - Nadziejo, co to znaczy?  
 - To znaczy, że zakochałam się w tobie w ciągu kwadransa, tak jak ty we mnie.

- Żartujesz, a podobno Rosjanie nie żartują.  
 - Jeszcze jest kilka sekund do namysłu. Masz odwagę uciec?  
 - I nie oswobodziwszy świata z niewoli?  
 - My będziemy wolni.  
 - Ja już jestem wolny.  
 - Więc i ja się stanę wolną. Dwoje ludzi to początek społeczeństwa. W głębi mieszkania trzasnęły drzwi. Nadziejda odstawiła pustą szklankę, podszedła do mnie. Patrzyła w moje oczy ogromnymi tęcza-  
 mi, które jednak były zielone jak niegdyśjsze butle na wino.

Objęła mnie raptem.

- No co, miły, co?  
 - Myślisz, że byliśmy sobie przeznaczeni, choć rozminęliśmy się o kilkadziesiąt lat?  
 - My jesteśmy sobie przeznaczeni.  
 - Ale w jaki sposób, dziecko?  
 - Mamy jeszcze siedem godzin przed sobą. Siedem godzin wieczności.

Dobry zły tytuł.

Pocałowała mnie czule w usta.

- Tam jest dobrze.  
 - Gdzie?  
 - Tam. No wiesz. Ja tam byłam.  
 - Co ty znowu opowiadasz?  
 - Zamarzyłam w tajdze, ale mnie odratowali. Kilkanaście minut, a ja myślałam, że to całe życie.  
 - Nadziejo.  
 - Co, miły?  
 - Jeszcze nic nie wiadomo. Wszystko w moich, wszystko w twoich rękach.

- Już nie zdążymy uciec. Przegapiliśmy ostatni moment.

Pocałowaliśmy się słonymi ustami.

- Chcesz, pójde z tobą na stos.

Ale w tym momencie zapukano do drzwi. Odstąpiliśmy od siebie. Weszła Halina z niebieskim plastikowym kanistrem w rękę. Edżeja z głowy beret, zaczęła go otrzępywać rzeczowo o poręcz krzesła.

- Znowu pada? - spytałem, żeby coś powiedzieć.  
 - Rozmydlili nawet pory roku - rzekła. - Wszystko leci razem: śnieg, słońce, wichur, deszcz. Najlepszy rozpuszczalnik importowany z Nowej Zelandii. Zapałki kupimy w sklepie walutowym i potem doniesiemy. Nadziejda wprowadziła w szczególności?

- Tak, wprowadziła.  
 - Czy pan ma może pytania albo wątpliwości?  
 - Nie wiem, co mam z sobą robić.  
 - Przecież dałam panu broszury.  
 - Tak. Ale nie wiem, co robić do ósmej wieczór.  
 - Ja też nie wiem. Może chce się pan pożegnać z przyjaciółmi, z miastem.

- To nie moje miasto.

- Najlepiej wziąć proszek i zasnąć. My pana obudzimy.

- Dziękuję, poradzę sobie.

- Nadzieжда, co tak stoisz i patrzysz w okno.
- Zamyśliłam się.
- Wziąłem do ręki niebieski kanister. Ważył sporo ten mój багаż podróżny w daleką podróż.
- No to idę - powiedziałem niezdecydowanie.
- Będzie pan pod naszą opieką. Proszę się niczego nie obawiać. I punkt ósma pod salą kongresową. My tam też przyjdziemy.
- Ukloniłem się, a benzyna zabulgotała głuśnie w plastikowym zbiorniku. Nadzieжда stała zwrócona twarzą do okna. Z jej włosów mrzyła żagodna czerwień, jak ze spopielałych węgla w zimowym piecu. Wyszedłem do drugiego pokoju.
- Pan odchodzi? - spytał chory.
- Tak. Już pora.
- A ja zostaję. Zapomniał o mnie Pan Bóg. Przeżyłem swój czas i swoją legendę. To największa męka, a przecież wiem, co to męka. Zazdroszczę panu.
- Teraz przypominam sobie, że swego czasu słyszałem o panu.
- Mógł pan słyszeć. Moje wspomnienia przetłumaczono na trzynaście języków. A w kraju handlowano nimi na czarnym rynku. Potem przeszło kilka pokoleń i stratawało. Nikt już nie pamięta.
- Zabulgotałem wesoło swoim niebieskim kanistrem.
- O mnie też zapomną.
- Nie daj Bóg. Myśli pan, że jesteśmy świadkami zagłady narodu?
- Nikt tego nie wie. To wspaniałe i straszne, że nikt nie wie, co oznaczają jego gesty, uczynki, szaleństwa. Martwimy się śmiercią narodów, a tymczasem cała galaktyka leci w otchłań nicości. Znowu grad. Co za jesień.
- Po mojemu to jeszcze lato. Nie lubię, panie, przyglądać się systemom planetarnym. Póki jesteśmy na ziemi, trzymajmy się jej pazurami. Mnie wolno tak mówić, bo ja trzymam się jednym złamanym pazurem.
- To znaczy błogosławi mnie pan na drogę? - puknąłem w chrópowaty bok karnistra.
- Nie warto tak dalej żyć - powiedział i zamknął powieki. Mimo białej brody i osiwiiałych włosów wyglądał zastanawiająco młodo.
- Wie pan co. Mam przeczucie, że wielu ludzi na całym świecie kupuje benzynę i szuka kanistrów jak ja. Bo ja mam niezwykły instykt nadsładowczy. Co kiedy zrobiłem, okazywało się, że i wszyscy inni to zrobili. Odnajdywałem się pośrodku. W samym statystycznie przeciętnym srodku. Taki jest mój życiowy nefart.
- Nie może pan być pierwszym, niech pan będzie ostatni. /To też dobra pozycja.
- Przyglądałem mu się bez sympatii. Wiedziałem, że on mnie także obserwuje przez szparki w powiekach. Może go tu położono, aby i on mnie pchnął palcem ku memu przeznaczeniu? Może leży pod tą zmietoszoną kołdrą w wizytowej koszuli i w sztuczkowych spodniach, gotów w każdej chwili po moim wyjściu skoczyć na święteczny bankieci?
- W telewizorze ciągle jeszcze pokazywano Zjazd. Właśnie radziecki sekretarz z namaszczoną miną wręczał jakiś sztandar albo chorągwie namaszemu sekretarzowi, który ukląkł i czokobitnie ucałował skraj haftowanej materii. Na sali, a zaraz ją pokazano, wybuchnął natychmiastowy entuzjazm. Wszyscy zerwali się z miejsc, oklaskiwali żarliwie zdarzenie, niektórzy unieśli dłonie i coś wołali w ekstazie, ale co wołali, tego nie wiedziałem, ponieważ ogólnym zwyczajem i w tym domu wyłącznie no głos w aparacie podczas podniosłych transmisji.
- Tem siwy człowiek, żywa relikwia albo zwykły naganiacz, ten siwy świętek podniósł prawą rękę w geście pożegnania albo błogosławieństwa.
- No tak - powiedziałem i wyszedłem.
- Na schodach obejrzałem naczynie z ognistym balsamem. Mieściło chyba z pięć litrów. Spróbowałem otworzyć kapsel. Funkcjonował sprawnie. Niebieski kolor - kolor niewinności. Niewinność nie rzuca się w oczy. Można iść, trzeba iść. Dokąd? Po drodze zobaczymy.

Ułamałem na półpiętrze kawałek szyby. Z niewiadomej przyczyny byłem okopcony. Spojrzałem przez niego w niebo, gdzie znowu pobłyskiwały spieszne refleksy słońca. Ale w tych czasach nikt już nie obserwował zaćmienia słońca i księżyca. Popieprzyli się ludziami daty oraz terminy we wszystkich blokach ustrojowych i militarnych. I ja nic ciekawego nie zobaczyłem na zmęczonym niebie, niebie wycieńczonym przez anomalie klimatyczne, więc rzuciłem okiem na ścianę, lecz i tam znalazłem tylko dobrze znane od wielu lat napisy antypaństwa, których państwo nie miało już siły ścierać i zamalowywać.

Zszedłem na dół, a tam w sieni zderzyłem się z Sacherem, tym sędziwym rewolucjonistą o fanatycznych oczach. Wracają z ogonków i niósł jakąś zdobycz, bo stara jego teczka wzdęła się jak syty pyton.

- Ja pana skądś znam, prawda? - zatrzymał się Sacher przegradzając drzwi wyjściowe.

- Tak, zna mnie pan. Spotkaliśmy się tylko raz, ale w dramatycznych okolicznościach.

- Wręczałem panu order, nagrodę czy nominację?

- Nie. Wyrzucił mnie pan z partii.

Uśmiechnął się przygaszając chłodne błyski fanatyzmu w oczach.

Fanatyzmu nieaktualnego, jak zapomniana bliźna.

- Ja nikogo nie wyrzuciłem z partii. Pan się myli.

- Raz jeden pan wyrzucił. Grupę wyznawców profesora marksizmu.

- Ach tak. Jak mu tam było?

- To nieważne. Ważne jest, że nie mam do pana żalu.

- Musieliśmy tak postąpić. To było słuszne na tamtym etapie. Po-tem nastąpiło zamieszanie. Ale wtedy mogłem jeszcze uratować kraj.

- Jak panu leci?

- Dziękuję. Wróciłem do filozofii. Właściwie do historii doktryn filozoficznych. Wróciłem na swoje miejsce. Jestem wolny. Wreszcie wolny.

- Pan jest także wolny?

- A co, pan też?

- Owszem. Coraz więcej spotykam wolnych ludzi.

- Bo wolnym naprawdę można być tylko w niewoli. Przepraszam za banał, młody człowieku. Lubi pan chodzić?

- Chyba lubię.

- Niech pan spaceruje. Dużo. Co najmniej dziesięć kilometrów. Wtedy się najlepiej myśli. Obserwacja przyrody, zachowań ludzkich, a nawet nieba. Na niebie też jest ruch. Dosłowny i w przenośni. A ruch, młody człowieku, jeśli sięgnijemy do klasycznych filozofów. Może pana nudzę?

- A czy jest pan szczęśliwy? Nie żal panu władzy, bezkarności związanej z panowaniem nad ludźmi, uniesień pychy równej pysze boskiej?

Sacher roześmiał się szczerze, wyjął niezbyt czystą chusteczkę, żeby wytrzeć oczy.

- Jestem filozofem. A filozof potrafi wybaczyć i sobie, i bliż-nim.

- Co wybaczyć?

- Że nie zdali egzaminu. To nasz grzech pierworodny,

- Wie pan, ja dokładnie pamiętam wieczór, kiedy obmacani przez dziesiątki agentów, prześwietleni przez rentgeny, obwacani przez nadzorców, dostaliśmy się do tego sanktuarium partii, gdzie czuwało biuro polityczne. Pamiętam wokół okrągłego stołu te wszystkie fizjonomie, które zwykle widywałem piasko zawieszzone na ścianach urzędów. To byli nasi sędziowie.

- Ale przecież pan nie ma żalu?

- Oczywiście. Pana gest w moją stronę i słowa "Zawiesić w prawach członka partii" zwróciły mi wolność.

- Ja także to przeżyłem kilkanaście lat później. Czy w połowie

przesłuchań zarządzono przerwę na kolację?

- Tak, pan wstał i powiedział nieoficjalnym, ludzkim głosem: "Pora, towarzysze, coś przekąsić".

- Przy mojej sprawie też ktoś powiedział takimi samymi słowami. A jakie było menu u pana?

- Nie u mnie, tylko właśnie u pana. Przeszliśmy do drugiej sali, gdzie na stołach ozdobionych kwiatami w ikebanach stały poledwice, jeiotry, szynki, może nawet kawior. Popijaliśmy soczkami imperialistycznymi. Cmokaliśmy pospołu, ofiary i kaci, ścieraliśmy ukradkiem majonez z bród, rozrywaliśmy na ćwiartki soczyste pomarańcze, choć w mieście było nietęgo, brakowało nawet cytryn dla grypowców.

- Patrz pan, ten sam zestaw był przy mojej sprawie. Chociaż kawioru sobie nie przypominam. Może to jest ten humanizm socjalistyczny, którego ani pan, młody człowieku, ani ja nie umieliśmy dostrzec. To co, jesteśmy kwita?

- Wszystko jedno - i spojrziałem na swój kanister, po którym pełznął beżmyślnie pajak.

- Niech pan dużo spaceruje. To moja rada. Lecę do domu, do telewizora, bo dziś po obiedzie "Zwierzyniec", mój ulubiony program i moi przyjaciele - zwierzątki z nim występujący.

- Nie zobaczy pan swego bezgrzesznego "Zwierzynca". Bo dziś zjazd partii. Od rana do nocy. W telewizji, w gazetach, w kinie. W każdym domu.

- O Matko Boska, ale pan mnie zmartwił. Trudno, pójdę na spacer. Pomysłowości w życiu, młody człowieku.

I zapalił na nowo swoje smoliste oczy, jak kot wkraczający w ciemność i stękając zaczął się wspinać po wyszczerbionych schodach.

Wyszedłem na ulicę. Jakaś pani, silnie podchmielona, pchała wózek z dzieckiem. Dla urozmaicenia puszczała pałak pojazdu, później go doganiała, udając, że chce kopnąć w brezentowe pudło. Mocno ją zносиło w stronę jezdną zasypanej resztkami kolorowych bibulek i oderwanych od transparentów liter.

Wtedy nagle zobaczyłem, że z Mostu Poniatowskiego poszedł wielki kłab kurzu i środkowe przeszło, niczym potężna winda, osunęło się majestatycznie do wody, która zagotowała się na krótką chwilę. Dopiero teraz usłyszałem odgłos głuchego tapnięcia. Drobnie figurki ludzi zbiegały z resztek mostu na wszystkie strony.

- O kurwa - rzekła z zachwytem nietrzeźwa pani. Ale zadymiło. Śpij, maleńki, śpij - pohaństała dziecko w wózku. - Pierwszy raz coś takiego widzę.

- Ja też. Domy na moich oczach zawały się, ale mosty nigdy - powiedziałem grzecznie. - Pewnie demonstranci szli w nogę.

- Nie szkodzi, jeszcze parę mostów zostało. A co pan niesie w tym dzbanuszk?

- Benzynę.

- Szkoła. Tak mnie suszy. Saturatory nieczynne, gazu nie dowieźli. Śpij, maleńki, śpij, bo dam kopa.

I łagodnymi zakosami pohalsowała w stronę Wisły, gdzie środkiem murtu płynęło hasło ułożone z wianków i palących się świeczek: "Zbudowaliśmy socjalizm!". Ale koniec hasła był już zmasakrowany, bo dostał się w obręb mostowej katastrofy. Ostatnie dwie litery, mocno poturbowane, odpiły ku przeciwnemu brzegom. Wykrzyknik tonął schwytyany przez wiry.

- A może mnie utworzyły, niczym obłok pyłu kosmicznego, wasze marzenia, tortury, smutki, niedole.

Odwrociłem się gwałtownie. Ten chłopiec z prowincji stał przede mną z liściem klonu w ręce i uśmiechał się niesmiało.

- Co to jest? - spytałem.

- Pana teksty. Umieję na pamięć.

- A skąd tu się wziął?

- Przyjechałem ze Starogardu.

- Do mnie przyjechałeś?

- Tak, do pana. Tylko nie miałem śmiałości przyjść do domu. Proszę się poczęstować - wyciągnął ku mnie otwarty chlebak żołnierski wypełniony rajskimi jabuszkami. - Z naszego ogrodu.

Ugryzłem słodki, soczysty owoc, nie znany, a raczej zapomniany w naszym kraju.

- Pewnie piszesz wiersze.

- Nie, prozę.

- Ale ja już ci nie pomogę. Wypadłem z układów.

- Nie potrzebuję pomocy. Chciałem pana tylko poznać. Wieczorami czytałem pana. Całą rodziną. Tatusz opowiadał, że znaleście się w dzieciństwie.

- A jak ty się nazywasz?

- Skórko. Tadzio Skórko.

- Nie pamiętam. Możliwe. I czego chcesz ode mnie?

- Niczego. Niech pan pozwoli, ja będę chodził razem z panem.

- Ży dzień wybrałeś,

- Ja wiem. Pan pozwoli. Wieczorem wyjadę.

Przyglądałem się krytycznie temu Tadziovi ze Starogardu i w mojej wycieńczonej duszy nie zakwiliła próżność, nie stęknęła pycha, bo ja byłem stary wróbel. Znałem już dobrze tych zdolnych, delikatnych, uczciwych młodzieniaszków, co wyrastali szybko na sprzedajnych, brutalnych chamów.

- Poniosę panu bankę.

- Jak chcesz, możesz nieść. Ale ty źle, Tadzio, wybrałeś. Mogę ci podać adresy ważniejszych artystów, przy których więcej skorzystasz.

- Niech pan pozwoli. Błagam pana. To dla mnie bardzo ważne.

I odwrócił się, i otarł ukradkiem łzę. Ale ja byłem nieprzekupny.

Stawałem się tylko ostrożniejszy. Jak chce, niech idzie. Ale mnie nie rozmiękczy. W tych czasach już nikt nie czytał książek, jak czytano je sto lat temu. W moich czasach z jednakowym wrażliwym trawiono broszury reżimowe i Prousta, sensacyjne powieści amerykańskie i Joyce'a. Pochłaniano te książki nadziewane czarnymi literami i natychmiast je wydalano. Nikt nie strzelał sobie w kłeb z powodu smutnego zakończenia powieści. W ogóle nikt jej już nie pamiętał następnego dnia. A ten mi tu sady cytatami, które mogą być moje, ale mogą też być własnością każdego innego gryziopiórka.

Brzęknęła szyba otwieranego okna.

- Proszę pana! Proszę pana! - ktoś wołał za mną.

Odwróciłem się i zobaczyłem Halinę wychyloną przez zbutwiały parapet.

- Proszę zaczekać! Już do pana schodzę!

Może zrezygnowała, pomyślałem. I raptem zrobiło mi się szkoda. Szkoda tego rozpuszczalnika, szkoda moich nerwów i szkoda okazji. Już się trochę przyzwyczaiłem. I właściwie pora odpowiednia. Idą dni zimowe, straszne, czarne i krótkie dni przemieszane z jeszcze czarniejszymi, długimi bez końca nocami. A mój abonament na życie dawno już wyekspirował. Żyję poza limitem. Wszystkich irytuję, pana Boga także.

- Pan da bankę - powiedział cicho Tadzio.

- Masz, ale uważaj, nie rozlej - rzekłem bez przekonania.

Oddamy ją do sklepu. Może zwróca pieniądze. Przed chwilą jeszcze był to straszliwy, śmiercionośny płyn. Teraz wydawał mi się tyle wart, co sfermentowana lemoniada.

Halina wybiegła z domu wciągając w pośpiechu zielony sweter pamiętający jeszcze wielką wojnę. Przyłączył się do niej jakiś piesek, biegnący, jakby chciał schwytać zębami za łydkę i szczekał przeraźliwie.

- Hubert zastał - powiedziała zdyszana.

- Gdzie?

- W kinie "Wołga".

- Już dziś rano miał atak.

- Jest umierający. Był telefon. Musimy tam zdążyć.

I puściła się biegiem w stronę skarpy wiślanej. Znowu pokazały się siołce, jakby po namyśle nadciągała wiosna. W mieście postekiwały orkiestry, huczał także, budząc dziwne echa, basowy bełkot gigantofonów niczym grzmiący głos Boga w Dzień Sądu Ostatecznego. Fieśsek przyłączył się do nas na dobre. Od razu wybrał sobie Tadzia na kompana.

Ale przyhamował nas gwizdek milicyjny. Oczywiście dwóch młodocianych funkcjonariuszy kiwało na mnie palcami.

- Kopnę w brzuch - powiedziałem. - Niech się dzieje, co chce.

- Nie wolno dać się sprowokować - zasyczała Halina. - Zabraniam panu. Ja odpowiadam za akcję.

- Tym razem dam po ryju. Mnie wszystko jedno.

- Zabraniam panu - dyszała Halina.

Nie ruszyli się z miejsca. Stali czekając na mnie. Podszedłem lewnie prowokacyjnym krokiem zapatrzony we florenckie niebo nad Warszawą. Umyślnie zapiałem ostatni guzik w kurtce, aby widzieli, że nie zamierzam szukać dowodu osobistego.

Lecz oni zaszalutowali grzecznie i jeden z nich rzekł jakając się:

- Przepraszam szczerzownego papana, jak trafić nana Plac Defilad?

- Prosto przed siebie. Na tę skarpe i potem dalej prosto aż do placu. Co to, miasta nie znacie? - Czego was tam uczą w tych szkołach. - Powiedziałem impertynencko.

Bo mignęła mi myśl, że gdybym został aresztowany, to problem rozwiązałby się samoczynnie. To też jest wyjście. Nawet w pewien sposób honorowe.

Ale milicjanci zamiast odpaść od pasa metrowe pały, wprowadzone z okazji jakiejś rocznicy, zmieszali się jeszcze bardziej, a jakaś zdjął czapkę i ukłonił mi się pokornie z chłopską.

- My nie tutejsi. Babardzo przepraszamy i dziękujemy.

- No, na przyszłość uważajcie - powiedziałem wracając do Haliny, która nerwowo zaciskała palce.

Biegliśmy pod górę po starej brukowanej uliczce zarastającej od lat agresywną trawą zwaną w moich stronach podróżnikiem. Na czoło wysforowała się Halina. Widziałem jej bosa nogi, nieładne, zbyt szczupłe, porośnięte krótkim, szorstkim włosiem. Pochodziła ona z tych ostatnich marnych fizycznie pokoleń. Wszyscy oni byli mali, chudzi, garścieni. Ale tylko w nich tklił się opór wobec władzy, która także z biegiem lat zbrzydła w drugą stronę, to znaczy rozżyła się, rozrosła wszcz, zbabiła. Więc biegnąc za Haliną uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że jest ona także samica, ale samica jakby innego gatunku, mnie nie dotycząca. Czasem oglądała się na nas i widziałem jej twarz, właściwie niczego sobie, może ktoś inny z jej gatunku dopatrzyłby się rysów gotyckich, może bizantyjskich. Ale dla mnie była obca, jak obce było całe jej plemię, być może plemię pierwszych chrześcijan w upadającym Rzymie komunizmu. I nagle poczułem się staro, lecz świadomość ta wcale mi nie sprawiła przykrości. Mój świat był barwniejszy, świat zhierarchizowany, świat niesprawiedliwości społecznej, świat brutalnej walki o byt. I moja walka była inna i moja bierność była inna. I upadki jakby głębsze i wzloty jakby wyższe. Wiem, że to samopoczucie odchodzącego w niebyt pokolenia. Wiem, że czas współczesny wymusi na nich małość i wielkość, pewnie takie same, jak nasze, choć przystosowane do wymiarów przyszłości. Ale, przysięgam Bogu, mnie ich żal, a siebie nie żal.

No i dopadliśmy kina "Wołga", które za moich czasów nazywało się jeszcze "Skarpa". Na frontonie wyszczerbiony neon anonował radziecką komedię muzyczno-satyryczną "Świetlana przyszłość", ale ja wiedziałem, że pod tym szyldem idzie tu w tej chwili premiera rodzimego filmu pt. "Transfuzja" w reżyserii Władysława Bułata. W ostatnich latach wyrobiła się taka praktyka, że filmy polskie, których reżim wstydził się z jakichś powodów przed Moskwą, że takie filmy były /puszczane cichcem



za parawanem obrazu radzieckiego, Szały one w ten sposób w wielu kinach przy dużej frekwencji, a reżyserzy, czczeni przez reżim, zagranicę oraz miejscową opozycję, ubiegali się o taką formę rozpowszechniania. Zdarzały się nawet afery żąpówkowe na tym tle.

Mój testament. Moja ostatnia wola. Kłopotliwy dokument, bo nie ma spadku, nie ma spuścizny. Niczego się nie dorobiłem i niczego nie zdobyłem. Nawet ten szmelc pamiątkowy mnie się nie trzymał. Żadnych ciekawych listów od wybitnych ludzi. Żadnych suvenirów z podróży, żadnych śladów literackiej wegetacji. Jedyne dobro materialne, jeśli je tak można nazwać, moje zwłoki zapisuję z ochotą prosektorium Akademii Medycznej dla ćwiczeń młodych chirurgów.

Ale przecież wstyd odchodzić niczego nie zostawiając. Coś wypada zapisać żywym, żeby była choć najmniejsza korzyść z mego życia, z mojej krótkiej obecności na ziemi, gdzie zajmowałem miejsce innym, gdzie odejmowałem bliźnim smaczne kąsy od ust, gdzie czasami psułem krew współczesnym.

Szperam w myślach po tych paru szufladach kryjących mój dobytek duchowy i materialny. Kilka starych fotografii, trochę nieaktualnych dokumentów, zaschnięte długopisy, uszkodzone pióro, co kiedyś przynosiło szczęście, a potem przestało przynosić. Spinki do mankietów otrzymane na któreś imieniny, małe żaróweczki do nie wiadomo czego, czyjaś praca magisterska o mnie, kiedy byłem krótko modny, jakiś niezniszczony przez roztargnienie list z komplementami od osoby ułomnej, zwietrzała pigułka na nadkwasotę, paprochy tytoniu, ślady nadpalenia po zapomnianych papierosach.

A jednak widzę coś, co z pewnym onieśmieniem mógłbym ofiarować potomnym. To są dwie stare, wielokrotnie wznawiane recepty, dwie różowe wstążki papierowe z niemodnym przedpotopowym nadrukiem. Wypisał mi je kiedyś, nie pamiętam już kiedy, zaprzyjaźniony lekarz, który dawno wyjechał z kraju, przepadł bez wieści, wyekspirował z naszego życia. Te dwie recepty dotyczą marnej, wstydlivej dolegliwości. I dlatego mówię o nich z pewnym zażenowaniem. Lecz przecież wiem, że te paskudne, nieapetyczne, wręcz niehonorowe skazy najczęściej przysparzają zmarciwień. A ludzie delikatni nie ośmielają się szukać porady i borykają się przez lata z takim niemiłym kalectwem. Więc nie mogąc wiele, chcę być wzorem moich mistrzów - pożyteczny w małym.

Przystępując do rzeczy zapisuję swoim biednym potomnym cierpiącym na kupież wypróbowany środek, który ich uwolni z kompleksów, uczyni choćby na krótko szczęśliwymi.

Oto recepta na maść:

Ac. Salicyl.	2,0
Liq. carb. deterg.	
Sulfuri ppt. aa.	4,0
Ol. Ricini	6,0
Acoleps suille ad	40,0

A to recepta na miksturę:

Ac. salicylici	2,0
Ac. biboryci	2,0
T-rae chinae	5,0
ol. Ricini	1,5
Spir. vini 70 ° ad	100,0

Najpierw o maści. To smarowidło należy wetrzeć w skórę głowy dość obficie i najlepiej przed nocą. Żeby nie pobrudzić poduszki, doradzam całą głowę obwiązać starym ręcznikiem, albo nałożyć po prostu jakiś plastikowy czepiec kąpielowy, czy coś w tym rodzaju. Maść winna pozostawać na głowie przez całą noc. Rano biorąc kąpiel, proszę bardzo starannie umyć głowę, może nawet kilkakrotnie. Uwaga na oczy.

Oczy strzec przed maścią.

Taka kuracja, nawet jednorazowa, da z pewnością pozytywny wynik. Aby utrzymać chędogi stan skóry na głowie polecam nacierać ją raz w tygodniu tą drugą miksturą. Jeśli po jakimś czasie wróciła dolegliwość, należy kurację maściową powtórzyć. A miksturę zalecam co tydzień, w połowie okresu między myciem głowy a drugim.

Poruszę dyskretnie inną ohydną przypadłość. Otóż nawet najwspanialszym, najpiękniejszym i najbardziej uduchowionym osobom zdarzają się tak zwane zaparcia, czasem krótkotrwałe, sporadyczne, czasem okropne, trwające miesiącami. A takie uporczywe zaparcie, wstyd powiedzieć, zdoła uprzykrzyć najwniośliwszą egzystencję. Dlatego i w tym względzie spieszę z dyskretną pomocą. Oczywiście moja rada nie wszystkim pomoże, ale wielu czcigodnym ludziom może przynieść ulgę.

Zachęcam więc tych, którzy mi ufają, aby rano po obudzeniu się, na czczo wypili szklaneczkę zimnej, przegotowanej wody. Dużo dobrego spowodują także spożyte wieczorem, przed snem, suszone sliwki. W momentach krytycznych, kiedy już doprawdy życie obrzydnie, należy w miłym gronie gołnąć sobie gorzalki, ale zaznaczam, że nie mniej niż dwie sety, a najlepiej tak około trzech.

Jeśli moje recepty w poszczególnym przypadku nie odniosą należnych skutków, co może się zdarzyć, bardzo przepraszam i w formie pocieszenia daruję poszkodowanym niesłychanie skuteczny przepis na powodzenie w grze karcianej zwanej "oko". Nauczono mnie tego w dzieciństwie i później wiele razy błyszczałem wśród hazardzistów. Pokazał mi tę sztuczkę jakiś ludowy znachor, tajemniczy włóczęga, albo stary cygan przed śmiercią. Była to w każdym razie postać magiczna i jakby nie z tego świata.

Podaję dwa sposoby, bo w moich stronach grano w "oko" w dwóch wariantach: talia do dziewiątek i talia cała. Otóż, gdy zostajesz bracie bankierem przy talii do dziewiątek, wyselekcjonuj na dwa oddzielne stopy wszystkie figury i osobno dziesiątki oraz dziewiątki. Następnie obie te kupki kart potasuj z niedbałą nonszalancją. Rzecz jasna, któryś z graczy dostrzeże twoje manipulacje, zarzuci ci, że układasz karty, więc zaproponuj mu, żeby sam je potasował. A on z mściwym uśmiechem będzie je długo tasował, nieraz kilka minut, żeby zlikwidować skutki twoich manipulacji. Przyglądaj się temu niby z przestrachem, ale bądź spokojny. Im dłużej tasuje, tym kategoryczniej przybliża swoją klęskę. Bo w każdej prawie rozgrywce, albo przynajmniej w statystycznej większości, twój przeciwnik będzie miał tak zwaną "furę".

Przy całej talii na dwa osobne stopy trzeba rozdzielić figury razem z dziesiątkami i dziewiątkami oraz resztę od ósemek w dół. Tasowanie jak poprzednio.

Powiem szczerze, iż nie wiem, na czym polega ta sztuka. I nigdy tego nie dochodziłem. Uważam nawet, że lepiej nie ulegać pokusie wścibstwa. Wystarczy, że sposób jest skuteczny.

Można natomiast mieć wątpliwości, czy godzi się w ostatniej woli zdradzać sekrety szalbierstw karcianych. Ale myślę sobie z pokorą, że ci, którym całe życie wali karta, roześmieją się tylko z naiwnych guseł. Natomiast pechowcy poprobuja raz, drugi mojego sposobu i ograją czasem sześciolców karcianych doprowadzając do chwilowej równości szale wagi Nemezis.

Pod kinem stał spory tłum i czekał nie wiadomo na co, bo seans już się rozpoczął. Po drugiej stronie ulicy, w salonie mięsnym ogromne okno wypełniała wielka liczba 50 ułożona z kiełbas. Przemysł mięsny świętował pięćdziesięciolecie PRL. Ale kiełbasy były atrapami, z niektórych, widać uszkodzonych, prószczyły się nawet trociny. Pod żółtokryształowymi drzwiami drzemał ogonek starych kobiet. Dziś sklep był zamknięty z powodu święta, pod drzwiami stała pierwsza szychta klient-

tek na dzień jutrzejszy. Bliżej ulicy Foksal chwiała się i zataczała kolejka nietrzeźwych oczekujących na taksówkę. Ten postój wyspecjalizował się, obsługiwał tylko pijanych. Podjeżdżali tu taksówkarze pracujący w sektorze alkoholików.

Więc te trzy tkanki zgiły się niemrawo utopione w szarości ubiorów i beznadziejności obojętnego wszystkim świata. Nisko nad dachami domów leciał samolot z turystami, który w dni uroczyste krążył nad miastem. Ale dziś coś się nie udało, nastąpił pewnie defekt i srebrna, nadgrzyziona przez różę maszyna pikowała w stronę plaży po drugiej stronie Wisły z wyraźnym zamiarem kapotowania na złocistym piasku rozległego brzegu.

Weszliśmy do kina razem z tym psem, co się przybił, i z Tadziem, który dźwigał mój kanister. A tu w hallu wielki jubel, otwarcie wystawy obrazów byłego ministra kultury i członka Komitatu Centralnego. Całe pracowite życie strawił na gnojeniu artystów i ściąganiu zgniętałej sztuki, teraz, kiedy przeszedł na rentę, pozandroszczył raptem swoim ofiarom i sam się wziął do malowania. Seans się już zaczął, ale grupki wielbiciele muzy eksministra jeszcze się tłoczą wokół jarmarcznych obrazków, a na każdym bieżymie goła panienka z wyretuszowaną prudekcyjnie cipką, raz rączki założona za głowę, raz uniesione do góry, raz podtrzymujące wylizany biuścik. I tytuły wykonywane podczas bezsennych ministerialnych nocy: "Marzenie", "Przeczuć", "Zew zmysłów".

Sam autor krząta się z kieliszeczkami w dłoni koło swoich gości, lubieżnie zerka na jakieś wymyzerowane panienki, które nie dostały się na seans. A ci goście to również byli dostojnicy: generałowie bezpieczeństwa, sekretarze wojewódzcy, naczelnicy cenzury, wiceministrowie. Oni także weszli już w skład elity artystycznej. Piszą pamiętniki i powieści sensacyjne, uprawiają korzenioplastykę, komponują szlagiery, rzeźbią popiersia zmarłych kolegów. A swoje dzieci, te, co nie chciały kariery politycznej, umieścili w szkołach artystycznych. Reżim na więc już własną sztukę. Jest samowystarczalny. Sam tworzy rzeczywistość i sam ją odzwierciedla w sztuce.

- Przepraszam - podchodzę do autora obrazów - tu ktoś zasiadł?  
 Bierze mnie kordialnie pod rękę.  
 - Ależ skąd. Czujemy się wysłuszeni. Niech pan pozwoli do stołu. Polecam wino radzieckie z Kaukazu. My się skądś znamy, prawda?  
 - Dawne dzieje. Byłem niegdyś Klientem pana ministra.  
 - Tak też wysłałem. Wielu ludzi podchodzi do mnie na ulicy. Pamiętają i są wdzięczni. Mogło być gorzej, nie? Sporo głupstw uniknęło się szczęśliwie. Bo ja zawsze, proszę kolegi, przede wszystkim byłem szkowiekiem.

- Ja już przestałem być artystą.  
 - A ja dopiero zaczynam - śmieje się były minister. - Jeszcze mnie bopamiętają. Pan nie ma do mnie żalu?  
 - Broń Boże,  
 - No to wypijmy na ty, Lutek jestem.  
 - Przepraszam, ale spieszę się. Mój kolega zasiadł.  
 - To nie u nas. Może na sali. Tam gorąca atmosfera. Spryciarz ten bułat. On umie z nimi - i pokazał palcem w górę, odzysk mieszka Bóg i urządzuje biuro polityczne.

Przemknąłem między palmami, które wstawiono kiedyś na inaugurację warty filmów radzieckich i potem zapomniano. Pies trzymał się służbście mojej nogi.

- Panie - zaczęłam biletarę - szukam kolegi, który zasiadł.  
 - Nie do mnie z takimi numerami. Mamy już nadkomplet. Jazda z kina, bo zawołam milicję.  
 - Dostaliśmy telefon, przysięgam. Jesteśmy rodziną. Każda minuta broga.

Zawahał się lustrując nas podejrzliwym wzrokiem. Ale widać pies zrobił dobre wrażenie, bo z ociąganiem się rozsunął pępową kotarę i rzekł surowo:

- Tam, na lewo. Zapytajcie kierownika. Tylko żeby mi nikt nie wchodził na salę.

Z czarnego masywu widowni dudniły gęsto dialogi filmu. Na palcach poszliśmy korytarzem w lewo, Jakież drzwi były uchylone, i jasne skrzydło światła padało na podłogę.

- O Boże - szepnęła Halina.

W biurowym wnętrzu na zsuniętych krzesłach leżał Hubert z głową ułożoną na własnej czarnej teczce, która tyle szlachetnych apeli ponosiła w świat. Rysio, pobladły i uroczysty, kuczał przy chorym, jakby łożąc jego ciche słowa. A kierownik kina wykręcał monotonicznie trzydziesiątki, numer Pogotowia Ratunkowego.

- Znam specjalny tajny numer do kierownika zmiany w pogotowiu - szepnąłem wchodząc na środek tej urzędniczej celi.

- Wszyscy znamy - burknął kierownik. - Ale ten fetniak włączył zegarynkę: "aparatus w naprawie. Proszę dzwonić pod dziewięćdziesiąt dziewięć." Dziękujemy."

- Co, Rysiu? - klęknąłem w nogach chorego.

- Zabili go - powiedział urzędnik.

- Kto zabił?

- Panie, oni tam na ekranie wygadują takie rzeczy, że i mnie zdrowemu zrobiło się słabo - odezwał się kierownik kręcąc z wypazą tarczą telefonu. - Jak oni to mogli puścić.

Z drugiej strony uklęknęła Halina. Za kotarą, na wernisażu, wybuchł śmiech i szybko zgasł.

- Zabili go - powtórzył z uporem Rysio.

Pies obwąchiwał nogi Huberta w starych zniszczonych półbutach.

- Nie pozwolę. Odwołam się do komitetu centralnego - huczał głos z niewidocznego ekranu.

Patrzyłem na ciemną, szpakowatą głowę Huberta. Wyglądało, jakby drzemał. Pod powiekami drgały od czasu do czasu gałki oczu. Czarny zarost w ciągu dnia... przebił się przez skórę. Czarnym odzieniem wyszczupiał i tak już chude policzki. Skąd on miał zawsze tyle sił w tym chudym ciele?

- Mam ich, skurwysynów! - krzyknął niegłęboko kierownik.

Hubert bardzo powoli uniósł powieki i zobaczył mnie.

- Która godzina? - spytał ledwo słyszalnie.

- To nieważne. Jak się czujesz? - powiedziałem.

- Tu - pokazał na pierś - dziura, zimno.

Powoli przytomniał. Pies zaskowyczał raptownie, ale nikt go nie uciszał. Obok głowy chorego spływał po niewidocznej nitce pajak krzyżak.

- Może chcesz coś ważnego powiedzieć - jęknął Rysio.

Hubert patrzył z bolesnym wysiłkiem na mnie.

- Idziesz tam?

- Tak.

- Nie załamiesz się?

- Mam już wszystko, co potrzeba - wskazałem oczami Tadeusza, który trzymał w obu rękach niebieski kanister. Chłopiec jakby domyślając się naszej rozmowy, zabalgotał zbiornikiem. Hubert przytknął powieki.

- Widzisz, ja cię ubiegnę - szepnął.

- Nie. Zaraz przyjedzie karetka reanimacyjna. Jeszcze napiszesz tren na moją śmierć.

Próbował się uśmiechnąć.

- A gdzie Bułat?

- Pilnuje projekcji - rzekł skwapliwie Rysio. - Chcesz, żeby przyjechał?

Hubert przytknął powiekami. Rysio podniósł się z kolan.

- My wszyscy jesteśmy odpowiedzialni - wysuplał się z efektów filmowych barytonowy głos aktora.

- Ty go kochasz? - spytałam cicho.

Znowu starał się uśmiechnąć. Halina otarła chustką cieniutkie krople potu z czoła chorego.

- Uchroniłeś od śmierci. Mnie posyłasz zamiast niego.

- Jestem szczęśliwy, że żyłem za jego życia - szepnął.

Znowu odczułem przykrość. Nie dość, że jestem gorszy, to jeszcze muszę wyekspirować. A już zszedłem ludziom z oczu. Dawno oddałem wal-kowerem resztki losu. Przypomnieli sobie jednak. Mnie zawsze przypo-minano sobie w złych chwilach.

- Jedźcie karetką! - zawołał triumfalnie kierownik, - Postraszyłem, że na premierze siedzi radziecki attaché.

Halina przyniosła kądś szklanek wody. Znowu sypnęło gradem drob-nym, jak sól. Popatrzyliśmy mimo woli na szyby chłostane przez mroźny wiatr.

- Trzeba budować nie tylko nowe domy, ale i nową moralność - odez-wał się głos z niewidocznego ekranu. Powitały go rześiste brawa widow-wni utopionej w ciemności.

- Oni przychodzą do kina jak do spowiedzi. Oczyszczyć się z grzechów przez wspólną komunię pod postacią aluzji. W bezpiecznym mroku sali mrugają do autora i on do nich mruga. Na batiku podsuniętym przez re-żysera haftują swoje potępienie dla przemocy. To jednorazowy seans ma-gnetyczny, który cześnie, z chwilą, kiedy wychodzą z kina uwolnieni od wyrzutów sumienia, od męki moralnej, od widma odpowiedzialności. Wra-cają, żeby grzeszyć od nowa prywatą, służalczością, zdradą.

Patrzył na mnie, ale nie słuchał. To znaczący słuchał, lecz nie przy-jmował do wiadomości.

- Terror wzmacnia się, a potem ramoleje - powiedział ledwo słyszalnie - Ile już przeżyliśmy przymrozków i odwilży, wściekłości reżimu i nie-oczekiwanych apatii. Najważniejsze, żeby ludzie czekali.

- Kto czeka? Mały procent nawiedzonych, nieprzystosowanych i kalek o skłonnościach dewiacyjnych. W każdym ustroju szukaliby właściwego miejsca dla swoich ułomności. Zapisywaliby się do Armii Zbawienia, wstępowali do ekstremistycznych sekt religijnych, przyłączali do grup anarchistycznych. Milcząca większość śpi w letargu. Urządziła się ja-kos, wynalazła ciepłe zakątki, obrosła w kokony względnego dobrobytu. Ta wielka epidemia łapówek uratowała system. Bakczysze i kubany zhuma-nizowały nieludzki ustrój. Od najwyższego sekretarza do nocnego stróża wszyscy biorą w łapę i wszyscy kradną. Płyniemy po bezkresnym oceanie usankcjonowanego złodziejstwa. Nasz okręt nigdy nie rozbije się o przybrzeżne skały, bo nigdy już nie zobaczymy brzegu. Ten system za-czął swoją karierę od leninowskiego hasła: "Grab nagrablennoje".

- Słyszysz, oni znowu biją brawo - szepnął Hubert. - Jeszcze widza i słysza. Ty ich wkrzesisz przez swoją śmierć albo odkupisz.

Bileter zajrzał do pokoju. Sprawdził, czy go nie oszukaliśmy. Pies ułożył się przy mnie i zaczął iskać zębami pchły w okolicach przyro-dzenia. Halina pochyliła głowę zatopiona w modlitwie lub w skrusze za wszystkie nasze grzechy.

- Ten pan to z opozycji? - spytał kierownik przybliżając konfiden-cjonalnie usta do mego ucha.

- Tak, ale o tym wszyscy wiedzą. Niech pan się nie martwi.

- Niedobrze, kurczę pieczone. Mają na mnie już kilka haków. Jak ta-ki słaby, to po co do kina idzie. Niech przy telewizorze siedzi, cho-lera jasna - i ze złością włączył aparat telewizyjny.

Zastękało w maszynerii, poszły białe i czarne pasy, wypłynął obraz zjazdu partii. Obaj sekretarze - nasz i radziecki - wręczali sobie nawzajem jakieś medale, a potem ucałowali się w usta.

- Przyjdzie czas, kiedy każdego spytamy: kim byłeś i jakiemu panu służyłeś - odezwał się głos z ekranu. Znowu zerwały się oklaski. Ktoś nie podał skryty za pasową kotarą klaskał najgłośniej. Może bileter albo malarz-były minister.

Do pokoju wszedł na palcach Rysio, prowadząc Bułata. Dawno nie wi-działem artysty. Postarzał się, ale i wyszlachetniał. Niósł wysoko głowę z grzywą długich, siwych włosów. Gorzkie brudzy objęły z obu

stron zaciśnięte usta. Zbliżył się do katafalku z krzeseł, podniósł bezwładną dłoń Huberta.

- Jestem, drogi, jestem. Już jedźcie pomoc. Przepraszam cię, że musiałem odejść.

- Wiem, rozumiem. Świetnie reagują, prawda?

- Tak, niezły jest odbiór. Cieszę się, że trafiłem w zapotrzebowanie.

- Nie, nie mów tak. To najważniejszy film ostatnich lat, a może całego naszego życia. Pierwszy raz dzieło sztuki jest mądrzejsze ode mnie, od nas wszystkich.

Powinienem być zaszyć się w jakiejś dziupli i przeczekać czas do wieczora. Demobilizują mnie, odbierają wiarę w sens mojego wieczornego uczynku. Cóż może znaczyć mój zamach wobec nieśmiertelnej wielkości dzieła artystycznego, które będzie animować ludzkość przez wieki. Odechciało mi się raptem bohaterstwa i nikkczemności, poświęcenia i tchórzostwa. Odechciało mi się po prostu wszystkiego. Z odrazą patrzyłem na to naczynie z niebieskiego plastiku, co je trzymał ten przygłup z prowincji.

- Odsuń się - syknął Rysio. - Nie widzisz, że chcą porozmawiać bez świadków.

Cofnąłem się o krok następując psu na ogon. Skoczył z wrzaskiem i pokazał mi solidnie wściekłe uzębienie. Tak, pycha mnie morzy, demobilizuje i dręczy niczym choroba. Wszyscy są jakoś zadowoleni ze swoich miejsc, które im wyznaczyło przeznaczenie i łańcuch genów. Wykonują skromnie, co im każe Wielka Entropia. A ja obrażam się na los, na swoje ograniczenie, na Pana Boga. Pragnę czegoś, czego nie mogę. Marzę o tym, czego nie będzie. Tonę w sześćdziesięciu litrach własnej trującej wody, ja zdefektowany ssak dwunożny.

A nie chwila to sposobna, żeby uderzyć w pokorę? Obsypać wyższością czaszkę garścią popiołu i stanąć na stosie?

Wchodzi raptem dwóch sanitariuszy z noszami oraz lekarz-młokos. Ten doktor rozpina ceremonialnie koczulę Huberta, słucha serca, potem mierzy ciśnienie. My przyglądamy się nabożnie.

Daje znak sanitariuszom, którzy zρέcznie składają Huberta na nosze.

- Do kliniki rządowej czy do zwykłego szpitala? - pyta lekarz.

Spyglądamy na siebie bezradnie. Bułat pierwszy przerywa milczenie.

- Może lepiej do kliniki rządowej. Ja zaraz zadzwonię do komitetu centralnego.

- Acha - konkluduje lekarz. - To znaczy jedziemy na razie na ostry dyżur. Pacjent nie ma uprawnień.

Bułat cały czas trzyma Huberta za rękę. Patrzą sobie w oczy,

- Dziękuję, Władku, dziękuję - mówi cicho Hubert.

- I ja ci dziękuję. Wiele mi dałeś z siebie, Hubercie.

- Jestem szczęśliwy, jeśli to prawda.

Zaczynają go wynosić. Nie miesci się w drzwiach. Trzeba przechylić nosze. Podbiegam z pomocą. Wtedy chory dostrzega i mnie.

- Spotkamy się niedługo - szepce,

- Jeżeli się spotkamy.

- A jeśli się nie spotkamy, to tak, jak byśmy się jednak spotkali.

Już sforsowali drzwi i wchodzi w ciemność korytarza.

- Hubert, niczego nie obiecuję, sam jeszcze nie wiem - wołam za nim w czerwony, kinarski mrok.

- Cicho, nie wrzeszcz. Kto inny to zrobi - słyszę jeszcze wzdątlivy szepet Huberta. - Daliśmy ci szansę. Jedną z wielu szans na małą nieśmiertelność.

Pobiegłem za nim.

- Hubert, tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Słuchaj, ty zawsze histeryzowałaś.

- Bo historia to moje paliwo, to moje zagłębienie energetyczne.

- Słabo mi. Do zobaczenia. Wytrzymaj. Przecież musi być jakiś sens. Ja cię nie opuszczę. Będę przy tobie. O Boże, ja już tonę.

Poniesli go przez ten hall, gdzie gołe panienki na obrazach były go ministra. Zanim zapadła poła kotary, spostrzegłem jeszcze snujących się gości z kieliszkami radzieckiego wina w dłoniach. Spoglądali bez szczególnego zaciekawienia na brudne nosze i na nieruchome, sparaliżowane niemocą ciało bojownika, który przez wieki dręczył ich sumienie, wpędzał w bezsenność, odbierał apetyt. A może w ogóle nie dręczył, nie wpędzał, nie odbierał. Był tylko punktem, pozycją w okresowych sprawozdaniach policyjnych, jak melina pijacka, jak wypadek samochodowy, jak skradziona beczka śledzi, jak codzienność konającego bez końca małego nieszczęśliwego kraju.

Ktoś stał przy kotarze zasłaniającej wejście na widownię. Trzymał garści ściągnięty skraj pluszu. Przez szeroką szparę widać było ekran, a na nim olbrzymie plecy mężczyzny patrzącego w okno.

- To ty? - ktoś szepnął i poznałem głos Bułata.

- Ja.

- Sporo czasu cię nie widziałem. Myślałem, że wyjechałeś, ktoś kiedyś przy wódce przysięgał, że umarzesz za granicą.

- Jeszcze żyję. To już koniec filmu?

- Ostatnia scena. Mnie lubię jej, ale taka musi być.

Na ekranie otwiera się okno widziane z zewnątrz. Na parapet wspina się mężczyzna w nieokreślonym wieku, zarosnięty, spocony śmiertelnym potem. Za jego plecami tyka zegar albo kapiąca z kranu woda. Gdzieś pod nim, w otchłani podwórza, krzyczą bawiące się dzieci. Mężczyzna staje na parapecie trzymając się futryny. Patrzy w niebo i widzimy obłoki sunące spieszenie nad miastem, patrzy w dół i widzimy kamienny paradyż oraz dziecko jadące na rowerze. Potem ten człowiek usiłuje przełknąć ślinę, krztusi się płwociną, ogląda się w głąb pokoju, wreszcie szepcze do siebie:

- Kłamstwo mnie zabiło.

Sennym gestem rusza na kamerę, jakby wyrwał się z czyichś rąk i leci na nas. I widzimy z góry, jak spada wirując szarpany wiatrem, jak spada straszliwie wolno niczym we śnie, jak zbliża się ku kamiennemu ziemi i jak zastyga tuż nad opoką zatrzymany na wieczność w stopklatce.

Chwilę trwa przejmująca cisza, bo i efekty wygasły.

Z wolna rozjaśniają się żyrandole oraz kinkiety. Wybuch entuzjazmu sali, widzowie wstają z miejsc, coś krzyczą, o coś proszą, ktoś biegnie wzdłuż nie zasłoniętego jeszcze ekranu.

- Ciebie wywołują, Władku - popycham go przed kotarę. - Wyjdź, chcał ci podziękować.

- Nie trzeba. Tak będzie lepiej.

Cofa się w ciemny korytarz pociągając mnie za sobą. Stajemy za sterami z fotosami radzieckiego filmu "Świetlana przyszłość".

Tłum wywala się przez wyjścia, tłoczy się, popycha szklaną gablotę, ale nas nie widzi. Słuchamy ze ściśniętym sercem strzępów rozmów, jakichś westchnień, czyjegós szloch.

- To twój triumf - rzekę półgłosem.

On machinalnie przeczesuje swoje białe włosy młodego starca.

- Ja jeden znam prawdę. Ale nie wiem, czy to jest dobra, czy zła prawda.

Kiedyś kolegowaliśmy. Napisałem mu kilka scenariuszy, zalecałem się do którejś z jego żon. Kto wie, czy i ja nie miałem udziału w jego triumfie.

- Pamiętasz swoją pierwszą premierę?

- Och, nie przypominaj. Kiedy przepatruję w pamięci swoje filmy, ogarnia mnie raptowna duszna panika. Przecież ten tłum powinien obalić gablotę i zliczować mnie pośrodku wernisazu naszego byłego ministra. Popatrz, zacząłem od filmu, który szkalował AK, czyli środowisko, z którego wyszedłem, następnie skreśliłem obraz gloryfikujący to nieszczęśliwe AK. Gdy kraj zamarł w marazmie przyniesiony bezradziejną

półokupacją, półswobodą, robiłem kino psychologiczne, kapałem to i tanto, starałem się utrzymać koło pewnych trendów światowych. A potem zrobiłem film-pamflet na elitę intelektualną, później wykonałem coś, co woniało antysemityzmem, choć tym po prawdzie nie było. Czy nie odnajdujesz w tej mojej drodze żelaznej logiki.

- Robiłeś, co inni też robili.

- Ach nie, mylisz się. Mój życiorys artystyczny to curriculum vitae papużczyka. Wydawało mi się zawsze, że robie to, co można w danej chwili. Ale przypatrzyłem się bliżej temu konsekwentnemu ciągowi moich tez i konstatacji. Ja na kolorowo realizowałem linię partii, razem z nią kulałem od błędów do błędów.

- Nie, Władku, masz sły dużej, chociaż powinienś mieć dobry. To nieprawda. Publiczność zawsze cię kochała, a widownia się nie myli.

Korytarz pustoszają z wolna. Gdzieś znova odezwały się orkiestry przebijając się przez monotoność ulicznych gigantofonów. Usłyszałem też szczełkanie psa-przybłądy. Halina i Tadzio z prowincji szukali mnie po zakamarkach kina.

- Widownia mnie kocha, bo jestem jednym z nich. Wiesz co, wiesz, powiem świętokradczo: Polskę zgwałcono. Długo broniła się, gryzła jej-bani, drapała pazurami, aż wreszcie uległa. I znalazła rozkosz w tej biernej, niechętej uległości. I odczuła dwuznaczna, dziwna, odrobine plugawą przyjemność w zgwałceniu. Leży na rozstajach europejskich i rypią ją chamy. Ja także zostałem zgwałcony. Ruchają mnie bydłaki, a ja się poddaję i nie poddaję zarazem, pojękuję z cicha i gryzę, gdzie mogę. Jestem gwałcony i nie ukrywam tego, że mnie gwałcą. Może dlatego wybaczano mi moje filmy, może dlatego je kochano. Ja odkryłem nowe zbroczenia z przymusu, nową dewiację z woli boskiej. A ty, dlaczego o tobie nie słyszę? A ty, co robisz?

Za wielkimi, brudnymi oknami błysnęło słońce jak flesz.

- Flesz. Właściwie zacząłem dopiero pisać na nowo. Dziś rano. Bułaż dźiął, spostrzegł, że trzęsą mu się ręce i wsadził je do kieszeni starego smokinga, który pamiętam z pierwszych premier i pierwszych sukcesów, nieśmiałych, połowicznych, nie wróżących wielkiej kariery.

- Dopiero Hubert - powiedział patrząc w okno. - Dopiero Hubert skusił mnie na nową śliską, niebezpieczną drogę.

- Myślisz o "Transfuzji".

- Myślę o "Transfuzji", która jest jego dziełem, choć nie napisał dla mnie ani jednego słowa, nie podraczył najgłupszego gagu. Teraz będę kopał i gryzł, jak tylko potrafię. To znaczy, na ile mi pozwoli cenzura. A pozwoli więcej niż innym, bo wyrobiłem sobie nazwisko, bo kraj czeka na moje filmy. Widzisz, jakie tu powstało sprężenie zwrotne. Mogę kopać w zęby partię, bo mam prawo, a mam prawo, bo usługiwałem partii. Co ty ukrywasz przede mną?

- Nic nie ukrywam, Władku. O czym ty myślisz?

- Hubert zaklinał mnie, żebym przyszedł z aktorami wieczorem pod salę kongresową. Nigdy nie prosił o podpis, nigdy nie przymuszał do ryzykownych gestów. A dziś zażądał mojej obecności pod Pałacem Kultury.

- Może spodziewa się, że życie potwierdzi twój film.

- Powiedz wyraźniej. Jestem dzisiaj roztrzęsiony, zapomniałem lekarstwa w domu. I jeszcze ten atak Huberta. On z tego wyjdzie, prawda?

- Może wyjdzie.

- Dzisiaj pierwszy raz pomyślałem, stojąc wczepiony w kotarę, że jednak chyba jestem potrzebny tym ludziom. Muszę brać się do roboty. Robota mnie podwyższa, a kiedy jestem podwyższony, lepiej robię. Znowu wychodzi sprężenie. Uczępiło się i nie puszcza. Jestem zdenerwowany, zaczynam rozumieć więcej, Bóg to wszystko osądzi. Bo chyba Bóg jest. Tak zawsze po cichu myślałem. W złej i dobrej chwili.

- A ja się obraziłem, Władku.

- Na kogo się obraziłeś?

- Na wszystko. Od wielu lat nie piszę. Straciłem wiarę. To nie dla mnie. Za dużo pięter.



- Jakich piéter?
  - No tych, rózných piéter egzystencji. U nas na dole i tam wysoko pod pułapani wszechświata. Wybrałem nicosć.
  - Przecież piszesz.
  - Piszę. Piszę testament. Ale nie wiem czy dokończę. Wybrałem inną drogę. Może gorszą od twojej, a może lepszą. Nie dowiemy się tego nigdy.
  - Masz do mnie pretensje?
  - Czasem zdawało mi się, że mam. Czasem, że nie mam.
  - Ja ci pokażę moją drogę. Wstąp na nią. Ona bardzo prosta. Wystarczy patrzeć ludziom w oczy i pilnować, czy akceptują. Rób to, czego ludzie chcą.
  - Za późno. Będę robić, co ja zechcę.
  - Ty robisz myśląc, że oni tak chcą, a oni nie chcą. Posłuchaj mnie i przestań się dąsać. Przyjdź do mnie, ja ci chętnie pomogę. Jeśli oczywiście mnie akceptujesz.
  - Właśnie nie wiem, czy ciebie akceptuję.
  - Wzdrygnął się, wyjął ręce z kieszeni i zatarł je gorączkowo.
  - Zimno, Boże, jak mi zimno.
  - Wtedy nagle zgasło światło. Zrobiło się szaro, posepnie w tym rozległym korytarzu. Zacięła się w pół słowa kronika rozpoczynająca następną, normalny już seans.
  - Wyłączyli światło! - huknął gdzieś pod sufitem z wątliej galeryjki operator.
  - A niech ich diabli! - krzyknął w mroku kierownik kina.
  - Halo! - wołała Halina błądząc w labiryncie kotar.
  - Mistrz! - wtórował Tadeo z prowincji.
- I nagle przypomniałem sobie czterowiersz mego zmarłego przyjaciela, Wilhelma M., który kiedyś nad ranem podniósł znad nie dopitej szklanki głowę i powiedział patrząc w niewidoczne niebo:

Dzień za dniem powoli miją.  
 Coraz dłuższa życia szyja.  
 Wszystko wokół się pierdoli,  
 My w niewoli, my w niewoli.

- Wiesz co, Wiadek?
- No? - odzwał się w półmroku ciągle jeszcze trąc zgrabiące ręce.
- To nie tak. Ja się nie obrażam. Po prostu nie umiem albo może nie chcę grać sfałszowanymi kartami. Jestem facetem starej daty.
- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.
- Wszystko dzieje się przeciwko mnie. Mój świat, nie wiem, zły czy dobry, ale mój własny świat, który mnie poczał, urodził i nauczył prawdziwie, ten świat rozsypał się w gruzy po wielkiej wojnie. Ta kurewska wojna zakończyła jakiś cykl, jakieś kolejne okrażenie na bieżni nieskończoności. A teraz finisz na czworakach, dekadencja, koniec przed nieznanym początkiem.
- Ach, wszyscy zawsze narzekali na niemoralność świata.
- To mnie nie pocieszają. Ja jestem ciągle małym chłopcem z prowincji. Łaknę mężczyzn. Prawdziwych mężczyzn z honorem, z godnością. Powsięgłych, mężnych, ascetycznych, rycerskich. A tu wszędzie dokoła małe kobietki w spodniach. Męskie kobietki z długimi włosami, w żabocikach, z dekolcikami. Chciwe, pazerne, bezwstydné baby z penisami ukrytymi w koronkowych majtkach. Wiadek, ja łaknę mężczyzn. Moje pokolenie mężczyzn wymarło. Zostałem sam z pindami, kobieciatkami, rurami i gine, bo wszystko przeciwko mnie. Wszystko mnie policzkuje, obraża, wykopuje z życia.

Na widowni gwizdano. Za oknem wiatr gnał obłoki złotych liści ku tym dwóm koleżkom pod salonek mięsnym i na postoju taksówkowym. Obsługa kina biegała rozpaczliwie po korytarzach.

- Ty jesteś po prostu słaby - rzekł cicho Bułat. Nie umiesz żyć w

świecie pozbawionym hierarchii. Nie masz odwagi budować własnego systemu wartości, czepiasz się ruïn, które miele młyn czasu na atomy, co staną się zaczątkiem następnej cywilizacji, jeśli taka w ogóle powstanie. Ale mnie siepie. Widzisz, tak przeżyłem te dwie straszne godziny moich powtórných narodzin.

- Władek, wiesz, dokąd zaraz pójde?
- Do domu albo na obiad.
- Przecież ci Hubert powiedział! Po co udajesz?

Przeczesał palcami siwą grzywę i znowu schował dłonie w kieszeniach smokinga.

- Dzisiaj w nocy wyjeżdżam do Ameryki Południowej. Boję się, że pojedę z grypa.
- Chcesz się ze mną zamienić?
- Przecież ty nie możesz za mnie jechać do Ameryki.
- Ale ty możesz za mnie tam, pod salą kongresową.
- Tak uważasz? - spytał przeciągle.
- Po prostu pytam.
- Wybacz, ale to twoja sprawa. Twoja i ich. Ode mnie chcą filmów. Ja im będę robił. A potem zobaczę. Może pójde twoim śladem, a może już wtedy nikt nie będzie żądał takich ofiar.

- Dlaczego ja?

- Nie wiem. Pytaj tych ludzi w kolejce albo na widowni, pytaj Huberta lub w Komitecie centralnym. Najlepiej zapytaj siebie. Ja całe życie głosowałem przeciwko karze śmierci. Z własnej ręki czy z ręki kata.

- No to żegnaj.

Przyciągnął mnie do siebie, objął drżącymi rękami. Chwilę trwaliśmy tak w braterskim uścisku. On pewnie myślał o swoim następnym filmie, może podsunął mu nawet pomysł dobrej sceny, a ja ciągle jeszcze nie mogłem zebrać myśli do tego stopnia, żeby z ich magmy wyłoczył treść puenty jasnej i prostej jak przysłówie.

Zaszczekał pies. To był nasz kundel wielorasowy na króciutkich nogach jak furdzelki. Wszelkie barwy psiej harmonii zdobiły jego sierść. I wiedziałem, że będę nazywał go Pikusiem na pamiątkę pieska, którego kiedyś znałem, a który zginął gdzieś bezimiennie, prawdziwy pies nieznan.

- Gdzie się pan podziewał? - rzekła z gniewem Halina. - Już w piwnicach szukaliśmy pana.

- Przepraszam, moja wina - ukłonił się Bułat, a ona od razu złagodniała. Przyjemna uroda mężczyzny złagodziła kobiety. I odwrotnie. - Dawno się nie widzieliśmy. Obaj ruszamy w daleką podróż. To mój przyjaciel. Przyjaciel mojej młodości.

Objął mnie jeszcze ramieniem. Na widowni tupano wściekle. Światło blysnęło przez moment i zaraz zgasło.

- Czy mogę prosić o autograf? - Tadzio podsunął Bułatowi wymiętoszony notesik. Ten westchnął z rozpaczą, a potem coś pisał długo.
- No to cześć - powiedziałem.
- Cześć.

Ale jakos nie mogłem odejść. Pikus lizał mi gorliwie końce palców podskakując na tych króciutkich nogach.

- No więc do zobaczenia - powtórzyłem.
- Bywaj, drogi.
- Wszystkiego.
- I tobie wszystkiego.

Unieśliśmy dłonie w pozdrowieniu kapitanów tonących okrętów. To prawda, mój tonął, ale jego szedł na wody oceanu. Rozeszliśmy się czujnie, jak dwaj rewolwerowcy z dawnych westernów.

Znowu znalazłem się w hallu, gdzie była wystawa. Ostatni goście już w piaseczkach przekomarzali się koło wyjścia. Dostrzegł mnie autor, minister na rencie. Podbiegł rześkim krokiem. Miał już mocno w czubie, czyli w złotoczerwonej łysinie. Ujął mnie pod łokieć z przyjazną łaskawością.

- Co, drogi kolego, skoczmy razem z towarzyszami na dziewczynki?
- Na jakie dziewczynki?
- Pod Warszawą. Wie pan, kolego, na prowincji można jeszcze trafić dziewczuski, co dają za nasze kochane polskie ziote.
- Dużo biorą?
- Przystępnie. Do stu tysięcy, ale znaleźć można i za pięćdziesiąt.
- Drogo panie ministrze.
- Ja dziś stawiam. Ruszajmy już do samochodów. A wystawa, jakie wrażenia?
- Pozytywne.
- Ja też tak myślę. Ludzie lubią dzisiaj takie rzezy. Trochę estetyki, trochę pierzryku i grunt, że bez polityki. My, zdaje się, jesteśmy już na ty.
- Oczywiście, panie ministrze.
- To chodź, bratku, pojedziesz z towarzyszem Makolągwą. Może potrzebujesz paszportu, on ci załatwi od ręki.
- Nie, dziękuję, może innym razem.
- Innym razem to dziewczynki będą już za dewizy. Ale jak chcesz. Masz mój telefon?
- Lutek, Lutek! Zamarzniemy w drzwiach. Chodź, nie wykręcisz się! - wołali towarzysze od drzwi.
- Będziesz żałował. Ale trudno. Cześć, czuwaj! - i pobiegł tym swoim sexy kroczkiem do grupy towarzyszy przedsiębiorczych wyprawę w lud podwarszawski.

Patrzyłem na niego bez gniewu. Dławno już wygasły te emocje jak przebyta w dzieciństwie gorączka. On nie pamiętał tamtych czasów i my nie pamiętaliśmy jego. W nowym kontekście był zabawnym starszym panem o żagodnych inklinacjach erotycznych.

- Pan jakoś się wykręca - odezwała się z niechęcią Halina.
- Jak się wykręcam? A co ty, siostrze, jesteś od pilnowania?
- No bo idziemy, idziemy i nie możemy dojść.
- A dokąd, jeśli można wiedzieć?
- Do sklepu walutowego. Żeby kupić zapalki.
- Przepraszam, zapomniałem.

Wyszliśmy na połamane schody przed kinem. Towarzysze zapalali na korbę swoje pojazdy z dwutaktowymi silnikami. Dwutakty znowu u nas wchodziły w modę, bo były tańsze i łatwiejsze w obsłudze. Rokowały też nadzieję, że uda się zastosować w nich serwatkę jako paliwo.

Ulicą Kopernika, czegoś rozkopaną, szła wataha wyrostków naśladowających manifestacje. Nieśli stary transparent albo może nowy, bo wszystkie dziś były potargane przez wiatr, więc nieśli transparent "Niech żyje trzydziestopięciolatec PRL" i wołali cienkimi zachrypniętymi głosami:

- Polska! Polska! Czemodani Polska, Polska, Barabani
- Ruszyliśmy za tym minipochodem w stronę Ordynackiej. Pod murami leżały topniejące szybko hały świeżego śniegu albo gradu. Tadzio huśtał niedbale moim kanistrem.
- A Nadzieńda - spytałem - a Nadzieńda skąd się tu wzięła?
- Halina spojrzała na mnie przeciągle.
- Jak to skąd? Tak jak wszystkie inne. Wyszła za mąż za naszego dyplomata i wyjechała do Polski razem z nim, kiedy skończył kadencję. W Warszawie się rozwiodła i wyszła drugi raz za dziennikarza. A teraz jest narzeczoną inżyniera leśnika, ale nie wiem, czy coś z tego będzie, bo zakochał się w niej Rysio Szmidt.
- Ja w to nie wierzę.
- Dlaczego pan mi nie wierzy?
- Bo ona nigdy nie była zamężna. Może ją przywozła tutaj ta babka, w której się kochał Lenin.
- Halina szła zamyślona dłuższą chwilę.
- Może przywozła - powiedziałam w końcu. - Pana to interesuje? Co-

raz więcej jest Rosjan w Polsce.

- I oraz więcej Polaków w Rosji.

Pomyślałem sobie, że ta niezadna młodzież też zapewne uprawia miłość między sobą, choć to wydaje się nieprawdopodobne. Dopiero teraz spostrzegłem, że Halina pamięta w jakiś sposób o swoich kobiecych obowiązkach. Jej oczy były dyskretnie podmalowane, a na waskich ustach leżała cienka warstwa bezbarwnej szminki. Im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej przekonywałem się, że jednak może się podobać. Coś w niej było nawet odrobinę nieprzyzwoitego, jak w młodzultkowej zakonnicy. Ona także teraz spoglądała na mnie łaskawiej. Jednym słowem szepiliśmy się już niewidzialną nicią dwuznacznego porozumienia, z którego nic nie wynika, ale które pomaga znosić wzajemną obecność.

- Pan jest trochę szowinista.

- Trochę. Starej daty. A pani nie?

- My już nie. Wstydział się nawet odrobinę waszych zaściankowych kompleksów, urazów, rojeń.

- Wy jesteście uniwersalni, prawda?

- A pan ironizuje, prawda?

- Nie, jestem po prostu skrupulatny. Chciałbym dobrze zrozumieć.

- Nas interesuje człowiek. Gdzie by nie był i w jakim czasie by nie żył. Człowiek przede wszystkim. Pojedynczy, bezradny, samotny.

- To mój portret. Pojedynczy, bezradny, samotny,

- Z pana jest kawał drania. Czytywałem pańskie kawałki.

- Uchodzę za umiarkowanego moralistę.

- Dobrze, dobrze. Rodzice wyrywali mi z rąk pana powieści i bili po łapach.

Gdzieś za rogiem grzmiały świąteczne orkiestry. A pod niebem płynęły klucze dźwięnych, kolorowych obłoków.

- Może wstąpimy na kawę, Halinko - spytałem. - Słaby jestem. Wczoraj miałem jakiś wypadek, lecz nic nie pamiętam.

- Pan się chyba teraz obudził?

- Nie. Podobasz mi się od początku. Kiedy wchodziliśmy na skarpe, przyglądałem się twoim nogom.

- Wie pan, wołałabym bardziej urzędowy ton.

- Pewnie masz chłopaka?

- Miałam wielu chłopaków. Czy to pana nie gorszy?

- Bardziej chyba rozczarowuje.

W tyle za obłokami ciągnął się długi napis ułożony z kolorowych bałoniczków: "Zbudowaliśmy socjalizm. My pastroili socjializm". Skonsternowane ptaki krążyły niespokojnie pod tą jaskrawą karawaną.

- Halinko, nie szkoda mnie pani?

Przyśpieszyła kroku. Byliśmy już blisko Nowego Świata, gdzie rozstawiono na czas święta jarmarczne budy, ucharakteryzowane na ludowe karczmy, słowiańskie gontyny i rosyjskie banie. Kapele chłopskie rżnęły od ucha ulubione czastuszki.

- Stary dziad - mruknęła Halina popatrując na mnie bez złości.

Miałem wieloletni przestój, a tu teraz, kiedy wychyliłem na świat skacowaną głowę, tyle nagłych pokus. Dobrze, niech kupi te zapaki. Użyjemy ich do rozpalenia ogniska nad Wisłą.

Zatrzymaliśmy się przed sklepem dewizowym, który otwarto na miejscu dawnej jatki. Halina zajrzała do torebki.

- Pani znów za mnie tuli.

- Wie pan, to już jest niesmaczne.

I weszła do sklepu, a my zostaliśmy pod kryształowymi, pękniętymi w poprzek drzwiami. Pikuś usiadł przy mojej nodze, zaczął mi się przypatrywać, jakby poznawał z dawnych czasów.

W obie strony przewalały się świąteczne tłumy. Ale nie szły one dostojnie, z uniesionymi godnie głowami, spozierając zycielnym wzrokiem, co tak dobrze pamiętkiem z dzieciństwa. Te tłumy gnały niczym podczas nowego grzybobrania. Weszły po ławach, zaglądały na zaplecza stoisk, formowały raptowne kolejki i z niewiadomych powodów jednej chwili likwidowały je bezpowrotnie. Te tłumy szukały żeru, okazji kupna czegoś

nieodzownego do życia, szczęśliwego trafu we frajerstwie chytrych państwa.

O Boże, gdzieś się podziakły niegdysiejsze fizjonomie moich rodaków. Gdzieś ta rozmaitość twarzy. Ślicznych i kostropatych, przystojnych i zeszpeczonych, miłych i lekko krzywych. A te kostropate, szpetne i krzywe też się mogły wydać ciekawe i pociągające. Gdzieś ta rozmaitość rysów, typów, kolorytów. Gdzieś ten wdzięk i urok powabnych mieszkańców wyrosłych nad brzegami rzek pośrodku Europy.

Oto piąną w tę i w tamtą stronę jakies przykre pyski. Zie, niechlujne, napiętnowane dziedziczną i nieodwracalną brzydota. Czasem miganie między nimi obły arbus mordy aparaczczyka państwowego lub partyjnego. Oni się wyróżniają jakimś opuchnięciem alkoholicznym, paskudnymi rzadkimi włoskami układającymi się w przykrych loczkach na spoconych czaszkach. Ich wyróżniają małe, bystre i podejrzliwe oczka, pulchne gębczaste policzki, ich odróżnia brak ust, które zastępuje otworek do wygłaszania referatów. Chryste Panie, kiedy to się stało, kiedy to społeczeństwo zła wiedźma przemieniła za karę w wielki tabun jaskiniowców.

Pamiętam ten czas, pamiętam ten straszny okres przepoczwarzania. Było to pod koniec lat sześćdziesiątych, albo na początku siedemdziesiątych. Wtedy wchodzili w życie roczniki spłodzone przez sekretarzy, naczelników, milicjantów, cenzorów, mianowanych docentów, dyrektorów wzięci i zdradliwi artystów. Do fizjonomii ich progenitury bezlitosne geny przeniosły paskudstwo fachu rodziców, liszaje ohydny moralnej, karbunkuły sprzedajności. Fatalny los ojców i matek zeszpecił na zawsze zewnętrzność dzieci. Nikt już w pieśniach nie opiewa urody Polek, nikt nigdzie nie podziwia szlachetnej rycerskości Polaków.

- I zrcumiałem, że już nie ma krajny mego dzieciństwa. Że żyje ona tylko mojemu i razem z mną rozsypie się w proch którejś nadbiegającej z nicości godziny - odezwał się raptem prowincjonalny Tadzio.

- To ze mnie? - spytałem.

- Tak, z pana.

- U was w domu teraz pewnie kwaszą kapustę? Ojciec rozściela jabżka na śłomie przed zimą.

- Za wcześniej. Przecież dopiero poikwa lata.

- Jakie lato, chłopcze? Nie widzisz śniegu w rynsztoku?

- Anomalia klimatyczna. U nas mówią, że nadciąga lodowiec.

- Może lodowiec wszystko załatwi? Lodowiec jest sprawiedliwy, jak myślisz?

- Pan chory. Może lepiej pójdzie pan do domu. To niedaleko.

- Trzeba coś zjeść. Żeby mieć siłę. Zapraszam ciebie, chłopcze piścący wiersze.

Wyszła ze sklepu Halina ze sporą paką zapafek. Pikuś przywitał ją niczym dobrą znajomą.

- Szwedzkie. Najlepsze, jakie były - powiedziała.

- Szwedzi też już robią tandetę.

- Zamarudziłam, bo nie mieli reszty. Dostałam w indonezyjskiej walucie. Pan sprawdzi przedtem te zapafki.

- Sprawdzę na sobie, Halinko.

- Teraz pana zostawię. Ale będzie pan pod naszą opieką. Do zobaczenia.

- To jeszcze się zobaczymy? - spytałem z dziwną nadzieją. Pierwszy raz uśmiechnęła się pocziwie.

- Niech się pan nie lęka. Na pewno się zobaczymy.

- Halinko - przytrzymałem ją za rękę. - Coś chciałem powiedzieć, ale nie wiem co. Musi pani iść?

- Muszę.

- A co z Hubertem?

- Dzwoniłam ze sklepu. Jest na sali reanimacyjnej. Stan krytyczny - i odwróciła nagle głowę.

- Pani, pani - zaważałem się - pani go lubiła?

- Pan za dużo pyta.

- Mnie z nim wiele łączy. Jego ze mną mniej. Fatalnie się dziś czuję, a powinienem mieć rękę jak zegarmistrz. Halinko, co to wszystko znaczy?

- Niech pan już idzie. Wszystkim jest ciężko. Bardzo ciężko. Odwróciła się i poszła przed siebie w głąb tego tłumy, który nic o niej nie wiedział i nigdy się o niej nie dowie. Jej szara kurteczka znikła szybko w wypłowiej ciżbie.

- Zaprosiłem ciebie na obiad? - spytałem Tadzia.

- Tak, bardzo dziękuję.

- I ciebie Pikusiu, zapraszam. Pójdziemy do "Paradyżu", w którym ongiś, kiedy nazywał się jeszcze "Paradis", rozpocząłem swoje główne życie. Nie rażą was brzydkie słowa?

- Trochę nieprzyjemnie - odparł Tadzio. - Moja rodzina bardzo pana szanuje.

- Widzisz, ja również nie lubię brzydkich słów. Ale ordynarne słowo to czasem jak łyk świeżego powietrza. Wiacie, chłopcy, taka nagła zmiana nastroju, coś w rodzaju raptownego odświeżenia. Ale ponieważ was obu już polubiłem, więc będę unikać pewnych powiedzonek, choć, dalebóg, ci-  
sna się na usta.

- Może lepiej usiadłszy na chwilę. Pan odpocznie.

Mie trzeba. Znam swój organizm. Widzisz, chłopcze, piłem z rana maślanke, później poczęstowano mnie likworem syberyjskim. Normalnie byłaby kraksa, a ja, widzisz, stoję na nogach, choć mi dziwno. No to ruszamy na obiad. A pilnuj mojej banki.

- Pilnuję, pilnuję.

I ruszyliśmy w stronę placu Trzech Krzyży, a prowadził nas Pikus ciągle sprawdzając, czy podążamy jego krzywym tropem.

Od Alej Jeruzolimskich gnało stado niemłodych facetów poprzebieranych za gazeciarzy. Był to jakiś aktyw, pewnie młodzieżowy. Rozrzucali dodatki nadzwyczajne "Trybuny Ludu" wołając wstydliwie:

- Polska odznaczona zaszczytnym tytułem Pierwszego Kandydata do wstąpienia w skład Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich!

- Dodatek nadzwyczajny! Polska kandyduje do Związku Radzieckiego!

- Wielkie wydarzenie w naszej historii u progu nowego tysiąclecia. Dodatek nadzwyczajny!

Nikt nie podnosił z ziemi tych gazetek, ale też nie podeptał gniewnie. Dalekowidze przekrzywiając głowy próbowali ukradkiem przeczytać wstępną depesze wydrukowaną czerwonymi literami. Nowy świat wyglądał wesoło przykryty lamperiami flag. Nie widać było odpadającego tynku i zgruchotanych rynien. Tylko ta kamienica, przy której rosła słynna brzołka pamiętająca czasy okupacji niemieckiej, tylko ta kamienica, pod naporem niewinnego drzewka, zapadła się w sobie, jakoś stęchła, ale w tym czarnym wyłomie usadowił się kiosk z wyrobami ludowymi i prowincjonalny garncarz, ogłupiały starzec, kręcił zapamiętałe bosą nogą śliskie koło garncarskie.

Tak doszliśmy do ronda na skrzyżowaniu Nowego Świata i Alej. Tu zobaczyłem raptem moich przyjaciół, Andrzeja M. i Józefa H., którzy szli na tradycyjny spacer w stronę Okólnika. Józef H. gestykułował, napięraź ramieniem na Andrzeja M., zachodził mu drogę. Tak był przejęty swoimi codziennymi, skromnymi rewelacjami. Andrzej M. lekko zgięty, jakby mu usunęto żołądek, słuchał wywodów kolegi z boleśnią miną, widząc zatopiony we własnych myślach. Tak mnie mijali w odległości dwudziestu kroków i nie zauważyli nas kroczących w drugą stronę. Zawsze chodziliśmy razem na te spacer. Dziś poszli bez mnie. I nic się nie stało. Może nawet czuli się mniej skrupowani.

Pod postarzałym, splekanym gdzieś domem partii było oświetlenie i cicho. Agenci bezpieczeństwa, poprzebierani dla niepoznaki za milicjantów z kompanii ruchu, snuli się apatycznie koło węglów gmachu. Na długiej ścianie szamotał się ogromny napis: "Zbudowaliśmy socjalizm", który zapewne, powtarzany wielokrotnie, miał rozpraszać wątpliwości członków partii.

Jakos nagle i bez powodu, zachciało mi się spojrzeć na świat dookoła i na jesienną albo letnią przyrodę, na to coś, co podobno umiera i co opłakiwano przed laty, zanim popadnięto w ostateczną obojętność. Więc stanąłem obok budynku cenzury, schludnego domu, nie tak dawno pomalowanego z zewnątrz olejną farbą, i patrzyłem w stronę Mostu Poniatowskiego, który zawałił się pechowo parę godzin temu. Ale nieznaczęci nie będzie, bo istnieją przecież inne mosty. Więc patrzyłem w stronę Wisły i widziałem szerniałe wierzchołki domów na Powiślu, widziałem trującą zalew rzeki, plażę Pragi i skończoną, pożółkłą roślinność Grochowa oraz Gocławka, wielką strzępiastą łakę, która się nie poddawała. Karlejąc z wolna, co roku wdierała się do zatłoczonego miasta. Ten kaleki pejzaż, brzydki, ale i piękny zarazem, bo jedyny, jaki nam został, więc ten widoczek smętny, owiewany wichurą, smagany co kwadrans gładem, dodał mi jednak otuchy. Pikus wiercił się przy noich nogach, skomlał i dopraszał się oblaśnu.

Tak, po obiadku poczytałem sobie ten strzępek gazety, który wyrwałem rano staruszkowi. Przejrzą nekrologi, a z naszych nekrologów, choć także cenzurowanych, można się więcej dowiedzieć o życiu niż z roczników statystycznych. Potem zobaczymy.

Moji przyjaciele roztopili się już w półmroku ulicy Smolnej, za tym pomniczkim, jak się zdaje, matki partyzanta, pomniczkim przypominającym mosiężny przycisk na biurku sekretarza. W naszym mieście rzadko który pomnik coś oznacza, poświęcony jest komuś znanemu albo bliskiej wszystkim okoliczności. Nasze pomniki postawiono ideom, abstraktom, me-taforom. Dlatego nikt o nich, biednych, nie pamięta, nawet reżim, fu-n-dator roztargniony, o tych żałowanych tonach żeliwa na ogół zapomina.

- Daj kanister - powiedziałem.

Tadzio oddał naczynie, naczynie czego? Potrząsnąłem zbiornikiem. Benzyna beknęła nieprzyzwyczajenie. Ruszyliśmy w stronę wybitych aktualnie, szklanych drzwi lokalu "Paradyż".

Tak, ostatni dwaj koledry minęli mnie bez pozdrowienia. A reszta w grobie. Powolutku, niepostrzeżenie zostałem sam na ziemi. Kiedy naj-dzie chandra, nie mam do kogo zadzwonić. Biorę do ręki słuchawkę tele-foniczną, bawię się jej sznurem, wykręcam jakieś przypadkowe cyfry i odkładam z powrotem ebonitową białą kość. Ale przecież w końcu wszyscy albo prawie wszyscy zostają sami na świecie. Jakos to wytrzymują. Bo i nie ma się komu poskarżyć. Ci, co by zrozumieli, dawno odeszli, ci, co zostali, jeszcze nie wiedzą.

Szatniarz kłania się grzecznie, choć mógłby w ogóle nie odpowiadać na powitanie. Bo szatniarze w naszym kraju to milionerzy. Tajemniczy władcy naszych nocnych słabości.

- Panie majorze - powiadam - ochciałem zostawić moją flaszczkę i psa.

- Piersiówka - śmieje się szatniarz chowając kanister pod bufetem.

- Prawie. A może dla pieska znajdzie się jakaś kostka? Idź, Pikus, do pana. Pan major lubi zwierzęta.

- Jakby pan zgadł. Mam w domu baseta. Kolega minister przywiózł mi ze służbowej podróży. Nie zrobię Pikusiowi krzywdy.

Przeглядam się w lustrze. Miałem porządných rodziców, a mimo to fi-zjonomia nie za bardzo. Przystosowałem się do otoczenia. Przynajmniej nikt do mnie nie ma pretensji, że za stary albo za młody. Za piękny albo za brzydki. Po prostu w sam raz na te czasy. O, Boże, wieczór się zbliża. W co się zaplątałem. Głowa ciężka, przewód myślowy roztrojony. Bo przecież obudziłem się w pewnej aurze psychologicznej, może paskudnej, lecz przecież dobrze znajomej, wypracowanej przez rutynę i w końcu bezpiecznej. Teraz straszne prowizorium, chaos zwatpień oraz bezza-sadnych pocieszeń. W sumie całosć nielogiczna, pozabawiona wierzytelnoś-ci, niepoważna. Niepoważna? W kieszeni szwedzkie zapalki, w szatni pięć litrów benzyny. Tym gorzej, że niepoważna.

Tadzio wraca z toalety obciążając na sobie prowincjonalny spencerek.

- Jakiś pan prosi - powiada z nieśmiałym uśmiechem.

- Kogo prosi? - pytam.  
 - Pana. Tam w korytarzu.  
 - To zaczekaj na mnie. I ty, Pikusiu, który szczęśliwie się odnalazłeś, także poczekaj. Pikusiu, który się odnalazłeś, żeby towarzyszyć mi w ostatnich godzinach. Czy ja nie mówię za dużo, panie majordome?

- O, pan lubi mówić - śmieje się morźniasty szatniarz. - U nas zawsze znajdzie się okazja pogwarzyć.

Dziwnie powiedział. Wieszczym tonem. A ja chcę po prostu zagadać ten kolczasty kęs, który we mnie rośnie. Kęs, którego nie zjadłem.

- Zaraz wracam, chłopcy - mówię i zanurzam się w niebieską piwniczną ciemność korytarzyka. Obok młodej, zalotnej babci klozetowej stoi faoet z obrzejką twarzą, w standardowym garniturku.

- Proszę bardzo - pokazuje mi czerwone drzwi, jakby uważał, że jestem wprowadzony w całą sprawę.

Popycham uchylone drzwi, wchodzimy do białego korytarzyka, jakie widuje się w podziemiach schłodniejszych kamienic warszawskich. On wyprzedza mnie, przekręca żelazny zawór w metalowych drzwiach. Swoją albo obcy. Obstawa albo agent sprawdzający dokumenty cinkciarzy. Wpycha mnie do przestronnej salki, gdzie kilku panów zza dużego stołu przygląda się sali obrad zjazdu uwidocznionej na kolorowym, zagranicznym telewizorze.

- A to pan? - dziwi się rosły jegomość, przystojny, ale z zepsutymi zębami. Odziany jest w jakieś harris-tweedy, które znowu stały się modne. Wygląda jak artysta, co cierpi na depresję. Melancholia i zaniedbanie w twarzy.

- Co dobrego? - dodaje nie spuszczać wzroku z telewizora.

- Wszystko po staremu. Wpadłem na obiadek.

- Na obiadek wpadłeś? - pyta retorycznie i ze złowrobną poufałością skwaszony elegant.

Patrzmy wszyscy chwilę na mówcę, który czyta pracowicie z wielkiej stery kartek. Źle akcentuje słowa, posługując się dziwnym akcentem ludowym, którego lud nie używa. Ale jest zaangażowany. Ochota aż mu tryska z bystrych oczu.

Elegant przenosi na mnie lodowaty wzrok. Patrzy długo i trudno odgadnąć jego diagnozę.

- Obszukaj gościa, Zenek.

Ten, co mnie wprowadził, to majster. W ułamku sekundy znalazłem się przy białym chropowatym murze z rękami uniesionymi do góry. Coś przeleciało mi po plecach, pod pachami, nawet w kroku.

- Gotówka luzem, klucze do mieszkania, kawałek gazety i zapalki z importu szwedzkie - stwierdził jak do protokołu Zenek.

- A papierosy? - spytał elegant.

- Nie ma.

- To po co zapalki?

- Wyszył mi. Chciałem kupić w szatni - rzekłem obojętnym tonem, żeby nie podsycać incydentu.

- Pokaż gazetę - rzekł elegant i od niechcienia ją przeglądał kawałek "Trybuny Ludu". Próbował że kawałki złożyć do siebie krawędziami jak tajemniczy gryps.

- No to co z tobą zrobić - westchnął rezygnując z gazety.

Milczałem ostrożnie. Piwniczne pomieszczenie nie miało okna, choć wyglądało na prowizorycznie zamieszkałe. W kącie stała nawet sofa przykryta kocem. Domyślałem się, że to lokal kontaktowy.

- Jak myślicie, koleśdy, zwolnić obywatela? - zapytał towarzyszy. Oni uśmiechnęli się bez wyrazu, widąc przyzwyczajeni do stylu szefa.

- Ale pieprzy ten kutas złamany. Zenek, przykręć głos.

Zenek posłusznie zbliżył się do aparatu i przesunął regler.

- Cholera, nawet mówić nie potrafi akuratnie. Ciebie to chyba razi?

- zwrócił się do mnie.



- Nie przysłuchiwałem się.  
 - Acha. Piszesz coś ciekawego?  
 - W myślach.  
 - W myślach piszesz? - zaśmiał się elegant. - A to cwaniak, nie? O czym to będzie?

- Jak zawsze o życiu.  
 - No, no, długą przerwę miałeś. My to wiemy, odwiedzaliśmy cię parę razy. Pamiętasz, jak meldowałeś na komisariacie o włamaniach? Raz wypiliśmy ci koniaczek, raz zabraliśmy piśmka pornograficzne. No?

- Co no?  
 - Nie dziwili cię tacy dowcipni włamywacze?  
 - Mnie już nic nie dziwi. Nawet to, że pan mówi do mnie po imieniu, choć mógłby być moim synem.

Popatrzył na koleżków, ci uśmiechnęli się bez przekonania.  
 - Ja tak do wszystkich mówię. Z przyzwyczajenia.  
 - Kiedyś dałbym po pysku za takie przyzwyczajenie. Ale teraz mi wszystko jedno.

Zenek i świta przy stole zamarli ze zgrozy. Obok w klozetach poszła hucznie woda. Babka klozetowa woła za kimś wzburzonym głosem:

- Za świeście złoty chcesz się wysrać, sknero!

Szef elegant wstał leniwie tak, jak oni to lubią, oni wszyscy na całym świecie, więc wstał niespiesznie z tym złowieszczym ceremoniałem rozbawionego policjanta, podszedł do mnie, chwilę przyglądał się uporzycwie.

- Po co pan czaruje? - powiedziałem sennie. - Miałem przyjemność z gestapo, z NKWD i z naszą dawną pocztową milicją, która nienawidziła tak zwanych intelektualistów. Mnie pan nudzi.

- Więc porównuje pan nas do gestapo?

- Pan sam to powiedział.

Znienacka trzasnął mnie w szczękę i natychmiast poczułem ciepły, słony smak krwi w ustach. Dawniej miałem lepsze dziaśła. Teraz krwawią nawet od szczoteczki do zębów.

- Zenek, skuj zatrzymanego. Zachowuje się po chuligańsku.

Tyle zyskałem, że przestał mnie tykać. Podwładny z urzędniczą rutyną założył mi kajdanki.

- To na czym stanęliśmy? - rzekł elegant wracając do stołu.

Cedził słowa jak przedtem, ale wiedziałem, że wypadł odrobine z rytmu. On chyba nie wiedział, że w szatni zostawiłem swój powróż. Mnie ogarniała jakaś przewrotna mściwa satysfakcja wobec tego biedaka, który grał coś staroświeckiego przed sobą oraz kolegami i wobec moich moco dawców, co pchnęli mnie na drogę świętości.

Świta milczała z uszanowaniem. Ale to milczenie było w jakiś sposób przeciwko niemu. - Raz juki ułańskie bez ziemniaków! - ktoś krzyczał za ścianą. Szef przerzucił ze sztucznym namysłem czyste kartki na biurku.

A gdyby mnie tu zabił, pomyślałem z dziwaczną nadzieją. Umiejętnie, bez bólu, w jednej sekundzie. Dla niego to drobiazg, a dla mnie to duża ulga. Moi by tak wiele nie stracili. Zawsze jakiś profit kapnąłby ze śmierci uwięzionego literata. A ja, biedny, skacowany, nie musiałbym się tukać aż do wieczora i przeżywać po tysiąc razy swoją przyszłą śmierć.

- Co pan dziś robił? Proszę opowiedzieć wszystko po kolei - rzekł wreszcie siadając za biurkiem.

- Obudziłem się w kiepskim nastroju. Leżałem w łóżku myśląc o sobie, o swoich niepowodzeniach i o tym, że właściwie nie warto żyć. Wyobraziłem sobie, jakby to było dobrze, gdyby przypadek albo umiejętna osoba, gdyby coś lub ktoś pozbawił mnie tego nudnego, parszywego życia.

- No a dalej.

- Dalej zacząłem się myć, ubierać ciągle brnąc w pesymistycznych rozmyślaniach.

- Czy ktoś pana odwiedził?

- Tak, najpierw naczelnik domu. Radziła nabrać wody, bo wyłączyli.
- A potem?
- Potem hydraulik, żeby odciąć gaz.
- A coż to się tak na pana zawzięli?

Wtedy jeden z pomocników zaskrzyphiał i powiedział: - W całej dzielnicy wyłączyli wodę. U mnie też. Myłem się w biurze. Że na tych łajdaków kary boskiej nie ma.

- Cała ulica Foksal rozkopana - dodał drugi.

- A włosną ryli Nowy Świat - wtracił się Zenek. - Zerwali przy okazji kabel telefoniczny. Tyle miesięcy muszę za każdym razem dymać do budki telefonicznej. Myślicie może, że ta budka zawsze działa? Gówno, co drugi dzień łobuzy wyrwają słuchawkę z mięsem.

- U nas na Kole - zaczął drugi pomocnik - w bloku pękła ściana. Od dachu do piwnicy.

- Dobrze, dobrze - przerwał szef niechętnie, bo ten potok zażądał odbierać majestat przesłuchaniu. - Wracając do rzeczy. Nikt pana więcej nie odwiedzał?

- Nikt. Wyszedłem zaraz z domu.

- Po co?

- Na śniadanko. Stojuję się w barze "Familijsnym", panowie może znają. Obok walutowej oastkarni, gdzie dawniej była firma Blikiego.

- A po śniadaniu?

- Po śniadaniu odbyłem spacer i zajrzałem na premierę filmu "Transfuzja". Ciekawy obraz, dużo mocnych powiedzeń, aż dziwne, że puścili. Polecam panom. Warto zobaczyć.

W rurach piwnicznych zagrało kilka taktów Prokofiewa.

- Pan się źle czuje? - spytał nagle szef.

- Nienadzwyczajnie. Męczy mnie kac niewiadomego pochodzenia.

- Zenek, zrób panu zastrzyk.

Błyskawicznie zostałem przywoźdżony do krzesła. Ale tym razem pomagali obaj asystenci szefa. W ułamku sekundy podciągnięto mi rękawy kurtki i koszuli. Ktoś szlauchem związał ramię, a Zenek już z zadowoleniem macał moją delikatną żyłę.

- Protestuję! - chciałem krzyknąć przeraźliwym tenorem, ale tylko zakaszlałem się nieszczęśliwie. Wiedziałem, że mocny, donośny krzyk jest skuteczną formą walki z bezprawiem. Ale w całej tej knajpie krzyczano bez przerwy i na ulicy manifestanci krzyczeli, i delegaci partii w telewizorze wykrzykiwali nazwiska obu sekretarzy, naszego i radzieckiego. Na krzyk, w gruncie rzeczy, nie warto było liczyć.

Zenek energicznie wbił igłę w żyłę. Kątem oka dostrzegłem, że strzykawka była do jednorazowego użytku. W tym ogólnym braku humanitaryzmu przynajmniej to było humanitarne. A przecie wiedziałem, że nawet w porządnych szpitalach posługiwano się używanymi, ledwie przepieranymi w letniej wodzie bandażami.

Włoczył mi sporą dawkę, a ja nic nie czułem. Zachodziło prawdopodobieństwo, że ampułka była zdefektowana. Zdarzały się takie zastrzyki, jedynie z solą fizjologiczną, bez leków. Przemysł farmaceutyczny także się rozprzągał od wielu lat.

Zenek pewnie wyczytał w mojej twarzy niedowierzanie. Przyklepał żyłę kawałkiem waty i rzekł pieszczotliwie:

- Dobry zastrzyk. Prawdziwy. Amerykański.

- Chciałeś powiedzieć radziecki - poprawił szef.

- Tak, radziecki.

Odstąpili ode mnie. Zsunąłem rękawy na obolałą rękę.

- No to zaczynamy od nowa - powiedział szef. - Kto pana odwiedził?

- Naczelnik domu, a potem hydraulik.

Elegant wstał, zwykłym, normalnym krokiem podszedł i trzepnął mnie końcami dwóch palców po policzku, jakby chciał strącić pajaczkę, a ja zaryzykowałem się na równe nogi. Wydało mi się, że niewidzialne obcegi spróbowały urwać moją biedną głowę z gwintu kręgosłupa.

- No widzi pan, że zastrzyk działa - rzekł poufale Zenek. - Lepiej

mówić prawdę.

- Teraz jest pan jednym wielkim jądrem. Nawet przeciąg pana zaboli - szef wrócił za biurko. - Więc kto złożył wizytę ranó?

- Hubert i Ryszard Szmidt.

- Bardzo dobrze - pochwalił szef. - I kto jeszcze.

- Tylko oni dwaj.

Szef podniósł się z krzesła i ruszył w moją stronę.

- Hubert i Ryszard! - wrzasnąłem. - Tylko oni.

- Mówi prawdę? - spytał elegant swoich kompanów. Wzruszyli ramionami wymijająco, ale on wrócił na swoje miejsce.

- Niech będzie. A kogo spotkał pan podczas spaceru?

Miał kartkę papieru w kulkę spoglądając na mnie rzeczowym, beznamiętnym wzrokiem.

Spotkałem psa. Pikusia. Zaginał wiele lat temu, żył wśród obcych ludzi, pewnie cierpiak i tęsknił do nas, a teraz odnalazł się na Powiśle.

Pstryknął we mnie kulką papieru, która trafiła w czoło. Zawyłem i spadłem z krzesła. A to było jeszcze gorsze. Zbierałem się długo z betonowej podłogi.

- Podczas spaceru spotkałem znajomą dziewczynę.

- Jak się nazywa?

- Żle powiedziałem. Chodziło mi o to, że poderwałem ją w czasie spaceru. Nie znam jej nazwiska.

- A imię?

- Halina.

- Halina - powtórzył szef i popatrzył na współników.

Gdzieś, za którąś ścianą rozległy się gwałtowne żoskoty, jakby ktoś przebijał się do nas kanałami. - Ratunku, otruli mnie! Boże, gdzie tu ubikacja! - Normalne odgłosy naszych restauracji.

- Słabo panu idzie - stwierdził elegant. Mógłby uchościć nawet za przystojnego, gdyby nie te zęby. Bał się widocznie dentystry albo nie miał czasu.

- Słabo - przyznałem. - Marnie się dziś czuję.

- Jak pan myśli, dlaczego pana zaprosiliśmy na rozmowę?

- Nie wiem - rzekłem apatycznie. - Wszystkich wzywają na rozmowy.

- Panu się u nas nie podoba, prawda?

- Przykry lokal, rzeczywiście.

- Nie. Ja pytam w ogóle,

- W ogóle też mi się nie podoba.

- O właśnie. Mnie się też wiele rzeczy nie podoba. Wam również,

chłopcy, dobrze mówię? - oni potwierdzili bez przekonania. - Nie podoba mi się, na przykład, moja praca. To wymysł różnych tam pisarzy, że człowiekowi sprawia przyjemność dręczenie innego człowieka. Ja tą moją robotą już rzęgam. Pan mi nie wierzy?

- Trochę wątpię. Za dużo się pewnie naczytałem tych pisarzy.

Znowu wstał, z namysłem zapalił papierosa moją szwedzką zapałką.

Przyjrzał się jej rześkiemu importowanemu płomykowi, a potem go zduchnął. Podszedł do mnie jak zatroskany lekarz i dźgnął mnie w pierś wskazującym palcem. Kwiknąłem podrywając się na równe nogi.

- Nie wiem, jakie ma nazwisko, ale wiem, gdzie mieszka.

Zaśmiał się normalnym śmiechem, wyzuty już kompletnie z demonizmu, i chciał mnie poklepać, ale się opamiętał.

- A pan myśli, że my nie wiemy? Tknąłem pana, bo chciałem sprawdzić, czy zastrzyk działa. Na czym to staneliśmy. Acha, już wiem. Więc moja robota jest odrażająca i godna potępienia. Ale można ją wykonywać i tak i siak. Ja ją właśnie wykonuję siak, prawda chłopcy? - i przytrzymał na nich wzrok. Ochoczo przytaknęli. - Chodzi o to, żeby na każdym szczeblu byli nasi ludzie, to znaczy tacy jak pan i ja. Bo my jesteśmy opozycjonistami, choć pan jest opozycjonistą negatywnym, a ja pozytywnym. Pan odważa ceremoniał, nadbudowę, formę estetyczną, ja pragmatyzm, codzienność, funkcjonowanie infrastruktury. Pan reprezentuje

szlachetną bierność, ja trywialny czyn.

Pogładził mnie po włosach, a ja zajęczałem.

- Proszę się nie krepować. Pana krzyki, jęki, płacz, dowodzą, że działamy skutecznie. My też jesteśmy kontrolowani i musimy uważać, aby się nie wkrcić w nasze szeregi ktoś koniunkturalny, ktoś spoza kręgu ideowych opozycjonistów.

- A doradcy radzieccy? - spytałem i straciłem natychmiast przytomność.

Obudziłem się na szorstkiej podłodze. Zenek polewał mnie wodą z wiadra. W lewym uchu huczały jakieś wodospady alpejskie, jakieś torna-da z Oceanu Indyjskiego. Małżowina ucha puchła rozsadzając skórę głowy. Zenek stękając uniósł mnie z podłogi i posadził na krześle.

- Na te tematy nie będziemy rozmawiać - rzekł surowo szef. Mam nadzieję, że pan zapamięta.

- Tak, postaram się - kątem ust dmuchałem w stronę rozdętego ucha. Na ekranie telewizora nestor artystów polskich, prawie stuletni starzec przypominający nieżywego żółwia, składał hołd przywódcom obu partii. Z jednej strony pódtrzymywał go - ku memu zdumieniu - Bułat, z drugiej młoda, utalentowana pianistka. Właściwie niesli go ściskawszy za suche jak wydmuszki łokcie, a on kiwał monotonnie łysą, schyloną głową. Prezydium skandowało oklaski, dostojny starzec w rytm tego skandowania podrygiwał umarką dawno czaszką.

- Powiem panu więcej - odezwał się eleganś. - Pierwszy sekretarz jest także naszym człowiekiem. Należy do wielkiej armii opozycjonistów pozytywnych, choć im nie przewodzi - zaśmiał się znów i podniósł palec, którym mnie przestawiał ugodził. I tu stykamy się ze specyficzną dialektyką naszego, że tak powiem, czasosystemu. Pan spogląda z niepokojem na moich współpracowników? Proszę się nie obawiać, są wierni i lojalni. Poza tym nie ośmieliliby się donieść, lekalicby się powtórzyć, nie przeszłoby im przez gardło. Stają się współuczestnikami przez współudział. Tak jak pan.

- Czy mogę zadać jedno pytanie?

- Słucham.

- To dlaczego jesteśmy w niewoli?

Wrócił do biurka, usiadł pochylony nad blatem. Gmerał po nim, jakby szukając potrzebnego papierka.

- Bo taki jest układ. Układ górotwórczy polityki globalnej.

- Sami siebie wzięliśmy w niewolę i trzymamy za kratami? - spytałem domyślnie.

- Błysznał okiem z aprobatą.

- Otóż to. Ubiegliśmy ciemiejącę. Przechytrzyliśmy go. Jesteśmy wolni dzięki temu, że sami sobie narzuciliśmy niewolę.

- Historia jest naszym ciemiejącą?

- A jak by pan wołał?

- - Wolałbym historię, bo to bardziej honorowe.

- Historia, historia - uśmiechnął się gasząc papierosa o podeszwę, bo nie było popielniczki. - Tajemnicza nieznaną. Ruchy mas ludzkich, tapnięcia ekonomiki, epidemie narów psychologicznych, aspiracje zdefektowanych przez zbuntowane geny jednostek i ta jakaś metafizyka czasu, bez której nie byłoby historii. My tu gadu, gadu, a pan pewnie marzy o obiadku. No to co, może zobaczymy się wieczorem?

Milcząc próbowałem wstać z krzesła.

- Zenek, pomóż panu. A więc do wieczora?

- Nie wiem, co pan ma na myśli?

- Czas pokaże, otóż to, historia pokaże. Widzi pan, poszło gładko.

Nie wymagam nawet żadnych zobowiązań co do dyskrecji. W dawnych jaskiniowych czasach podsuwano u nas do podpisu papierki przymuszające do milczenia. A ja uściśnę panu tylko dłoń. Jesteśmy jednego szczerpu, albo, jeśli pan woli, z jednej niwy.

- A propos. Dlaczego pan nie pisze?

- Myśli pan, że warto pisać?

- Madzale powiadają, że nie warto. A jeśli madzale tak mówią, to znaczy, że warto. Ja mam nawet pewien pomysł. Niech pan pisze dla konkretnego czytelnika, to zawsze lepiej. Na przykład dla mnie. Niech pan odrzuci cenzurę, rację stanu, wszelkie lęki i pisze jak wolny dla wolnych. Był pan zawsze pyszny, ale nie próżny. Wielkość nakładu nie odgrywa dla pana szczególnej roli. Lepszy jeden rozumny czytelnik z prawdziwą literaturą w ręce, niż dziesiątki tysięcy jamochłónów z papierem toaletowym w garści. U mnie pana książka nie zginie. Tylko w mojej ręce ma szansę na przetrwanie, na wieczność.

Podał mi rękę ostrożnie w obawie, że przysporzy bólu.

- Do zobaczenia.

I o dziwo wyprzedził mnie, wyszedł pierwszy z tego lokalu. Wtedy zbliżył się Zenek, delikatnie przewrócił mnie na ziemię i zaczął z zaskakującą subtelnością kopać mnie po żebrach, ale czynił to tak umiejętnie, jakby tylko szpicem buta chciał poprawić fałdy mojej zmiętej kurtki. Znosząc lekko tę ni to pieszczotę, ni to torturę przyglądałem się jednemu z pomocników szefa, który bardzo fachowo robił mi zdjęcia pstrykając rzęściele fleszem. Potem Zenek uniósł mnie z ziemi, otrząpał moją odzież, zdjął kajdanki i pchnął nie mocno w stronę wyjścia. Jakieś pogmatwane przedstawienie skończyło się i przebieg tego przedstawienia był zaskoczeniem zarówno dla mnie, jak i dla milczących reżyserów.

Wszedłem do korytarzyka koło ustępów, chciałem skierować się ku sali restauracyjnej, ale powstrzymał mnie surowy głos niebrzydkiej babci klozetowej.

- Szczęść się należy.

- Ja nie korzystałem.

- Pół godziny siedział i nie korzystał.

- Ale dlaczego aż szczęść?

- Za to samo. Wszyscy kombinują, żeby się wykrecić. Wstydu nie mają.

Dałem więc tyśiąc i nacisnąłem uchylne drzwi, wszedłem do restauracji, ale to nie była restauracja. Drzwi zatrzasnęły się za mną z przykrym chrzęstem jakiejś maszyny. Znalazłem się w poczekalni z fotelami i uschniętą zielenią. Na jednym z półfotelów półleżał mój znajomy dygnitarz, towarzysz Kobialka. Widać ubrano go przemocą, bo koszulę miał obróconą na lewą stronę, buty niezasznurowane, a krawat zwisał z oparcia fotela.

Popatrzył na mnie przytomnie.

- Dzień dobry, sąsiedzie - rzekł zmęczonym głosem.

- Dzień dobry. Poznał mnie pan?

- Zawsze poznawałem, codziennie, ale pan sam rozumie, wtedy nie mogłem okazywać grzeczności. Gdzie pan się rozebrał?

- Byłem zawsze ubrany. Przyszedłem na obiad do "Paradyzu".

- Żle pan trafił. Kto tu pana wpuścił?

- Chyba Zenek.

Spojrzał uważnie i uczynił gest zaproszenia wskazując fotel.

- To znaczy, że przestuchiwali pana. Pewnie w związku z moją sprawą?

- Nie. Z moją własną.

- Ale przecież pan się nie rozbierał?

- Przypuszczam, że ja po innej linii.

- Dali panu zastrzyk?

- Dali.

- Mnie też. Ale już prawie nie boli - szczypanął się w dłoń. - Chce pan cukiereczka ze zjazdu?

- Wolałbym pójść na obiad.

- No to proszę spróbować - powiedział chwiejąc głową.

Podszedłem do drzwi, nacisnąłem kłamekę. Nawet nie drgnęła. Uderzyłem bokiem w płaszczynę drzwi. Jak o kamień.

- Widzi pan, co za sztuczki. Że im się jeszcze chce. Ja wiem, po co tu siedzę. Czekam na karetkę, ale jestem dopiero trzeci w kolejce. Fatalny dzień. Co godzina ktoś się rozbiera. Wie pan, to wisi w powie-

trzu. Jednego dnia nagromadzi się jak przed burzą. Ludzie nie wytrzymają. Ogromne napięcie.

Oczy jego łyskały krwawo, ale nie było w nich fanatyzmu. Raczej dziłość, histeria determinacji.

- Wie pan, sąsiedzie, odczuwam ulgę. Pierwszy raz od wielu lat zapadam się w rozluźnienie. Jestem zmęczony, słaby, ale mi dobrze. Nie śpię od tygodnia. Dzisiaj rano, kiedy mnie pan widział, z najwyższym trudem powstrzymywałem szcześnie zębów. Ja na ten dzień czekałem od poprzedniego zjazdu. Napisałem tekst w ścisłej tajemnicy, poza domem, wie pan, po prostu na polowaniu. Trzymałem go w dziupli i co niedziela jeździłem uczyć się na pamięć. Uczyłem się i zapominałem. Bo nagłe podczas konferencji, odprawy albo na plenum uświadamiałem sobie z przerażeniem, że takie słowa nie przejdą mi przez usta. Więc je zapominałem i pisałem nowe, potem w przystępie odwagi albo rozpacz zmaływałem z pamięci te nowe i przywracałem stare. Tak, drogi sąsiedzie, szamotałem się dobrych kilka lat. Po nocach sam do siebie w myślach wygłaszałem do przemówienia. Szyderczo, gniewnie, miejscami z patosem. Robiłem pauzy, czekając na oklaski, podnosiłem głos do krzyku, żeby przebić tumult i wrzask dezaprobaty. Wszystko sam przed sobą po nocy. Na tamtym zjeździe ważyłem dziewięćdziesiąt pięć kilo. A teraz tu mnie zważyli i niech pan zgadnie ile?

- Trudno powiedzieć. Osiemdziesiąt.

- Sześćdziesiąt siedem - zachrypiął triumfalnie Kobiąłka. - Tyle co radziecki telewizor kolorowy.

- Chyba trzy kilc więcej?

- Ja jestem, panie sąsiedzie, działaczem starej daty. Wszystko zniósłem, ale tych czasów nie mogę znieść. Wyczerpało się, koniec, kropka. Potrzymaj mnie w domu wariatów, ale na pewno w tym rządowym, potrzy mają pół roku i wypuszczą na rentę. Może nawet wydadzą mi paszport na wyjazd do innego województwa.

Gadał nieustannie i widać było, że prędko nie przestanie. Całe lata wstrzymywany potok słów oraz chaotycznych myśli spływał teraz na moją biedną skacowaną głowę. Skacowaną dobrze, ale od czego?

Kobiąłka zerwał suchy liść i zaczął go żuć nerwowo.

- Pan też na rencie, sąsiedzie? Widuję przez okno, jak całe dnie albo w domu, albo na przechadźce.

- Sam sobie wyznaczyłem rentę. Ale teraz przechodzę do czynnej służby.

- Czy pan zwariował? Oni się już kończą, tak, chyba się kończą - ostatnie słowa powiedział wolno i jakby bez przekonania. - Tyle lat mówiłem sobie to w myślach. U pierwszego sekretarza i u premiera, a także na przyśdium rady ministrów. Uważa pan, że oni się kończą?

- Wszystko się kończy. Woda, węgiel, cały świat.

- Słaba pociecha. A ja, wie pan, sąsiedzie, taki obkuty, taki wyczerpany, zaciąłem się cholera. Krzyknąłem te słowa, pan chyba słyszał "towarzysze hajdacy, towarzyski świnie". Może takie zawożanie jest w złym guście, na pewno nawet niedobre, jakieś zupełnie niepoważne, ale się przyzwyczaiłem. Wahałem się, wahałem się i w końcu przyzwyczaiłem. Po prostu nie mogłem zrezygnować. Więc wykrzyczałem te epitety i zaciąłem się, cholera. Ani jednego następnego słowa nie pamiętałem. Co mówię: słowa. Sylaby nie pamiętałem cholera, tematu nie pamiętałem. Gorąco i wata w głowie. No to zacząłem krzyczeć z tej głowy, z tej waty, byle im tylko dopiec. Może to i nie było dorzeczne, drogi sąsiedzie, ale, jak mówią, w telewizji głos wyłączone. Więc subiekcji nie ma, ludzie tylko widzieli, że protestuje, prawda?

- Niech się pan uspokoi. Proszę wolno, rytmicznie oddychać.

- Ją się uspokoję razem z wariatami. Ale przecież tam wariatów nie ma. Sami koledzy. Kto wie, jak tam będzie, ale chyba nie gorzej niż w ministerstwie.

Umilkł na moment, żeby wypłuć żuty doszczętnie ochłap liścia. Trzęsącymi się palcami zeskrobał go z języka i usiłował strząsnąć na podłogę.

- Czy pan nie wie, jaka jest dziś prawdziwa data - skorzystałem z okazji.

Pokazał kciukiem sąsiednią ścianę.

- Oni tylko wiedzą. Bezpieczeństwo. Też chyba nie. Sam minister albo ściśle kolegium. Importowany kalendarz wisi w sejfie wielkim jak prawdziwy pokój. Codziennie minister z zachowaniem ceremoniału wchodzi tam w ściszej tajemnicy i zdziera kartkę, którą automat spala na popiół. Nikt nie zna daty, bo przez lata a to prześcigano terminy, a to zawalano. Raz goniono, goniono Zachód i przegoniono, w innym momencie goniono i pozostano w tyle. Każda gałąź przemysłu, każda instytucja, każdy PGR mieli swój kalendarz i z nim się zmagali. Pięć miesięcy do przodu, później dwanaście do tyłu. 1974 w 1972, potem 1977 w 1979. I wszystko się pokikało. Nikt nic nie wie. Po sierpniu, panie sąsiadzie, jakoś jedziemy. Ale burdel szalony.

- Można na Zachodzie sprawdzać. Dawno nie słuchałem radia wolnego.

- Można - zaśmiała się Kobiałka i okrzepnie w tym momencie zakrzutem. - Oni podjęli wyzwanie. Zaczęli to uciekać przed naszym pościgiem, to zwalniać, kiedy my popuszczaliśmy. Oni też skołowani. Też jadą w kompletnym rozkroku.

- Skąd wobec tego kalendarz w ministerstwie bezpieczeństwa?

Kobiałka rozłożył bezradnie ręce.

- A tego to i ja nie wiem.

Podszedłem do drzwi i nasłuchiwałem. Za czerwonymi drzwiami szumiała gdzieś jednostajnie woda jak wiejski potoczek.

- To wszystko się jeszcze trzyma - próbował racjonalizować swój wewnętrzny chaos nieszczęśliwy Kobiałka - to wszystko się trzyma na sznurku, na szpagacie krajowej produkcji, na pajęczej nitce nadziei. Zdemoralizowaliśmy kapitalizm. Doszczętnie i absolutnie. Straszny przykładem. Tak pozwiązywaliśmy ich umowami gospodarczymi, naukowymi, kulturalnymi, sportowymi i jakimi pan chce, tak ich pozwiązywaliśmy jak drutem kolczastym i dawaj nawalać terminy, fałszować jakości, niedopłacać w gotówce, okłamywać i zalewać wódką, że po jakimś czasie i u nich wyszczerzył raptem zęby nasz własny, przez nas wynaleziony i wychuchany totalny socjalistyczny bardak. A niech pan zwróci uwagę, drogi sąsiadzie, że przez pewien czas puszczano od nas ludzi za granicę. Co oni tam robili? Psuli automaty telefoniczne, jeździli na gapę metrem, włazili wszędzie bez ogonka, kradli sztuce w restauracjach, nie płacili rachunków hotelowych, upijali tubylców, zanieczyszczali szalety publiczne i gdzie tylko mogli nadużywali tubylcze niewiasty. Panie sąsiadzie, jak to wszystko zebrać i podsumować, to kto się będzie dziwił, że tak zwany wolny świat wygląda coraz bardziej na świat sowiecki. I oto, drogi sąsiadzie, ostatnia nie zgrana doktryna, być może samego Lenina: jeśli mynie dogonimy kapitalizmu, to kapitalizm na nas zacza.

Skńczył swój monolog i zamyślił się ponuro. Za ścianą odezwała się muzyka. Gładka, sprawna, w pewnym sensie ponadczasowa i uniwersalna muzyka knajpiana. Jednak byliśmy blisko restauracji. Tylko jak do niej trafić? Obwahałem drzwi. Drzwi jak drzwi, przybrudzone, pęknięte tu i ówdzie, z banalną kławką, a w sumie pancerne wierzaje. Jakiś piesek szczenka w czeluściach tego Hadesu, pewnie mój Pikuś.

- Niech pan się wygodniej położy - odezwałem się do Kobiałki. - Takie przeżycie mogło pana zabić. Trzeba się oszczędzać.

- Ja, panie sąsiadzie, jestem prosty uczciwy człowiek. Nie mam głowy do filozofowania. Widzę, że czarne, to i mówię, że czarne. A jak białe, to białe. Pan zauważył, oni ciągle filozofują. Im gorzej, tym więcej filozofów. Im oczywistszy bezsens, tym głębsze myśli. Im więcej bezprawia, tym obfitsze prawa. Im powszechniejszy chaos, tym uporczywsze zamiłowanie do symetrii. Wyprodukowali całe hałdy chłamu filozoficznego. Co ja mówię, całe góry, całe Himalaje. Gdyby te hipotezy, tezy, aksjomaty, pewniki, teorie i dogmaty zacząć palić w piecach, toby energii starczyło do końca świata.

- Pan przecież także filozofuje.

- Ja filozofuję? - zdziwił się Kobiąłka. - Ja tylko mówię, jak jest. O Boże Wszechmogący, już niedługo odpocznę. Ubiore się w ciepły, wacowany kaftanik wariatów, położę się na podłodze zacisznej komnatki wybitej pikowaną materią ochronną, będę patrzył w sufit, drzymał, myślał o tych wszystkich panienkach, których kiedyś nie przyrząnąłem, bo nie wypadało, czasem ocknę się, pobluźnię sobie dowoli, wykrzyknę kilka ohydnych przekleństw polskich i rosyjskich, na które mam od dawna chrapkę. Panie sąsiedzie, u nas już zaczynają szanować wariatów, jak w Rosji. Dawniej, drogi sąsiedzie, byle łachmytę antyrządowego wsadzano na badania psychiatryczne. Że niby jeśli przeciwko ludzkiemu - to wariat. Dziś nie do pomyślenia. Policjanci, sąsiedzie, ilu premierów naszych, sekretarzy, profesorów marksizmu-leninizmu gości u czubków. W naszych czasach domy wariatów to jakby filie akademii narodowych.

Kobiąłka wyraźnie rozkoszował się wizją swojej dalszej kariery. Ale w tym samoutwierdzeniu się drżał jednak pewien niepokój. Milczał myślał o swoich sprawach i to obudziło w końcu podejrzenia.

- A może źle zrobiłem? - zajączkał raptem. - Co to pomoże? I tak muru głowa nie przebijesz. Czy ja mam zbawiać świat? Dlaczego ja, a nie na przykład, Bochenek? Jakoś się w końcu żyło, nawet innym ludziom mogłem pomóc.

- Bochenek też się rozbierze - powiedziałem apodyktycznie.

- Myśli pan? - stęknął Kobiąłka.

- Niech pan przyjrzy się kiedyś jego oczom.

- A co oczy mają do tego?

- Najwięcej czczy. Jeśli są takie bojaźliwe, cierpiące, zażawione, to znaczy, że się rozbierze.

- Wiele bym dał, żeby ten skurwysyn się rozebrał - westchnął Kobiąłka. - Myśli pan, że nie warto żałować.

- Niczego nie warto żałować. Przyspieszył pan tylko bieg historii.

- O, cholera - zdziwił się Kobiąłka.

W tym momencie chrobotnął zamek. Drzwi leciutko otworzyły się niczym jedwabna firanka i wszedł Zenek.

- W imię Ojca i Syna - rzekł zdumiony moją obecnością. - Co pan tu robi? Tam obiadek wystygnie.

- Myślałem, że wchodzi do restauracji. Pomyliłem się.

- To trzeba było wyjść. Tak naprawdę to panu nie wolno tu przebywać.

- Nie mogłem drzwi otworzyć.

- No co pan, dziecko - trzy razy zatrzasnął i otworzył drzwi od wewnątrz niczym sztukmistrz. - Bardzo proste.

- Jak się nazywa wasz szef? - spytałem nie wiadomo po co.

- To nie tajemnica. Żorż, dawniej Żorzyk. Kiedy był młody.

Kobiąłka padł do tyłu na wyliniały fotel, postawił oczy w śniup, zaczął wierząc nogami i chrypieć - hy, hy. Zenek popatrzył na niego z niesmakiem.

- Nie ma się co wygłupiać. Już was zaliczyli do wariatów. Był telefon z KC.

- Naprawdę? - czywił się Kobiąłka. - To bardzo dziękuję.

- Nie ma za co.

Podszedłem do drzwi, nacisnąłem ciepłą jeszcze od dłoni Zenka klamkę.

- Mogę już iść? - spytałem.

- Chwileczkę - rzekł Zenek i zbliżył się do mnie gmerając w zanzarzu. - Wie pan, postanowiłem przeczytać jakiś pański kawałek. Szef mówił, że warto, a ja pana polubiłem. Oczywiście nie mam jeszcze pana książki, ale tu jest mój notesik, może pan złożyć swój autograf.

I podsunął mi kalendarzyk z czystą stroniczką, na której był tylko jeden zapis: "Gienia 63-24-71". Podpisałem się pod Gienią, on uściśnął mi rękę.



- Widzę, że już nie boli - uśmiechnął się życzliwie. - Dla pana jak dla brata. No, ten zastrzyk.

- Do widzenia, panie Kobiałka.  
Sąsiad uśmiechnął się smutnie.

- Ja już pana nie zobaczę.

- Może i ja pana nie zobaczę.

- Zobaczą się, zobaczą się - zaśmiał się dobroduszenie Zenek. U nas się wszyscy spotykają.

- Życzę zdrowia - rzekł.

- Życzę szczęścia - odpowiedział Kobiałka.

Byłem już w drzwiach, kiedy Zenek znowu kiwnął na mnie świdrowałym palcem.

- Pan pozwoli. Coś mam dla pana.

I podał mi to pudełeczko szwedzkich zapalek, z którego korzystał szef Żorzyk.

- U nas nic nie ginie.

Na niższych szczeblach jeszcze czarują, pomyślałem wychodząc wreszcie z tej poczekalni. Jeszcze pamiętają dawne czasy i dawne praktyki swojego zakonu. Ongiś byli artyści, teraz są filozofowie.

- Hałc, pan znowu nie zapłacił! - krzyknęła młoda babcia kłozetowa.

Zawróciłem do jej stoliczka służbowego, na którym stał półmisek w charakterze kasy.

- Dziecko drogie - powiedziałem. - Przecież wychodzę z tych drzwi, a nie z kabinki poruczonej pani zarządzaniu. Chciałbym też przypomnieć, że już raz zostawiłem tysiączek.

- A to przepraszam, rzeczywiście.

- Dziwi mnie tylko pani gorliwość. Takie ładne, miłe dziecko, a tak agresywne.

- A bo ja tu jestem na praktyce.

- Na jakiej praktyce?

- Na studenckiej.

- Z jakiego wydziału?

- Z archeologii. I mnie tu kontrolują, proszę pana. Raz zakradł się komendant naszego hufca pracy, taki wredny docent, ja nie sponstrzegam i potem były nieprzyjemności. A jak zdobędę dużo punktów za tę praktykę, to zwolnią mnie z egzaminu z propedeutyki filozofii.

- No tak, Zosieńko, to co innego.

- A skąd pan zna moje imię?

- Ja wszystko wiem. Może cię jeszcze odwiedzę. Ale prywatnie. Można?

- Och nie wiem, proszę pana. A jak przyjdzie kontrola?

- To schowam się w kabinie.

Wreszcie biysnęły uśmiechem jej oczy. Ta intryga spodobała się młodej babci kłozetowej.

- Proszę przyjść, tylko ostrożnie.

Pogładziłem ją po głowie szorstkiej, jak korona snopka. Zdarzają się u nas jeszcze ładne dziewczyny, lecz już coraz rzadziej. Niedługo przestaną się podobać chłopcom przez to, że nie typowe, w innym stylu, jakby obce biologicznie. Szkoda, że mnie już nie będzie. Szatniarz miał mętne oczy, trzymał się ciężko kontuaru. Powoli wchodził na orbitę. Widocznie lubił o tej porze zaczynać.

- Pan już wychodzi? - spytał.

- Nie. Dopiero wchodzę.

- A mnie się wydaje, że pan był i coś zostawił. Nawet pamiętam co.

- Ma pan rację. Wskoczyłem na chwilę i teraz wracam.

Był życzliwy, ale zarazem surowy. Jego powściągliwość wobec klientów była uzasadniona, ponieważ wielu gości czekało na miejsce w ogonku, który wspiął się po schodach do góry i kończył na ulicy.

Wszedłem na salę. Nie widziałem jej od lat, choć tu przecież zaczynałem swoją biografię. Musiano ją wiele razy przebudowywać, lecz zachowała swój pierwotny kształt głębokiej studni obramowanej u góry galerią, gdzie wysiadywali gorsi goście, jakies chłystki na delegac-

jach służbowych. Współcześnie "Paradyz" prezentował styl nowoczesny w stanie ruiny. To znaczy architektonicznie i w wystroju nadał za standardem światowym, lecz przypominał zarazem rudere tuż przed zawaleniem. Taki był zresztą styl całego państwa. Jakby ci wszyscy ludzie czekali na rychłą przeprowadzkę do nowego kraju.

Ale stoliki były zajęte. Kelnerzy z trudem przeciskali się wąskimi duktami w stronę kuchni. Na parkiecie snuło się kilka par. Przygrywała reprezentacyjna orkiestra inwalidzka związku muzyków stołecznych. Powładaniał o tym napis na kolumnie ze sztucznego piaskowca. Inna inskrypcja głosiła, że kelnerzy zaciągnęli wartość socjalistyczną.

Lecz miejsca nie było. Stałem z brzegu i bodłem wzrokiem niebiesko-czerwony półmrok. Wreszcie zobaczyłem Kolkę Nachałow, który siedział przy sporym stoliku z jakąś blondyną o stapirowanych mocno włosach, czego już najstarsi ludzie nie pamiętali. Miała wielką czerwoną twarz o energicznych zmarszczeniach, duże usta powiększone jeszcze obfitą, czerwoną jak krew szminką, a i biustu też jej nie brakowało. Nie było innej rady, musiałem szukać wsparcia u Kolki.

Podszedłem do stolika, złożyłem ceremonialny ukłon.

- Szukasz miejsca? - spytał Nachałow. - Sładaj, brachu, nie krepuj się. Pani pozwoli, mój kolega, znany literat.

Widać było, że pochlebia mu ta koneksja, że podniesie go ona w oczach blondyny.

- Dziękuję bardzo. Ja tylko na chwilę. Zjem coś i zaraz uciekam.

- Możesz zostać nawet do rana, prawda, pani Gosiu?

Pochyliła dystyngowanie złocisty tapir jak gniazdo os, a ja ucałowałem jej rączkę ozdobioną czarniawymi piegami.

- To dobra znajomość, brachu - rzekł Kolka. - Pani Gosia rządzi kinematografią.

- Ocho - zdziwiłem się uprzejmie.

- Jej specjalność to przejmowanie od państwa w agencję upadłych przedsiębiorstw. Kiedyś to były fabryki, domy towarowe, statki handlowe, a teraz przerzuciła się do kultury.

Pani Gosia uśmiechnęła się miło.

- Kolka przesadza jak zawsze. Wie pan, odkupuję od ministerstwa kultury porzucone filmy. Pan rozumie, takie, których nie udało się skończyć. Bo im się coraz ciężiej produkuje. Reżyser, operator walczą przez pewien czas z ogólną niemożnością. Z tym, że ludzie się spóźniają, nie donoszą rekwizytów, zapominają o terminach, gubią taśmę naeskponowaną, a przeważnie chleją. Więc po paru tygodniach produkcja sama z siebie wygasa. Wszyscy znikają, zostaje puste biuro i reżyser bliski samobójstwa. Wtedy ja się zgłaszam, biorę film za pół ceny i kończę ze swoją ekipą.

- To pani dokończyła "Transfuzję" - pochwalił się Kolka.

- A bo ja płacę. U mnie nie trzeba krać.

- To wspaniały wynalazek.

- Żeby pan wiedział. W mojej ekipie przeprowadzają badania profesorskie ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Jestem królikiem doświadczalnym - zaśmiała się pokazując ząbki umazane w tej samej szmince.

Kolka przywołał kelnera. Był to mroczny brunet w poplamionym kitlu. Czekał wściekle z ołówkiem przytkniętym do bloczka paragonowego.

- Wziąłbym ragout - rzekłem niepewnie - ale z czego to ragout?

- Ja nie wiem. Mnie to nie obchodzi. Jest w karcie ragout i dobrze. Co, mam do kuchni chodzić i zaglądać do garnków? - podniecał się kelner.

- Pan jest zdenerwowany - chciałem go udchruchać.

- Paną to dziwi? Wszyscy żrą, a ja pracuję.

- To proszę ragout.

- Wszystko? Bo nie będę kilka razy podchodził.

- Dziękuję. Wszystko.

Kelner odszedł gdzieś w ciemność. Kolka uśmiechnął się porozumiewawczo.

- On zawsze taki na początku. A nad ranem stawia gościom "złota jesień". A propos, wychylisz kielicha?

- Spróbuję - powiedziałem.

Napełnił kryształowy kieliszek do końca czystą z importowanych kartofli. Ale z boku po kieliszku zaczęły płynąć srebrzyste kropelki.

- No to nie zwlekajmy - rzekł Kolka. - Szlifierz przyrządnął kryształ z całego serca, dlatego cieknie. Za szlifierza.

Stuknęliśmy się ostrożnie kieliszkami. Już miałem mokro w rękawie. Odrzuciłem mnie od tego płynu, ale przemożem się i połknąłem piekącą zawartość.

- A może będzie dobrze - powiedziałem cicho.

- Na pewno będzie. Co ma nie być - rzekł Kolka.

Orkiestra grała teraz jakiś ambitny utwór współczesnego rodzimego kompozytora. Brakowało w kraju dewiz na tantiemy. Nikt nie protestował, wszyscy byli przyzwyczajeni. Pary z parkietu rozeszły się do stolików. Zamknąłem oczy i wydało mi się, że jest tak jak wtedy. Tamtego wieczoru również ktoś grał na fortepianie własny utwór. A ja siedziałem z dziewczyną, która potem została moją żoną.

- Chyba skądś znam pana - odezwała się pani Gosia.

- Ja wszystkim kogoś przypominam. Ścisłej mówiąc, każdemu kogoś innego przypominam. To tak, jakby mnie w ogóle nie było. Mnie pojedynczego, indywidualnego, z własnym niepowtarzalnym kodem genetycznym. Jestem każdym, szanowna pani, jestem szeregowym przechodniem, jestem trochę Kolką, trochę kelnerem, a może nawet, pochlebiam sobie, trochę panią, czcigodną producentką "Transfuzji".

Dopiero teraz spostrzegłem, że gdzieś tam pod ścianami stoją porzucone transparenty demonstrantów, którzy schronili się w "Paradyzie".

- Czy to nowa sekta, czy w ogóle nowa religia? - pyta Gosia.

- Przepraszam, nie dosiyszałem.

- To, co pan mówi.

Ściany spekane, rdzewiejące złocenia, zdefektowane mrugające światlenie. Nowoczesność umierająca na zawał. Niebiesko-czerwony półmrok pełen występnych twarzy. Każda gęba to grzech śmiertelny. Każdy pysk to świętokradztwo, Dudnienie w murach, łomot w głowie, wycie na poddaszach. Głos gniewu bożego.

- Tak. Mam. Przypomniałem sobie.

- Co pan sobie przypomniał?

- Dlaczego mam kaca.

Orkiestra przestała grać i natychmiast zapada w drzemkę. Po prostu oparli głowy na instrumentach i już śpią.

- Wypijmy - powiada Kolka. - Zobaczą, czemu nie podają z kuchni.

Teraz poszło gładko. Masłanka, eliksir syberyjski, lampka wina kaukaskiego, no i nasza ojczysta kartoflana. Żyje jeszcze, ale doganiam już przeznaczanie. Kolka wstał chwiejnie od stołu, rusza w stronę tajemniczych mroków kuchni, gdzie straszą niewidzialne duchy naszej gastronomii.

- Pan jest kontestatorem - rzecze półgłosem pani Gosia. - Zawsze wyobrażałem sobie kontestatora jako młodego, dzikiego człowieka z długimi włosami.

- Cóż pani chce, reżim się postarzał i my postarzeliliśmy. Za długo to wszystko trwa. Cały ten spektakl ma dłużyzny. Dramaturgia szwankuje.

- Pan zakłada, czy już założył nową sektę?

- Moja sekta to ja sam. Ja sam w każdym z was. Bo mnie realnego, bio-logicznego, z adresem i życiorysem w ogóle nie ma. Żyje jak wirus, wirus moralny lub jak bakteria sumienia. A może jak enzym występują. Chodzi o to, proszę pani, że jestem nieobecny, raczej, że nie istnieje. Słyszy pani teksty z głośnika, zabłąkane z eteru fale, przez

nikogo celowo nie nadane, po prostu jakieś echa, rykoszety waszych fal, monotonne mormorando z boskiego gardła.

- Kiedy pan to sobie wymyślił?

- Ja tego nie wymyśliłem. Zostało mi objawione.

- Dzisiaj? W samo południe, kiedy odezwały się salwy armatnie?

- Nie. Wczoraj w nocy. Dlatego mam kaca.

Widziałem w cwału nyży fragment kontuaru szatni. Właśnie Pikus wskoczył na wysłizgany blat i patrząc miłośnie w moją stronę dawał znaki ogryzkiem ogonka, że jest i czeka. Pokazałem mu, że jeszcze nie pora.

Nadpłynął Kolka Nachałów zaróżowiony silniej o jeden odcień.

- Pozwól Gosiu, szef kuchni ciebie zaprasza.

- Przepraszam pana na chwilę - podniósł się z krzesła i zobaczyłem wtedy, że jest w spodniach. Otyłe kobiety lubią spodnie.

Huczało wokół jak w dolinie Józefata w przedwieczny dzień ostatecznego. Wszystkie głosy zlewały się w jeden przejmujący żalony jęk. Z góry, jakby z czyśćca, obserwowały nas twarze złych aniołów. Ale to byli tylko gorsi goście z prowincji, ci, którym się udało wyrzucić paszporty na wyjazd do stolicy w dniu największego święta stulecia.

- Z kim ty siedzisz? - usłyszałem szyderczy głos.

To był Rysio Szmidt, lecz zupełnie odmieniony. Jakby wyszczupiał, jakby przybyło mu srebrnych włosów.

- Z takimi, co mają forszę. Siadaj, postawią i tobie.

- Ja nie potrzebuję - rzekł wyniośle i usiadł. - Można? - pokazał na flaszkę żytniej z kartofli importowanych.

Nalał do szklaneczki od wody sodowej, wypił i zapatrzył się w moje oczy.

- On nie żyje - powiedział.

- Kiedy to się stało?

- Jeszcze nim szamocą te maszyny reanimacyjne, ale ja wiem, że nie żyje. On już widzi Pana Boga. Wytrzeszczył oczy i nadziwił się nie może. Jest już po tamtej stronie.

Muzykanci zbudzili się raptem i zaczęli grać przeznaczony wariant walca "Na sokkach Mandżurii". Żeby nie płącić tantem. Zrobiło mi się jeszcze rzewniej.

- Chciałbym go zobaczyć. Wiem, że nie powiedział mi wszystkiego.

Przez całe życie skąpił penty.

- Niedługo się zobaczycie.

Zbliżył się kelner z talerzem.

- Pan zamawiał ragout?

- Tak. Dziękuję.

- Proszę bon na potrawy mięsne.

Wyjąłem garść przeznaczoną na cały miesiąc.

- Może pan zabrać wszystkie. Mnie już nie będą potrzebne.

Kelner podniósł krucze brwi.

- A co to, ja tu żebzę? - spytał. - Może pan sobie dać na fundusz walki z kolonializmem.

Wybrał starannie jeden bon, resztę rzucił przede mną na stół. Leżały bezwstydnie, jak wzgardzona gotówka.

- Przepraszam - powiedziałem.

Ale on już wracał do kuchni potrąciwszy gniewnie jakiegoś konsumenta z prowincji.

- On tylko tak - odezwałem się. - Kolka obiecuje, że nad ranem postawi "Złotą jesień".

- Naprawdę nie potrzebujesz tych bonów? - spytał Rysio.

- Od dawna nie jadam mięsa. Decyzja światopoglądowa. Kaprys starszego pana.

- Mięso daje siłę.

- Nie potrzebuję już siły.

- A panienci? Zawsze byłeś łasy. Chociaż mówią na mieście, że tylko łasy.

- Widzę, że masz ochotę, to bierz. Tobie przyda się siła.

- Jak chcesz, mogę wziąć. Po co się mają zmarnować.

Wstydliwie, rozglądając się na boki, schował czerwone znaczki do wewnętrznej kieszeni. Jakies pary kiwały się na mikroparkietcie.

- Która to godzina? - ocknąłem się.

- W pół do trzeciej.

- Dużo czasu. Całe życie.

- A gdzie, no wiesz, benzyna? - szepnął Rysio Szmidt.

- Nie bój się, jest. Czeka w chłódku szatni. Nabiera mocy.

- Rany boskie, ten Hubert, nieszczęsny Hubert.

Orkiestra rzepoliła walca, który spletał się z Nadzieją. Zrobiło mi się przykro, ale i dziwnie przyjemnie. Czy ją spotkam jeszcze?

Chyba zobaczę, takie mam przeczucie. A moje przeczucia, jeśli idzie o kobiety, nigdy mnie nie zawiodły. Że i dobre.

Rysio Szmidt pisał elegancką prozę, inteligentną. Nosił się godnie i umiejętnie tworzył wokół siebie atmosferę, trochę zresztą staroświecką atmosferę sztucznego. Rano zagrał rubachę, poczułwa, ale to była taktyka i ja się tą sztuczną serdecznością nie przejąłem. Rysio moją robotą trochę gardził. Lubił mnie, lecz mojej prozy nie szanował. On był zawodowcem, ja amatorem. Zawodowcy nie lubią amatorów. Wiedział także, że ja wiem, iż on pisze książki ze specjalnym wysiłkiem, aby były łatwe do przetłumaczenia. Rysio zaparł się i całe życie poświęcił dla zrobienia kariery światowej. Tak bardzo tego pragnął, że w końcu to osiągnie.

A teraz patrzył, jak dziobię bez smaku dziwne danie nazwane kapryśnie ragout.

- Spalił się - powiedziałem.

Rysio zdrętwiał. Zamarł z fiaskiem w rękę.

- Kto?

Hubert spalił się wewnętrznie. Żył na straszliwych obrotach. Wiesz, nie umiem nie tylko zebrać myśli, ale i swego samopoczucia. Jakbym się zerwał z uwięzi. Przeciągi szarpiały mnie na wszystkie strony. Powiniennem paść na ziemię i zawyc. A ja żuję to ragout.

Rysio patrzył do góry w stronę czyścica, gdzie srebrzyły się popielate refleksy światła dziennego.

- Słuchaj, słuchaj - powiedział wolno - tam siedzi Caban. On chce z tobą rozmawiać.

- Gdzie, nie widzę.

- Na galerii. Niedaleko okien. Halina ci pokaże.

- Jaka Halina?

- No ta, którą już znasz. Patrz, czeka na schodach.

Rzeczywiście na stopniach za plecami orkiestry stała Halina. A muzycanci ciągle grali "Sopki Mandżurii" i mnie się wydawało, że grają tak od rana. Wstałem, przelażem za plecami inwalidów.

- Tak, chce pana poznać - powiedziała szepem.

Szedłem z nią i idąc przyglądałem się tegiemu mężczyźnie w wynieętym flanelowym ubraniu, który siedział samotnie przy okrągłym stoliku obok okna zakrytego przezrystym tiulem. Wkroczyłem w światło dzienne, w puszyste światło jesiennej popołudnia.

- To pan - wskazała Halina na mnie, kiedy stanęliśmy przy stoliku. Chciałem zawołać, żeby została, lecz ona odeszła w stronę złotych drzwi pozbawionych kryształowej szyby.

- Niech pan siada - rzekł półgłosem, w którym jednak dzwieczał metal.

Usiadłem posłusznie, choć byłem starszy od niego o dobrą dychę. Błat stolika był pusty. Stała tylko wielka popielniczka wypełniona niedopałkami po poprzednich gościach.

Nie był wcale mnie ciekaw. Patrzył za okno na szerniały i niechlujny gmach partii, nad którym szarpała się ogromna czerwona flaga z jedwabiu.

- Nie lubię intelektualistów - odezwał się po chwili.

Popatrzyłem na niego zaskoczony. Ale on trwał nieruchomo zwrócony do mnie profilem. Znowu jakaś grupka nietrzeźwych manifestantów szła środkiem jezdni w stronę Alej. Nieśli jakiś transparent z jakąś nieczytelną datą.

- To historycy. Przewrażliwione baby.

- Pan chciał ze mną rozmawiać.

- Właśnie rozmawiam.

Był rozszachwany swją misją, nawykły do posłuchu. Grał ze smakiem dyktatora. A ta zapyziała flanela na nim zdawała się szatą królewską.

- Słucham - powiedziałem.

- Wyłączył się pan od wielu lat. Samocenzura nie pozwalała?

- Dlaczego samocenzura? Kupa różnych względów.

- No jakich na przykład?

- Mam się przed panem spowiadać? - spytałem trochę ostrzej.

Błysnął białkiem w kącie oka, lecz nie odwrócił się w moją stronę.

- Czego się pan boi?

- Jak to czego?

- No, boi się pan więzienia, przesłuchań, szykan?

- Lękam się nie c siebie.

- No, no - ponaglał. - To c kogo? O nas? O cały kraj?

Że nas zetrą z ziemi z powodu pana książki?

Patrzyłem na niego i nie wierzyłem własnym oczom. On miał coś z tamtych. Anonimowa, prostacka twarz i przezroczyście czry.

- Wie pan, ja przywykłem do innej konspiracji.

- No, do jakiej?

- Takiej, co się nizała przez powstania, organizację bojową PPS, aż do AK. Wy zaczęliście cd innego pieca.

- Co to znaczy?

- Was stworzył ten reżim. Jesteście wydziałiną tego systemu, żebrem z ciała tej tyranii. Wy jesteście z "Biesów" Dostojewskiego, a nie z opowiadań Żeromskiego czy Struga.

Wreszcie zwrócił się w moją stronę. Zobaczyłem twarz nie tak znowu prostacką i anonimową. W jego oczach, rzeczywiście dość białych, pojawiły się błyski prawie uśmiechu.

- No to co pan radzi? - spytał.

- Nie wiem, co radzić. To nie moja sprawa. Jestem sam, poza układami. I tak chcę dotrwać do ostatniej mojej chwili. Jeśli żąda pan rady, to mogę podsunąć jedną. Bądźcie podobni do dawnych konspiratorów. Podświadomość społeczna pamięta te archetypy. One są własnością ogólnej pamięci. One tylko będą skuteczne.

- Proszę, niech pan sprecyzuje taki archetyp.

- Po pierwsze, dobrowolność. Wy lubicie szantaż, paskudny, duszny szantaż moralny. Po drugie, bezinteresowność. Wy lubicie natychmiastowe nagrody, wy jesteście rzeczowi. Po trzecie, zgoda na przegraną. Wy nie lubicie przegrywać. Nie lubicie za wszelką cenę. Jesteście płodem swego czasu. Jesteście nieładni, jak czas, który wydał was na świat.

- Płacze się trochę rozsądku w tym, co pan mówi. Chyba jesteśmy tacy, jak nasz czas, A jacy inni moglibyśmy być? Jak moglibyśmy przeskoczyć uwarunkowania czasu, mentalności społecznej, układów politycznych, cscbliwości fazy procesu historycznego, napięć albo rozluźnień moralnych chwil? Jakież możemy być dziewiętnastowieczni, jeśli zamykamy wiek dwudziesty? W jaki sposób mamy być antykapitalistyczni, jeśli jesteśmy antykomunistyczni? Pan jest romantyk czy duren?

- Mówi pan roztropnym językiem marksisty. Pan nie dostrzega imponderabiliów moralno-ideowych, które decydowały o losie tego narodu. Jesteście tylko gabinetem cieni tej ekipy.

- No to nie warto, żeby pan się fatygował. Słyszałem, że w ogóle pan grymasi, rezonuje. Takich nam teraz nie trzeba. Może kiedyś, jak będzie dobrze, wtedy podywagujemy. Teraz nie ma czasu. Teraz wielu ludzi i wiele narodów wkładają do grobu. To ostatni dzwonek. Sygnaturka na Anioł.

Pański. Jest pan zwolniony ze słowa. Nie potrzebujemy pana. Może pan wracać do domu.

Wstałem od stołu, ale nie odchodziłem.

A któż ci sprezentował moje życie do manipulacji? Idę wolno i z mocą na stos, bo tak się idzie po człowieczemu. A dlaczegoż to mój instynkt moralny jest słabszy od twojego czy waszego? A kto to powiedział, że moja śmierć musi zyskać twoją aprobatę?

Patrzył znowu przez zakurzony tiul na ten gmach rozświetlony niewielką ilością prostokątów okiennych. Zacisnął usta, ściągnął brwi i wyglądało, jakby powstrzymywał wybuch gniewu albo po prostu szloch. Myślałem, że mi odpowie, ale nic nie powiedział. Zrobiło mi się przykro, chciałem się odezwać, ale się nie odezwałem.

Wróciłem do stolika. Orkiestra ciągle jeszcze grała tego walca i nie mogła jakoś skończyć.

- No i co? - spytał Rysio.

- Miałem niedobry rozmowę.

Zamilkłem i on także milczał. Ktoś przy barze odwrócił się w naszą stronę. To był brat Rysia, ten filozof od aluzji. Nie pozdrawiając patrzył na nas szyderczo. Szmidt widocznie odczuł wzrok brata, bo podniósł głowę i spojrzął w stronę baru.

- Jeszcze tego tylko brakowało - jęknął. - Co ta menda tu robi?

- Spotkaliśmy się dzisiaj w barze mlecznym. Prowadzi w cenzurze seminarium z aluzji politycznej. Po sąsiedzku wpadł na kielicha.

- Edek - pedek, niech go diabli ścisną.

- Wy jesteście bliźniakami?

- Ale dwujajowymi. On jest z innego jaja.

- Co ty bredzisz? To niemożliwe.

- Nie chce mi się wyjaśniać. Zapytaj jakiegoś lekarza.

Istnieje taka możliwość, jeśli kobieta w odstępie paru godzin ma stosunek z innym mężczyzną i jeśli zjadą dwa jajeczka. Nie chce mi się mówić o tych świństwach. Mama, świeć Panie nad jej duszą, to był dobry numer. Ale dzięki temu Edek jest tylko moim dalekim krewnym.

- To ty zmyśliłeś, Rysiu. W czasie bezsennej nocy wykonypowałeś z encyklopedią lekarską w rękę. Można tak nienawidzić własnego brata?

- On nie jest moim bratem, powtarzam jeszcze raz. To Kuzyn tylko, do diabła.

Edek filozof już gołnął sobie kielicha i nie dość, że patrzył na nas szyderczo, to jeszcze się uśmiechał pogardliwie.

- Nie wracaj na niego uwagi - usmiechał Rysio. - Udawajmy, że jesteśmy zajęci rozmową.

- Wiesz co, Rysiu, ja wracam do domu. A ty zabierz sobie kanister z szatni. Może znajdziesz innego ochotnika.

- Czyś ty zwariował?

- To wszystko jakies dwuznaczne. Ja jestem dwuznaczny, wy jesteście dwuznaczni, cały świat jest dwuznaczny. Źle się czuję i już.

- Pedały mają gównienko pod nosem. Gardzą całym światem - biadeł Rysio sztyletowany wzrokiem brata. - Może dać mu w mordę?

- Słuchaj, ja wracam do domu - i podniosłem się z krzesła.

Ale wtedy pokazał się Kolka Nachałow wiodący ostrożnie panią Gosię. Chichotali czule do siebie, on niósł jej torbę wielką jak sejf bankowy. Nie stracili czasu w kuchni, szedł od nich ostry zapach nie znającego alkoholu. Zbliżyli się do nas w przejmującym jęku gigantycznego fletu, lecz to tylko zacięły się organy Hsmmonda w inwalidzkiej orkiestrze. Muzycy odstawili swoje instrumenty i przyglądali się walce kolegi z tajemniczym przyrządem dźwiękowym.

- To mój przyjaciel - przedstawiłem Rysia, ale oni nie zwrócili uwagi na mego towarzysza.

- Do wszystkich, do wszystkich, do wszystkich? - trąbił Kolka przez złożone dionie. - Największa okazja przed prawdziwym końcem świata. Pani Gosia zaprasza, Gosienka prosi, Gosinek funduje. Za mną. Naprzód. Do zwycięstwa.

Zaczął nas popychać w stronę kuchni przy czynnej pomocy pani Gosi.

Przewróciliśmy po drodze ze dwa stoliki. Ktoś chciał interweniować, ale natychmiast dostał po pysku od czarniawego kelnera, który czyhał od rana na taką okazję.

A w kuchni powitał nas chóralny śpiew. Kucharze, kucharki i pomoce kuchenne, wszyscy razem, lecz bardzo nierówno, więc wszyscy razem wyciągali w górne rejestry znaną pieśń burliaków nadwołżańskich "Dubinusz-kę". Szef kuchni, ogromne wescie chłopisko z pomidorem rozchłapanym na przodzie wysokiej białej czapy, tańczył solo przy kotle puszczającym niebezpiecznie parę spod dekla. A ten zgnieciony pomidor wyglądał jak guz z rubinu przy hetmańskim kołpaku. Na nasz widok szef podniósł się z przysiadu, rąbnął pięścią w pokrywę kotła.

- Milczeć! Mordy w kubeł! Ja mówię!

Ale nie miał nic do powiedzenia, wykonał tylko głębokie pas przewracając wiadro z kartoflami.

- Ej da uchniem!

Potem stanął na rozkraczonych nogach i począł nas wabić ogromnym paluchem.

- Chodźcie, chodźcie, moje wy cynadereczki. Pokaż się baleronku.

☿ chwycił raptem panią Gosię na ręce i poniósł gwałtownie w ciemne wejście znanego pomieszczenia. Zdjęci radosną zgrozą ruszyliśmy za nim. To była wielka spiżarnia wypełniona pustawymi półkami. Zakurzona żarówka kiwała się pod niskim sufitem.

- Szef postawił Gosię na cementowej podłodze.

- Ciszal! Ja rozkazuję!

Z porozumiewawczym uśmiechem zaczął grzebać w kieszeniach pod białym fartuchem. Wreszcie wyciągnął pęk kolorowych kluczyków. Wielki paluch przyłożył do ust i uniósł gęste czarne brwi.

- Cśśś, Wiecie, co to jest? - i brzęknął kluczykami.

- Hurra! - krzyknął przypochlebnie Nachałow. - Pułkowniku, pod pana przewodem!

Szef kuchni chwycił za kraweźdź półki z przecierem pomidorowym. Szarpnął z siłą litewskiego niedźwiedzia, a półka jęknięta w ukrytych zawiasach i odsłoniła schludne metalowe drzwi, podobne do tych, które już się przede mną otwierały. Pułkownik-kucharz nucąc "Dubinusz-kę" po-majstrował przy zamku, nacisnął świecące taster, coś zgrzytnęło, gdzieś zabłysło jakieś światło i już runęliśmy w giąb niskiego korytarza niczym sztolnia.

Mój rachunek sumienia. Mój akt skruchy. Żal za grzechy. Moja biografia w kolorze przeciętności. Najpierw tę przeciętność nienawidziłem, pogardzałem nią, a na koniec w niej się zadomowiłem. Wielkość w przeciętności. Przeciętność jako najwyższa forma arystokratyzmu. Przeciętność jako asceza, jako dumne osamotnienie w pospolitości, szary habit pysznego mnicha. Przeciętność ostatnim stadium wywyższenia.

Czy przeciętność jest bezgrzeszna i niewinna? Byłem czysty do chwili, kiedy obudziły się instynkty, stawałem się na powrót czysty, gdy instynkty zaczęły z wolna usypiać. Moja epoka grzeszności to kilkanaście lat pędzonych gwałtownie przez rozbuchaną biologię. Jakis badacz zaszczerpił mi instynkty, popędy, odruchy, a później obserwował, co z tego wyniknie. Byłem królikiem doświadczalnym. Czy królik odpowiada za eksperyment?

Pilnowałem, żeby nie przekroczyć temperatury przeciętności. W wychłodzonym mikroklimacie mojej własnej próby nie popadłem w skrajność, zatem popsułem doświadczenie rozpoczęte na mojej osobie przez Najwyższy Umysł. Może zgrzeszyłem przez brak grzechu?

Przeciętność była aktem mojej wolnej woli. Ale warunki umysłowe i fizyczne do zadowolenia się przeciętnością, do jej dobrowolnego przyjęcia odziedziczyłem w łańcuchu genetycznym przenoszonym w ciągu stuleci i tysiącleci przez jakichś nie znanych mi facetów, jegomościów,



typków, o których nic nie wiem i nie chcę wiedzieć, a którzy nigdy nie potrafili wyobrazić sobie pewnego literata, co przejmie na krótko ten kod genetyczny i być może go uszkodzi, zdefektuje albo przeinaczy. Więc i przeciętność, ta harda przeciętność też jest na mnie odrobinę wymuszona. Czy przeciętność, otrzymana jednak wbrew woli, choć uznana przeze mnie jako akt wolnej woli, czy ta przeciętność jest bezgrzeszna?

Nie ukradłem większej gotówki, nie popełniłem szaleństwa miłosnego, nie wykroczyłem przeciwko prawom natury, nie dokonałem zbrodni. Trzymałem się stada i stada byłem posłuszny. Słuchałem pilnie niesyżalnego głosu stada ludzkiego, które nazywamy społecznością. Popełniałem drobne wykroczenia, co nie burzyło ogólnego procesu i natychmiast je tuszowałem korygowany przez niewidzialne oko społeczne. A jednak mam poczucie grzeszności i jestem grzeszny.

Może grzechem pierwotnym jest ten kwas rybonukleinowy, co go przejąłem nie wiadomo po kim? Ten tajemniczy szyfr wystrzelony z dalekich gigantycznych galaktyk grzeszności. Może grzechem jest ta zalekła ciekawość, straszna żądza poznania niepoznawalnego, zdrożna pokusa zdarcia czarnej zasłony okrywającej Najdoskonalsze Istnienie albo martwą nicność? Może grzechem jest wszechświat z miliardami galaktyk, bilionami słońc, trylionami rodzących się w bólu i w bólu kończących gwiazd?

Odlatują w przestrzeń międzyplanetarną w wietrze czasu rozbłyśki chwil, co są moim losem. Moment, kiedy się topiłem w rozszoniecznionej, letniej rzece z gorzkim zapachem ziół w ustach. Sekunda, kiedy zobaczyłem dziki, przerażający akt kopulacji dwojga ludzi. Mgnienie, kiedy strzeliłem do przyjaciela w mroźną, gwiazdzistą noc, pełną wilczych chórów. Minuta, kiedy zdradziłem siebie i swoich przyjaciół. Najkrótsza wieczność, kiedy czekałem na krwotok orgazmu w oczach cudzej żony. Mignięcia rozpaczliwych, samobójczych nocy. Lecą te rozbłyśki chwil jak świetliki w wiecznej ciemności niesione wiatrem czasu. Podobne jedne do drugich, do setnych, milionowych. Takie same, nierozpoznawalne, jednakowe. Droga mleczna z okrucich naszego istnienia. Wielki szum ludzkiej egzystencji.

Może obojętność, dziecko przeciętności, jest tą materią letnią jak mgła, która kamienieje w głąb, zespala się w skały, wyrasta masywem górskim aż pod niebo przygniatając nasze marne życie? Może przezroczysta, bezbarwna, pozbawiona zapachu i kształtu, ospała, wszechobecna, przytulna, miła i niewinna cbojętność jest jedynym grzechem, który zatrzymuje sito Opatrzności? Może tylko za ten grzech-niegrzech będziemy sądzeni w dniu Sądu Ostatecznego?

Trzymając się ścian, potykając, chichocząc, jak na szkolnej wycieczce brnęliśmy przez loch starannie ocembrowany, z pedantycznym oświetleniem, ze strzałkami wymalowanymi w dwóch kolorach białym i czerwonym. Białe nas prowadziły, czerwone wskazywały drogę powrotną.

- Słuchaj, to pachnie orgietką - szepnął mi Rysio w spocony kark.

- Ktoś mi już kiedyś wspominał.

- Idziemy chyba pod ulicą. Słyszysz w górze kroki manifestantów.

- Ale pod którą ulicą? Czyżby pod Nowym Światem? Słuchaj, czy ty się domyślasz?

Usłyszałem za sobą echo kroków. Odwróciłem się machinalnie i zobaczyłem, że to nie echo, że to żywi ludzie peźną naszym tropem. Personal kuchni ruszył za swoim wodzem.

- Jesteś? - pytał z przodu Kolka.

- Jestem.

- To i nie pożałujesz swojej odwagi. Wiesz, ile ta wycieczka zagraniczna kosztuje? Cały utarg z filmu "Transfuzja". Taka jest Gośka. Ty jej nie znasz, ale jeszcze poznasz.

- A dokąd my idziemy, Kolka? Ja mam terminy.

Znam twój termin. Zdązysz. Każdy zdąży na swój termin.

Przed nami zapiszczała pani Gosia.

- Pułkowniku! Widzę szczurą!

- Baleroniku chodź do mnie, apka! Chodź, dzieciątko.

- Ale pan silny.

- Moja siła drogo kosztuje.

- Jezu, ale nie za biust, staruszk.

- Muszę się czegoś trzymać, baleroniku.

Gonił nas tupot nóg personelu i uporzyczywy głos tego fletu, na którym zacięły się organy.

- Wycieczka do piekła - powiedziałem cicho.

- Nie, do raju - zachrypiął z przodu Kolka. - Warto zobaczyć. Bo może się więcej taka okazja nie trafi. Nawet po śmierci.

Coś zatrzymać nasz pochód. Pani Gosia ciągle popiskiwała.

- Tylko bez rąk, pułkowniku. Ja mam dorcić dzieci.

- Hu, hu! - dudnił pułkownik-kucharz. - Aż mnie język świerzbi, żeby przygadać.

- Mam wrażliwe piersi, bardzo przepraszam, bo się pogniewam.

- Cicho, sza, teraz ani mru, mru - rozkazał basowym szeptem pułkownik. - Zbliźcie się, konsumenci, coś wam powiem.

Zaczekał, aż stanęliśmy wszyscy przed takimi samymi drzwiami, jakie widzieliśmy na początku.

- Kogo tam chclera niesie - spojrział z gniewem w głąb korytarza za nami. - A to dranie. Zostawił kuchnię na boskiej opiece. Pani coś miała w torebce, karkóweczko moja?

Zagulgotał jak dębowy antałek, wytarł usta rękawem białego fartucha i wsadził flaszczkę z resztą płynu do własnej kieszeni.

- Ostrzegam, żeby niczego nie ruszać i palcami nie dotykać. Patrzyć można, ale próbować zabraniam. Słyszycie?

- Panie pułkowniku, do kogo pan mówi? Przecież pan zaprasza artystów, świadków epoki.

- Pracowałem kiedyś w sektorze artystów. Jednemu to tak przyłożyłem, że za przeproszeniem nogami się nakrył. Ale to dygresja. Więc nie macać palcami i nie hałasować. Wszyscy zrozumieli?

- Wszyscy, wszyscy - powiedział Kolka.

- A ten puhacz? - szef kuchni wskazał moją skromną osobę dyszącą pod futryną drzwi. - Co ci tak oczka wypuczyło?

- Kac, ojczu, kac totalny.

- Może, nieszczęsny, zjadłeś ragout?

- Zjadłem, ojczu.

- To wypij duszkiem miarkę na trzy łyki - podał mi flaszczkę - którą wyłudził od pani Gosi. - Gotować, kochani, to ja po prawdzie nie umiem. Nie umiem i nie lubię.

- Pułkowniku, nam duszno - zajęczała Gosia.

- Już otwieram, otwieram.

Zachrobotał kluczami, nacisnął kolorowe tastery i otworzył żelazne wierzaje. Ponownie znaleźliśmy się w spiżarni, ale tym razem w dobrze zaopatrzonej. Na wysokich półkach leżały mieniące się kolorowymi etykietkami wielkie puszkę konserwowanej szynki. Po prawej stronie stały skrzynki z butelkami, jakich od lat nie widziały nasze oczy.

- Nie patrzeć, nie patrzeć - ponaglał szef kuchni. - Jazda na schody.

Przed nami były strome, kamienne stopnie wspinające się pod czarny sufit.

Pułkownik zatrzymał się u szczytu i rzekł sam do siebie:

- A jak mi łeb utną? Tylko trzy lata zostały do emerytury.

- Pułkowniku - odezwał się zniecierpliwiony Kolka Nachałow. - My tylko rzucimy okiem i na paluszkach wyjdziemy. Jej Bohu, po co ta mi-trega.

- Twój tatuś był moim profesorem - uspakajał siebie kucharz-pułkownik. - Jak święto, to święto. A wrogów, jakichś wywrotowców nie ma między wami? No dobrze. W taki dzień chyba można.

Westchnął uroczyście, obejrzał pod światło odrutowanej żarówki najważniejszy klucz, ucałował go jak relikwię. A potem zaczął go pasować do dziurki w zamku zwykłych białych drzwi oblażonych z farby. Na nadnaturalnie wielkiej jego twarzy, jakby powiększonej przez nieznaną kataklizm biologiczny, więc na tej twarzy, która była sympatyczna i odrażająca zarazem, na tej kolosalnej gębie pojawił się wyraz jakiegoś nieprzypoitej rozkoszy. Gmerał w otworze zamku i czerwieniał coraz bardziej. Z głębi korytarza aż tu do tej królewskiej spiżarni dolatywał zniekształcony dźwięk organów Hammonda. Wreszcie zamek szczerknął wesoło i następane drzwi zostały sforsowane.

- Pół roku nie otwierałem - powiedział z ulgą pułkownik.
- Co pół roku robię kontrol. Ale tylko ja sam. Jeszcze nigdy nie było potrzeby użyć tej drogi. Daj Boże i na przyszłość.
- Stłoczyliśmy się w ciasnym pomieszczeniu pełnym starych mioteł, pustych butelek po paście do podłóg i uszkodzonych części od elektroluksów.
- Gotowi? - spytał kucharz prostując się przed ostatnimi drzwiami.
- Gotowi - szepnęła uroczyście pani Gosia.

Wtedy on położył rękę na złoczonej gałce ostatniego zamka. Wolno przekreślał ją w lewo, a my już szyszeliliśmy podniosłą muzykę, jaką grają w kościołach albo w krematoriach. Drzwi, odsłaniały bez pośpiechu wspinała wewnątrz wielkie jak kaplica. Ściany i kolumny wyłożone były marmurem, splekany co prawdą gdziegdzie, lecz pęknięcia te troskliwa ręka zaszpachlowała starannie odpowiednią dobranym kitem. Z wysokiego sufitu zdobnego w klasycystyczne sztukaterie zwisały ciężko pozłociste żyrandole mieniające się kolorami tęczy sutych kryształów. Ale wszystko to było niczym w porównaniu ze stołami. Te stoły przypominały czasy Radziwiłłów albo królów saskich na polskim tronie. Okryte historycznymi obrusami, umajone zielenią, obciążone cudowną muzealną zastawą, uginały się pod brzemieniem wyczekanych potraw i flaszek z trunkami.

- Czy to pan sam nagotował? - spytał wstrząśnięty Kolka Nachałow.
- Ja nie umiem gotować - odparł wzruszonym głosem kucharz-pułkownik.
- Cały świat gotował, smażył, dusił, piekł te cuda. Nasza partia od dwóch lat ciułała każdy cent zagraniczny na ten tajny bankiet dla najwyższego kierownictwa. Wiecie, konsumenci, że od trzech miesięcy minister spraw zagranicznych nie może wyjechać do ONZ, bo nie ma na podróz? Dopiero dziś wptynęły pierwsze dolary, bo ktoś kupił w sklepie dewizowym szwedzkie zapalki, jakiś Arab nabył trzy tuziny kondonów i została wreszcie wpłacona zaliczka na bilet dla ministra. Bardzo proszę, wchodzić delikatnie, bo podłoga śliska i tylko patrzeć, Boże broń, niczego nie dotykać. Ostrzegam, że ja mam dobre oko.

Na palcach weszliśmy do bankietowej sali, która, choć oświetlona żyrandolami w stylu epoki Józefa Wissarionowicza, pozostawała w złocistym półmroku, co w nawach między kolumnami przechodził w tajemniczą ciemność koralowych grot.

- Domyślasz się, gdzie jesteśmy? - szepnęła Kolka Nachałow.
- Mam już pewność. Sanktuarium. Arka przymierza. Przymierza między partią - królową i partią - służką.
- Chodź, popatrzymy.

A z tego wejścia do pakamery ciągle wyskakiwały jakieś postacie. Pomocze kuchenne i zawiani goście, a nawet któryś z muzyków, co wżądał nogami. Przepiękna muzyka, nie wiadomo przez kogo skomponowana, sączyła się z ukrytych głośników. Może ją ułożyli wspólnie partyjni rektorzy wszystkich uczelni muzycznych.

Zatrzymaliśmy się przy złotym stole, gdzie leżał na łączce z piętuski ogromny jesiotr, car-jesiotr, obłożony seledynową, migotliwą galareta przypominająca głębinę jeziora bajkańskiego. Patrzył na nas dostojnym i mądrym okiem ugotowanym na twardo. Nie opodal stały wyżłobione bryły błękitnego lodu, w którym skrył się kawior czerwony i czarny. Skromniej przy obu końcach stołu przycupnęły staropolskie szynki z obnażoną złotawą kością, jak książęca rękojeść. A między tymi gigantami sztuki kulinarnej nieśmiało polegiwały starożytnie półmiski z po-

łędwicą, schabem, kiełbasą litewską. Było na tym stole sporo potraw których nigdy nie spotkałimy w czasie naszego długiego żywota.

- Na Kremlu za Stalina ostatni raz widziano taki bankiet. Nim zwarłował, kazał przygotować podobną ucztę. Nikogo nie zaprosił. Sam jadł i pił i rozmawiał z duchami cesarzy rosyjskich. A potem zamknął się w jednoosobowym więzieniu, które dla siebie wybudował i tam odwalił samotnie kiteę. - Głos Kolki Nachałow drżał leciutko.

Dopiero teraz spostrzegłem, że przy głównej ścianie stoi nieduże podium, a na nim spoczywają insygnia koronacyjne królów polskich ze słynnym Szczerbcem. Na ścianie partyjny oberkustosz zawiesił obrazy - relikwie tego narodu.

Kolka Nachałow spostrzegł, że obserwuję ten świętokradczy ołtarzyk.

- Niech kaczapy się dowiedzą, kogo kupują. Jaśnie Panią Rzeczpospolitą. Rimskuju blad!

Powiedział to i sam się przestraszył własnego głosu. Ale jeszcze trwała ta dostojna muzyka, którą zatwierdzał i odrzucał przez wiele miesięcy wydział propagandy komitetu centralnego. Lecz już jakiś przybity z lochów podпиты duch odnalazł urządzenia nagłaśniające, już majstrował przy ogromnym magnetofonie.

- Och, ciągnie mnie do tego jesiotra - jęknął Kolka Nachałow. - Pułkownik nie widzi, choć, skubniemy z karku szczyptę mięska.

- Kolka, przecież to szaleństwo. Zaraz wpadnie straż i wystrzela nas pod tymi kolumnami.

- Nikt nie wpadnie, bo wszystkie drzwi są opieczetowane z zewnątrz. Dopiero za pięć ósma komendant gmachu zerwie komisyjnie plomby.

Pochyliłimy się nad stołem w tym miejscu, gdzie kwadrans po ósmej stanął obaj sekretarze, nasz - królewicz i tamtejszy - car. Kolka rozchylił cienką jedwabistą skórę na karku jesiotra, wydłubał kawałek żółto-różowego mięszsu i podał mi z zachowaniem najwyższej ostrożności. Zaczekałem, aż sobie przygotuje podobną porcję. Zamknęłimy oczy, żeby nie kaląc zmysłów postronnymi wrażeniami. Z ceremonialną powolnością, jak opłatek komunii, położyłimy na językach egzotyczny przysmak.

Ale Kolka Nachałow natychmiast się zakrzęsił uderzony po plecach ciężką dłońią pułkownika-kucharza.

- Nie wolno! Ile razy mam powtarzać? Poszł w on i krzycał stłumionym głosem.

Kolce smakowity kasek wypadł na podłogę, lecz ja zdążyłem przełknąć. Skryłimy się za marmurową kolumną nadsztukowaną importowanym kitem, gdzie jakiś typek ciągnął koniak francuski prosto z butelki.

Pułkownik mrużąc wściekle jął zaklepywać ogromnym paluchem wgłębienie na karku jesiotra. Czynił to jednak tak nieumiejętnie, że rozciąpał grzbiet ryby aż do pierwszej pletwy. W końcu rozejrzał się dokoła, czy nikt nie widzi i poknął spory kawałek mięska, który stoczył się przedtem na galaretkę. A skoro zakąsił, machinalnie sięgnął po flaszkę armaniaku.

Nieznany duszek kuchenny, co majstrował przy magnetofonie, znalazł na którejs ścieżce muzykę taneczną. Jakies gwałtowne tango wypełniło raptem wnętrze tej fin de siecle'owej świątyni. Podпиты Rysio pracował przy ostatnich stołach. Wyżerał wędliny, zostawiając na półmiskach moje bony na dania mięsne. Ktoś już, niestety, wómitował przy sąsiedniej kolumnie.

Wypłynęła ze złocistego mroku pani Gosia. Walczyła z przepełnioną torbą, która nie chciała się zamknąć. Počułem przykrość z powodu takiego nietaktu. Spróbować delikatesów co innego, a co innego wynosić szynkę w torbie.

- Niedługo zmywam się, choć tu zabawa dopiero się rozkręca. Ale mam bankiet filmowy. Sprzedajemy kupcom z Australii "Transfuzję". Bo, proszę pana, dostaliśmy debit na zagranicę tylko w ramach innych kontywentów, poza Europą. Czy to nie skandal?

Podjęła przejmujące, smyczkowe tony tanga, wykonała kilka pas ze swoją torbą jak z partnerem.

- Niepowtarzalny nastrój - szepnęła. - Panie, jak pana, młody człowieku? Czy to prawda, że pan bawi się w kontestację?

- Ja się nie bawię, łaskawa pani. Za stary już jestem na zabawy.

Ujęła mnie pod ramię, pociągnęła za sobą w tajemniczy półmrok kolumnady. Szedłem dostojnie, niczym z żoną członka biura politycznego. Rytm tego tanga dodawał majestatu naszym krokom.

- Muszę panu coś powiedzieć. To mój obowiązek starej baby - zawaahała się na moment. - No może nie takiej starej, ale doświadczonej. Niech pan słucha uważnie. Ja nie wierzę w tę całą opozycję. Niech pan wystrzega się tamtego - pokazała paluszką Rysia Szmidta. - Oni wszyscy są na rządowej pensji. To wszystko jedna wielka prowokacja. Czy pana nie dziwi, że lata lecą, a oni spokojnie, jak chłopcy na wiosnę, odwalają te swoje protesty, rezolucje, publikacje, demonstracje. Posiwieli, przytyli, no i co? Reżim także przytył i posiwiął. Kruk krukowi oka nie wykole. Pana szkoda. Pan ma cwane oko. Potrzebuję kierownika produkcji. U mnie można zarobić. Boże, cudna muzyka. Muszę już uciekać. Ale cośmy zobaczyli, tośmy zobaczyli. Nikt nam tego nie odbierze. Pan wie, że podobno koniec świata bliski. Dlaczego wszystko się wali? I Wschód, i Zachód. Początek końca świata. Ale ten koniec może trwać długo. Całe wieki.

- Odejdź, krowo - powiedziałem sennie. - Ja twój pysk widzę codziennie ze wszystkich stron. Pysk demoludowej mieszcżki, która lubi przeć na naszej stypie.

- Cham!

- Kto cham? - zza kolumny wytoczył się kuchmistrz. - Ja cham? Jestem komendantem ewakuacji KC.

- Mnie tu obrażają. Proszę wskazać wyjście, panie pułkowniku.

- O kurcze pieczone. My nie pozwolimy ani obrażać, ani wychodzić. Ależ ty masz cyc, kobietko, można powiedzieć radziecki.

- Pułkowniku, proszę oprzytomnieć.

- Zatańczymy, Kiciu. Po nas choćby potop. Widzisz, kiedyś czytało się książki. Tararala-bum-bam-bom.

- Pardon, przepraszam - ktoś mnie ciągnął za poję kurtki w drugą stronę. - Jestem doktor Hans Jurgen Gonsiorek. Gdzie tu wychodek, pan nie wie?

- Nie wiem. Proszę na razie wstrzymać. Później poszukamy.

- Zgubiłem się. I koledzy zginęli - mówił poprawnie, ale z silnym akcentem germańskim. - Nie pamiętam, jak nazywa się mój hotel.

- A pan z tego gmachu czy z zewnątrz?

- Z tej kuchni, szanowny panie, co była na początku.

Zbliżył się Rysio Szmidt ze śledziem w jednej ręce i ze szklanką pełną dżinu w drugiej:

- O co chodzi?

- Pan szuka ustępu. Może najpierw przedstawię. Pan Szmidt, literat, pan Gonsiorek, doktor.

- Bardzo mi przyjemnie - rzekł skrzywiony Niemiec. - Jestem kierownikiem delegacji na pertraktacje z rządem polskim w sprawie kupna województwa zielonogórskiego. Dawniej Grünberg.

Coraz więcej par pomykało w złotym mroku wykonując trudne figury klasycznego tanga. Za oknami przesłoniętymi kctarą ze złotogłowiui grzmiała ostatnia tegoroczna burza.

- A to pan? - Zza pobliskiego stołu podniósł się Edek Szmidt. - Co za zrządzenie losu. Jestem ekspertem polskiej komisji do spraw sprzedaży województwa zielonogórskiego.

- Doktor Hans Jurgen Gonsiorek.

- Docent Edward Szmidt.

- Ja pana już poznałem.

- To był mój brat, bliźniak.

Rysio odrzucił śledzia w ciemność nawy.

- Ja wychodzę. Koniec. Kropka. Wystarczy na dziś. Filozofa zniosło trochę w stronę stołu.

- Braciszku, poczekaaj, Pójdziemy razem. Cały dzień myślałem o tobie.

- Za pozwoleniem - wtrącił się doktor Gonsiorek podtrzymując Edwarda. - Pan jest tym liderem opozycji? Czytałem o panu w gazetach.

- To ta oferta. Mój brat bliźniak. Ja jestem w obozie rządowym, Herr Doktor. Jutro, jak wytrzeźwiejemy, spotkamy się za jednym stołem.

- Wolę nie mówić dzisiaj o interesach.

- Dlaczego, doktorku? Ja mam w żyłach krew niemiecką.

- A ja polską.

Rysio zamachnął się i rzucił w głąb sali pustą butelkę po winie. Czekaliśmy, aż roztłucze się z hukiem o marmury, lecz zapadła się jak w wodę.

- Wy, cholera, za dużo macie naszej krwi, a za mało naszego sumienia. Wzstąpić się, wychodzę.

Ale nie wychodził. Oparł się ciężko o marmurową kolumnę i tarł zroszone potem czoło.

- My, Niemcy, przeżyliśmy wielki szok historyczny - odezwał się boleśnie doktor Gonsiorek. - I ja reprezentuję inne, a właściwie nowe Niemcy. Nigdy już nie uciekniemy się do gwałtu.

Filozof Szmidt chciał zatańczyk trepaka, lecz musiał zrezygnować z zamiaru.

- Terefere - rzekł klękawszy na jedno kolano. - Nasza granica biegnie przez przedmieścia Waszej stolicy. Józef Wissarionowicz powiesił nam na szyi niezły kamień młyński. Rysiu, co ja mówię. Braciszku, pilnuj mnie. Wszak reprezentuję tu jedyny rację stanu. Jutro mam wykłady, nie, posiedzenie komisji, a tutaj hula reakcja, Targowica poprzebierana w artystyczne peleryny, groszorozy uwieszono nie tych kłamek, co trzeba. Spiliście mnie, kajdacy. Na kolana, hożo! I ty, Niemcze z ciężką forszą! To nasza bazylika narodowa, chrám piastowski, cokol! Swautewita! Straż do mnie! Towarzysze i towarzyszył!

- Rysiu, on zacznie się rozbiierać - powiedziałem ze zgrozą.

- Ja bym mu pomógł, ale on się nie rozbiere. On ma ptaszka takiego jak paznokciec. Mama dawała nawet na msze, ale nic nie pomogło.

Spomniący tańczący par wyłonił się pułkownik-kuchmistrz, komendant ewakuacji. Szedł ponuro w naszą stronę z rozpiętymi spodniami i rozchełstany fartuchu.

- Co się tu dzieje? - spytał groźnie. - Gdzie Gośka? który mi wyjął dziewczynę? Czy to ten picuś w binoklach?

- To jest towarzysz Niemiec. A wy stańcie na baczność. Jestem członkiem komisji rewizyjnej.

- Ja was wszystkich pogonię. Rozbisurmaniliście się, rozwydrzyli, tylko żłopac darmową wodę i wykradać salceson. Tańczyć mi tu zaraz. Bierz Niemca pod pachy i halsuj, bo makówkę rozwałę i wyciągnął nagle z za koszuli wielki, wyłysiały nagan, jakąś pewnie drogą pamiątkę z dawnych ozasów. - No ruszaj w tany! Ej da uchniem!

- Kto, ja?

- Tak, ty członku holenderski.

Pchnął brutalnie Edwarda, a ten posłusznie objął w pól doktora Gonsiorka. Zaczęli podrygiwać w miejscu, bo melodia tanga była jednak chwytiliwa.

- Panie pułkowniku - rzekłem poufnie. - Tam w kącie jest, zdaje się, Gosia, Jakiś typek przy niej majstruje.

- O skurkowany! - runął w mrok oszalały pułkownik.

Błysnęło krwawo, huknął strzał, ktoś zaczął uciekać w poprzek sali z ognem jesiotra w ramionach.

- Zerwaj plomby i wyłamaj drzwi - powiedziałem do Rysia. - Tu poleje się krew.

- Chodź, wracamy. Ja za ciebie odpowiadam.

- A może zostanmy. Ostatni Petroniusze ostatniej chwili konającego tysiąclecia.

Powłóknę mnie do tej pakamery. Musieliśmy po drodze przekroczyć śpią-

cego na podłodze Kolke Nachałow. Spał, ale coś gadał do siebie w mo-  
wie swego dzieciństwa.

- Idź, idź, dogonię ciebie. Tylko wezmę buteleczkę.

Dlaczego nie lubię tego miasta? Nie, to nie prawda, Ja tylko nie  
kocham, jak te wszystkie osy, które zbijają gotówkę, na miłości do War-  
szawy. Z rana się pewnie dopingują narkotykami, a potem aż do wiecz-  
ra kochają, kochają i każą sobie za to bulić. Więcej niż pół życia  
przemieszkałem w tym ułomnym mieście. Grodzie kalekim od zarania, gwał-  
conym przez okupantów, ćwiartowanym przez zaborców, dławionym na ar-  
kanie azjatyckich hord.

Wpełziłem kiedyś do jego trupa. Miasto z trudem się reanimowało i ja  
z wolna po raz pierwszy w życiu wracałem do życia. Jesteśmy rówieśni-  
kami. Związał nas przypadek. I okazało się, że na śmierć i życie.

Moim ostatnim utworem literackim będzie ten ostatni dzień życia.  
Dzień skromnego happeningu. Ale coś się załamało. Ogarnia mnie zmęcze-  
nie oraz niemoc. Moje życie się powtarza i ja się powtarzam. Zamiast  
niepowtarzalności - seryjność. Moją sztukę, a także moje życie można  
ciąć na kawałki jak kiełbasę. Tak na koniec wychodzi.

Nade mną tylko moje miasto świeżych zabytków i starych nowoczesnych  
gmachów. Nic poza tym nie mam. Wspólny język, wspólna nęka, wspólne  
niezrozumienie. Co oni są winni i co ja jestem winien?

Zstępuję do korytarza ewakuacyjnego. Prowadzą mnie teraz czerwone  
strzałki. Jakaś para ściska się w nyży z hydrantem przeciwpożarowym.  
Ktoś drzemie oparty o ścianę niczym mumia w starożytnych katakumbach.  
Wygląda, jakbym wspinał się na powierzchnię ziemi, a ja przecież scho-  
dzę w lochy "Paradyzu".

Moje miasto przypomina sławny Irkuck. Kiedyś było kalekim miastem  
europejskim, dziś jest zdrowym kiszlakiem azjatyckim. Jestem w niewoli  
tego miasta. Albo raczej tu wybrałem sobie dom niewoli.

Wchodzę do kuchni spustoszonej jak po najeździe tatarskim. Wybebe-  
szone kotły, strzaskane talerze, z otwartych kranów leci woda. Jakiś  
szczur płynie "po piasku" przez ocean kuchni.

Znam przyczynę tego kaca. Kaca totalnego. Zdarza mi się co pewien  
czas. Co pewien żyły czas. A wtedy gram w kości z losem o życie. Nie w  
kości, lecz w szklanke wody i trzy do pięciu proszków nasennych. To  
jest ruleta białych ludzi. Grają w nią prezydenci i kurwy, duchowni i  
poeci, proletariusze i kapitaliści.

Orkiestra spółdzielni inwalidów gra wiązanek melodii amerykańskich,  
a gra dla niepoznaki od tyłu do przodu, żeby nie płacić dewizowych  
tantliem. Ktoś mnie trąca w nogę przyjaźnie.

- Pikusiu, szukałeś mnie? Już jestem. Niedługo pójdziemy przed sie-  
bie.

A on skacze wysoko, stara się liczyć moją rękę. Wymył futro z nudów  
i wygląda teraz jak nowy. Rudy piesek z nogami niczym freudelki.

- Marsz, Pikusiu, do szatni! Pilnuj tej banieczki, co pan ją nosi  
ze sobą, jak krew do transfuzji.

Pikusi robi smętne oczy, podkula ogryzek ogona, wraca do śpiącego  
smacznie szatniarza, któremu nie przeszkadza muzyka, nie przeszkadza  
wrzaski, nie przeszkadza koniec świata, co będzie trwał kilka milionów  
lat, któremu w ogóle nic nie przeszkadza.

Siadam przy naszym stoliku. Koczowały tu obce plemiona. Cudze pety,  
cudze ślady szminki, cudze rozlane lemonady. Dokoła senny ruch. Podają  
żają przez kuchnię do bezczeszczonego sanktuarium partii, inni brną z  
powrotem zmczeni do kolan, syci rozpusty, Niebieskie twarze, czerw-  
ne twarze. Podłużne, owalne, kostropate, lśniące od potu. Melancholij-  
ne i rozwydrzone.

Podnoszę się z trudem od tego stolika. Dźwigam rękę, żeby uciszyć  
orkiestrę. Otwieram najszerszej, jak mogę, usta.

- Ludzie! - ryczę. - Antychryst zstąpił na ziemię. Skoczył kulawo z  
sąsiedniej galaktyki. Może chciał gdzie indziej, ale trafił do nas.

Jakiś facet daje mi znaki.

- Tam jest toaleta, kolego, za szatnią.

A ja wznoszę obie ręce do góry.

- Ludzie, popatrzcie na siebie. Rozdzielił się na was wszystkich i na mnie. Nie oczekujcie Antychrysta, bo on już jest na ziemi. Antychryst rozczłonczony, rozdrobniony, zgranulowany. Mini antychryst w każdym z was i we mnie.

Orkiestra gra szósty kawałek, ktoś tańczy, ktoś drzemie. Mrużą się światła czerwono i niebiesko. W górze białe pyłki pomocników Lucypera. Czeka ją na swoją godzinę.

- Nikt mnie nie słucha - powiedziałam z rezygnacją. - Antychryst zaszczeplił się w nas wszystkich i dlatego go nie ma. Nikt mnie nie słucha.

- Ja słucham - wyłazi skądś Edek Schmidt, rozczochny, z przekrzywionym krawatem. - A fe, nieładnie. Jakies nienaukowe, starsowieckie brednie. Jak panu nie wstyd.

Przy barze siedzi Żorż, dawniej Żorzyk. Siedzi niedbale, jedną nogą majta z wysokiego stołka. Cedzi coś ze szklanki przez pogiętą słomkę.

- Docencie, wczoraj pięć proszków popiłem szklanką wódki. I nie mogłem przez parę godzin zasnąć. Bo to jest loteria. Albo od razu zetnie z nóg, albo paskudnie przeciwdziałała. To znaczy przez parę godzin zasypiałem i nie zasypiałem. Przekraczałem próg i cofałem się. A za każdym razem wchodziłem w inny sektor tego nieznanego wymiaru. Wstępowałem w łagodność wspomnień młodości, wstępowałem w cień wyrzutów sumienia, wstępowałem w czerwień nocy napastliwych demonów. A raz wstąpiłem w jasność zrozumienia, w jasną jasność porysowaną wyrazistymi znakami. I wszystko pojąłem, i wszystko stało się oczywiste, w najprostszym sposób zrozumiałe. Lecz wtedy ktoś mnie ukarał i w ostatniej chwili, ma moment przed krzykiem triumfu i ulgi, zepchnął w czarną przepaść snu bez snów.

- A ty wiesz, z czego żyje Rysio, mój bliźniaczy brat?

- Nie wiem. Odszedłem od spraw literackich i straciłem ambicję. Czekał na swój termin.

- Otóż warto wiedzieć. Rysio żyje z małej książeczki napisanej w dawnych zamierzchłych czasach, kiedy był jeszcze gorliwym synem partii i zasiadał w różnych ważnych instancjach, w których ja teraz zasiadam. Może pamiętasz jej tytuł? Książeczka ta, napisana nie bez talentu, nie bez pewnej ikry, sławi przemoc, usprawiedliwia zniewolenie, gędzi ze złą doczesnością. Książeczkę tę wznawiają dwa razy do roku i wtykają każdemu dziecku w szkole, żeby zatruła to dziecko, żeby zwyrodniała pierwszy instynkt moralny, kiedy się zjawi, żeby nauczyła dwuznaczności i pierwszych rozkoszy cynizmu. Dzięki tej książeczce Rysio chodzi cało i bezpiecznie po mieście. Dzięki niej żyje, pijąc rano mleczko, a wieczorem wódeczkę. Dzięki temu utworowi Rysio prowadzić może bezkompromisową walkę z reżimem i może budzić nasze zgnuśniałe sumienia. I tu po raz drugi stykamy się z dialektyką naszych czasów, drogi przyjacielu.

- A gdzie doktor Gonsiorek?

- Zginął. Pewnie zginął w toalecie.

- Boże, wszystko zapadło w czern. Został kac, który nie chce szczeznąć.

- Jesteśmy tylko drobinami białka w okrutnym krzemowo-ognistym wszechświecie.

- Pan jednak wierzy w Boga.

- Jeśli wierzę, to w innego niż wy, głupcy.

Żorż penetrował wzrokiem salę. Szukał nowej ofiary. Chciałem skryć się za zmiętaczonym gorse filozofa, ale było już za późno. Spostrzegł mnie, usmiechnął się porozumiewawczo i zeskoczył ze stołka. Uciekać nie mogłem, bo zachodził mi drogę od schodów.

- Pan jeszcze tutaj? - spytał odsuwając bezceremonialnie docenta. - To niedobre miejsce. Knapja ze złą reputacją.

- Właśnie chciałem płacić. Ale kelnerzy gdzieś się zapodzieli.

- A pżopos rachunku. Wie pan, głupia sprawa. Może nawet nie wypada z tym do pana. Zabrakło mi do rachunku.

- Ile?



- Niewiele. Dwieście tysięcy.

Wymagałem tyle, ile trzeba w kleszeni. Znałem takie typki. Jak zobaczą harmoszkę banknotów, zaraz proszą więcej.

Opuścił roztropnie rękę, ja w ciemności wymacałem tę kościstą dłoń i wsunąłem mu dwa banknoty. Dobrze przyjął moją delikatność, odwzajemnił uścisk.

- Jutro rano odeślę przez umyślnego - rzekł półgłosem.

- Przecież pan dobrze wie, że jutro nie będzie wierzyciela.

Zaśmiał się, poklepał mnie po ramieniu.

- Gdybym wiedział na pewno, to bym strzelił wyżej.

I odszedł z powrotem do baru, rzucił na kontuar moją forszę, jak własną. Barman podał mu nową szklanke, ale z tą samą pogiętą słomką.

Z szatni, objijając się o ściany, brnął Hans Jurgen Gonsiorek.

- Herr Gott, ja już nic nie chcę. Chcę tylko do hotelu - jęczał trzymając się za talię.

- A tam, w tym sanktuarium?

- Tam koniec świata. I tu koniec świata. Ja chcę do domu.

- Do pańskiego domu także zbliża się koniec świata.

- Ale niech on mnie zastanie w moim własnym łóżku.

Wtedy widzę, że Rysio stoi przy barze i popija ze szklanki żorża, który zagadał się z barmanem.

- Rysiu! - wołam trochę za głośno, bo umilkła orkiestra.

Szmidt spogląda na mnie statecznie, gasi petę w szklaneczce żorża i podchodzi chwiejnym krokiem.

- A jest tu znowu Edek-pedeł. Pewnie szkalował mnie za plecami.

Wiesz, że on codziennie leży krzyżem u Świętego Krzyża. Między odprawą w KC a wykładem w cenzurze leci do kościoła, pada płackiem i zbiera siły do następných rajdactw. Patrz, jak przyzwyczał Pana Boga.

- Panowie, mnie chroni immunitet dyplomatyczny - skarży się doktor Gonsiorek.

- My plujemy na immunitety - rzecze Edward Szmidt.

- U nas pan może raz-dwa pojechać na Syberię - dodaje Rysio Szmidt.

Lecz tu raptem doktor trzeźwieje, uśmiecha się przebiegle.

- Mogę pojechać na Wyspy Kanaryjskie albo do Caracas, ale nie na Syberię. Na Syberię się teraz nie wywozi. To obszar strategiczny.

I gra różowymi paluszkami na swoim solidnym nosie uwiecznionym w złotych binoklach. Jednocześnie rozlega się blaszany rumor w orkiestrze. Muzyk, chyba perkusista, spadł z krzesła i chwile się na boki uderzając głową w czynele. Nikt mu nie spieszy z pomocą, tylko ten od zepsutych organów Hammonda ruszył się leniwie ze swego miejsca.

- Czy jest lekarz na sali? - pyta bez pośpiechu klientów z najbliższych stolików.

Podnosi się jegomość zastrzegając, że jest tylko biologiem. Wzrą na podium, zaczyna obracać na wszystkie strony zamroczonym perkusistą.

- Upił się. Perkusisci lubią ciągnąć - opiniuje Edward Szmidt.

- Filozofowie lubią ciągnąć - syczy nienawistnie Rysio. - Żeby struć robaka. Ten człowiek zasłabił. Wszyscy słabną w niewoli.

- O Jezu-wzdycham. - Przypomniał mi się Hubert. My tu chłujemy, a on tam korkuje. Jeden z ostatnich moich przyjaciół. Ludzie, jestem sierotą. Sierotą na obcej planecie.

Między stolikami czołga się Kolka Nachałów zostawiając mocne plamy na podłodze. Przebył wpływ potop w kuchni. Pada z wyczerpania na cudzy fotel.

- Chłopcy, użyczcie zapałek. Ty, zdaje się, masz szwedzkie. Podpaleń ten bardak.

- A dlaczego chcesz podpalać? - pyta przeciągle Rysio.

- Niech wszystko spłonie. Do żywej ziemi. Cały brud, cały grzech, cały ten pomiot szatański.

Rysio uderza go na piasek dłonią w czoło. Kolka przewraca się razem z fotelem, a potem gramoli się w milczeniu z podłogi.

- Uderzyłeś Kolkę Nachałowa - mówi zdławionym głosem.

- Tak, uderzyłem Kolkę Nachałowa.

- Mój ojciec przelewał za was krew.
- Twój ojciec zafundował nam socjalizm.
- Rosjanie do dziś jedzą zgniłe kartofle, żeby wam było dobrze.
- To idźcie stąd do diabła. Będziecie jeść ostrygi.
- Oto wdzięczność. Doktorze, pan jest świadkiem. Jeszcze mnie popamiętacie.

Wtrąca się Edward Szmidt.

- Towarzyszu Nachałow...

- Ja dla ciebie nie towarzyszę.

, Pomagam mu usadowić się w fotelu, ale odpycha z gniewem moje ręce.

- Kolka - rzekę - on chciał dobrze.

- Jak to dobrze?

- Powinniśmy się z wami trochę droczyć. Biełopolaki utrzymują was na nogach. Kompleks Polaczyszek dodaje wam biglu. To święte powołanie zruszczenia Polski przekazane od Iwana Kality prowadzi was przez historię jak gwiazda zaranna. Chcesz, żebyśmy się od razu poddali. Chcesz wszystko popsuć?

Kolka Nachałow patrzył na mnie długo i z wysiłkiem. Wreszcie zaśmiał się, spróbował unieść ciężki odwioł z fotela.

- Ja ciebie lubię. Ty jesteś najfałszywszy, a ja ciebie Kocham. Daj pyska, ziemiał.

Ale nie doszło do pocałunku, bo zjawiła się Zosienka, babcia kłozetowa na praktyce.

- Do pana ktoś przyszedł - powiedziała.

- Do mnie? - spytałem zdziwiony. - Nikogo się nie spodziewam.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Ruszyłem przodem torując drogę wśród zdewastowanych stolików i drzejących gości.

- Nie ma co żałować - pocieszyła mnie. - Już się kończy pierwsza szychta. Zaraz ich wszystkich wywała z lokalu. Trzeba posprzątać dla Arabów. Oni zaczynają od szóstej.

- Zosiu kochana, wybierałem się do ciebie, wybierałem i jakoś nie wyszło.

- Po co ta mowa. Już wszystko wiem. Ma tu pan swoje sześćset złotych. Pan nie używał kabiny, ale ja ze złości na pana napadłam.

- Nie, nie, daj spokój.

Wcisnęła mi jednak bilon do ręki. W szatni obudzony major patrzył gnusnym wzrokiem w podręczny telewizorek, gdzie przyjezdny sekretarz, nadsekretarz, supersekretarz skończył właśnie przemówienie i odbierał owacje. Kilku czarno odzianych facetów koronowało go czapą górniczą ze wspaniałym pióropuszem. Ale obraz szedł niemo. I major, zwyczajem współrodaków, wyłączył fonie.

- Majorze, poproszę багаż i pieska. Odpływam w dalekie kraje.

Uniósł bankę, zabełkotał ją, żeby pokazać, że nic nie zginęło.

- Wszystko gra? - spytał.

Wsunąłem mu bilon Zosi do spoczonej dżoni.

- Pikusiu, idziemy.

Piesek wyskoczył z wawo spod kontuaru, gotów do drogi. Za naszymi plecami przenoszono gdzieś perkusistę.

- Pamiętają! - krzyknął z czeluści sali Rysio.

Wszedłem na pierwszy stopień poprzedzany gorliwie przez Pikusia. Odwróciłem się do Zosi, która oparła się o futrynę swojej instytucji.

- Do zobaczenia. Może wpadnę do ciebie któregoś wieczora.

- Na pewno pan nie wpadnie - powiedziała oglądając swoje paznokcie.

Zacząłem się wspinać po schodach okrytych czerwonym dywanem poplamionym wszelkiego rodzaju niestrawionymi potrawami. A na szczybie, przy szklanych drzwiach z wybitymi szybami, stała Nadzieжда.

- Wyrzucają nas - powiedziałem. - Wieczorem to jest lokal dla petrodolarowych Arabów.

Ona kiwała z politowaniem rudą głową.

- To żadne tak, Trzeba pana z knajpy wyciągać. Jak pan wygląda.

Przyklepałem wstydliwie niezbyt bujne włosy na ciemieniu. A Pikus już obwachiwał jej pełne, ale nie za tęgie nogi, takie, jakie mi się podobają i jakie jemu od razu się spodobały.

- To pana pies?

- Moich przyjaciół. Zaginał kiedyś, opłakiwaliśmy go przez lata, śnił się nam w przejmujących snach podszytych wyrzutami sumienia, a teraz ni z tego, ni z owego odnalazł się. Pikus, podaj pani kapekę.

- Piż pan?

- Troszeczkę. Ale co ja jadłem. Kremłowski lunch. Nawet gdybym opowiedział, toby pani nie uwierzyła.

Wyszliśmy na ulicę, gdzie czekali już Arabowie. Stali w małych grupkach, prawie jednakowo ubrani, i rozmawiali ze sobą gardłowymi głosami. Oni się jakoś nie kojarzyli z miejscową ludnością. Żyli w Warszawie swoim życiem, nikogo nie pytając o drogę, nie szukając pomocy ani przyjaźni. Różni tylko na potęgę nadwiślańskie panienki i to był, oprócz dewiz, jedyny namacalny ślad ich obecności.

- Nadzieńdo, zaczekaj, jaki piękny dzień.

Rzeczywiście, chmury się rozeszły w stronę dalekich horyzontów, wiatr uciął, słońce grało dobrodusznie to skulone, biedne, choć świąteczne miasto. W gorącym powietrzu igrały resztki jakichś muzyk, a nawet skancerowany motyl przeleciał nad jezdnią w stronę domu partii.

- Dom partii - powiedziałem do siebie i ścisnęło mi się serce.

Agenci przebrani za milicjantów drogowych przytupują sobie ze znużeniem przy węglach gmachu, a w środku, w samym sercu Scdoma i Gomora. Czy ktoś zdoła na czas pozlepić tego jesiotra, odświeżyć wymiętoszone wędliny, dolać wody do nadpitych butelek, sprzątnąć zafajdane podłogi? Biedny kuchmistru w randze pułkownika, ostatni junaku stolicy!

- Nadziejo, wezmę panią pod rękę.

- Może pan chce środek uspakajający? Mam wszystko ze sobą.

- A pocóż mi uspokojenie?

- Niech pan stara się wytrzeźwieć.

- Jestem trzeźwy.

- Mamy z panem same kłopoty.

- Przecież Caban zwolnił mnie ze słowa.

- Czy Caban może pana zwolnić? Czy pan potrzebuje zwolnienia? Czy pana ktokolwiek kiedykolwiek do czegoś potrafił zmusić?

- Nadzieńdo, pani mi schlebia.

- On zresztą żałuje tej rozmowy. Bywa, że mężczyźni ni z tego, ni z owego przemówią się.

Mijaliśmy sklep spożywczy. Ściągnięta w pośpiechu z domów załoga ekspedientek montowała w koślawym oknie wystawowym zmodernizowany herb ojczyzny: małego orzełka obłożonego wielkimi snopami zboża.

Wyszliśmy na plac Trzech Krzyży. Na betonowym skwerku, obok zabytkowego szaletu polegiwała grupka nietrzeźwych demonstrantów. Podłożyli sobie pod głowy transparent z nieczytelnym hasłem i zdeformowaną datą.

Między czerstwymi jeszcze domami widniała jedna ruina. To dom, w którym przez wiele lat mieściła się redakcja tygodnika satyrycznego "Szpilki". Zawalił się czegoś którejs włosny i nikt nie miał siły zabrać się do odbudowy.

- Chodź, Nadziejo, siądźmy tu i popatrzmy na boży świat.

Pociągnąłem ją ku schodom ruiny. Usiedliśmy na wygrzonym stopniu. Pikus zwinął się w kłębek przy moich nogach. A manifestacja jakby powoli, choć przedwcześnie zaciężyła. Gdzieś od Wisły albo może od placu Defilad odzywały się jeszcze orkiestry, gdzieś tam z płytkich kanionów ulic zerwał się jakiś okrzyk, może prorządowy, a może pijacki. Jednakże już z powrotem okrywała moje miasto barchanowym całunem apatia.

- To dobry znak, że widzimy się znowu - powiedziałem.

Milczała patrząc przed siebie, w mglistą perspektywę Alej Ujazdowskich.

- Wiesz, miałem wczoraj w nocy objawienie. Tobie to powiem, bo ciebie już się nie wstydzę. Miałem więc objawienie, jak stara baba, ale

niezapełnie, bo moją przygodę można zracjonalizować. Dlatego dzisiaj tak mnie boli głowa. A ja na to objawienie czekałem całe życie. Chciałem je bezinteresownie przekazać społeczeństwu. Tak zapisuje się muzeum bezcenne obrazy albo posagi.

- Przyśniłeś Antychrysta.  
Zamarłem z ręką w kudiach Pikusia.

- Skąd ty wiesz?

- Nie wiem. Ja przyśniłam Antychrysta. Nie pierwszy raz. Ten sen mi się powtarza. I zawsze w kolorach. Chociaż nie, raz, kilka dni przed wyjazdem do Polski, śniłam czarno-biało.

- Ale dziś już niczego nie pamiętam. Jakby ktoś siekiera odrabiał. Tylko boję się jakoś ludzi. Nie boję się tak, jak się człowiek zwykle boi, lecz odczuwam strach przed ludźmi.

Położyła mi raptem głowę na ramieniu. Czerwoną, puszystą, lekką głowę.

- Och, miły mój.  
- Co, Nadziejo, co?  
- Och, ciężko żyć.  
- I ciężko umierać.

Przycisnęła się do mnie. Samotny balonik, który zgubił właściciela, błąkał się wysoko pod umyтым świeżo niebem.

Zalany manifestant obudził się nagle, uniósł ciężki łeb i zaważał ochryplym głosem w to niebo:

- Polska! Polszal! Mać waszal!

Wschodnią stroną placu wracali ze spaceru moi koledzy A.M. i J.H. Nieśli w rękach papierowe kwiaty uронione przez manifestantów. Wyglądali dlatego odświętnie, choć J.H. nie mógł gestykulować i napierać na A.M., co utrudniało literacką konwersację. Przyglądałem się im z daleka, jakby z nieba. Czule i bezsilnie.

Słońce było niskie, słało prawie poziome promienie. Raptowny, letni przedwieczorny upał, choć łąka, wzdłuż której szli moi przyjaciele, dawno zrudziła i umarła. Tylko system rabatów kwiatnych ułożonych mistrnie w cyfrę LX, żył jeszcze, informując, że ogrodnictwo miejskie wyprzedziło wszystkie plany i obchodzi sześćdziesięciolecie PRL. Na tej łące, po wyburzeniu wojennych ruin, ktoś miał coś ważnego budować. Ale potem zapomniano, kto i co.

Po kanistrze moim biegają w popłochu, jak po nieznannej planecie, małe czarne mrówki. Pewnie mrówki faraona albo Piasta Kołodzieja. Ten niebieski kanister to dla nich zła, nieprzychylna planeta albo po prostu gigantyczny reaktor atomowy.

- Nadziejo, śpisz?

- Tak, króciutką chwilę. Zostawiłam ciebie samego, miły, na ułamek sekundy.

- Zło jak ciemność. Trwa wiecznie. A dobro to rozbiysk, to nietrwałe zyciństwo nad ciemnością. Dobro jest śmiertelne.

- Myślisz o naszych snach?

- Myślę, o co zrobić. Moim ostatnim kawałkiem literackim będzie ten dzień. Czy szlifować każde słowo i każdą sytuację wzorem starych mistrzów, czy zdać się na żywioł, na grafomański chaotyczny spontan? Nie, Nadziejo, żartuję. Naprawdę myślę o tobie. Rano poznałem nawiedzoną, upoetyzowaną, lekko stukniętą rosyjską dziewczynę, a teraz...

- A teraz?

- A teraz siedzę z moją kobietą. Jesteś moją kobietą?

- Jestem.

- Choć to nieładnie brzmi.

- Choć to trywialnie brzmi.

- Jakie to przygnębiające, jakież to obelżywe, że wszystko się sprowadza do tych kilku pytań z monologu Hamleta. Minęły wieki, upadły cywilizacje, odeszło w nicłość tyle pokoleń, a nic się nie zmieniło, a tak mało się zmieniło i nam ta przeklęta opatrność odbiera znużoną satysfakcję piewszczeństwa, pozbawia autorstwa, czyni nas wiecznymi plagiatami.

- Co cię dręczy, miły?
- Grzech przybrał ciało cnoty. Imponderabilia moralności spłowiały, a spod ich rysunku wyłoniły się, jak w przefarbowanej materii, imponderabilia amoralności. Amoralność rządzi się prawami moralnymi, używa nomenklatury moralnej, buduje swoje pozytywne systemy, nagradza świętością i strąca do piekieł. Zło włączyło się w nasze kody etyczne i stało się dobrem. Fatalnym, rakowatym dobrem.
- Żałujesz, że przyłączyłeś się do nas? że nie wyrobiłeś sobie rządowej licencji na rozsądną kontestację, na nieagresywną obronę godności człowieka, na bezkrwawą walkę z przemocą i niewolą.
- Musiałem się do was przyłączyć. Tak mi było pisane.
- To nie żałuj swojej głodnej pychy. Niech cierpi, niech zazdrości, niech się męczy.
- Wszystko jedno.
- Nie wszystko jedno.
- Myślisz, że można odkupić. że można wstrząsnąć sumieniem Pana Boga?

- Trzeba próbować. Aż do końca świata.
- Wy kochacie grzech.
- Kto?
- Wy tarzaliście się rozpustnie w grzechu, żeby uzyskać błogosławieństwo rozgrzeszenia. Bo nie może być rozgrzeszenia bez grzeszności, prawda?
- Myślisz literaturę z życiem.
- Jak powiedziałaś?
- Myślisz błuźniercze rojenia zrozpaczonych ludzi z ich postępkami w codzienności.
- Myle literaturę z życiem. Swój pospolity życycrys ogłaszam dziełem literackim.

Pikuś współczująco liźnął mnie po odsłoniętej łydce. Wysoko nad dachami śmigaly jaskółki, co dawniej zwiastowało pogodę, a teraz niczego nie zwiastuje. Nagły upał. Może to koniec lata albo początek przyszłej wiosny?

- Pokaż się, Nadziejo.

Uniosła głowę, czerwonawe włosy, niewatpliwie włosy Lenina, rozsypały się wokół twarzy, opadły na ramiona. Jedno oko było rzeczywiście zielone, ale drugie rzeczywiście fiołkowe. W sumie ładna moja Nadzieja, niepokojąco i ryzykownie ładna. A ja się na tym znam.

Objąłem ją mocno. Ona zamknęła oczy i ja zamknąłem. Po omacku spotkaliśmy się ustami. Jej wargi miały takie własne agresywne i czułe życie, że ciarki przeszły mi po plecach.

Gdzieś zegar wybił godzinę. Wybił tak długi, aż wreszcie otworzyliśmy oczy. Ale to nie był zegar. W kościele świętego Aleksandra dzwon przedwcześnie wzywał na Anioł Pański.

Nic nie mówiąc, bez słowa, wstaliśmy z tego cementowego stopnia, który już nasiąkał przedwiecznym chłodem i weszliśmy w zaciszną nawę zrzuwaną redakcji. Tylko schody zwiślały w tej pustej przestrzeni niczym pomięty dywan. Reszta ścian, przegródek, stropów leżała prosiadkiem w malowniczych gruzach jakby skomponowanych przez romantycznego architekta. Zadziwiająco bujna roślinność oplątała te złomy betonu, kamienie cegieł i wydmy zwietrzałego wapna. Ukośne światło słońca rozżarzało profile wielkich czarniawych łopianów, wylącało dorodne paprocie, rozpalało krzaki wilczych jagód. Nawet jesienne astry zakradły się do tego czarodziejskiego ogrodu wybujałego na śmietniku dawnej redakcji.

Te schody zapraszały do nieba, które intensywnie opalizowało nad naszymi głowami. Zgarnąłem nogą z pierwszego stopnia zeschnięte liście i kawałki tynku. Podałem jej rękę, wstąpiła na pierwszy szczebel. Oczywiście przed nią drocę, ona szła za mną poskuszniej, aż znaleźliśmy się na podeście z resztkami drewnianej posadzki. Na samotnym, niewielkim drzewie siedział niewiarygodnie wielki tłum wróbli. O czymś radził jazgotliwie, skryty w żółkniejących liściach. Z tego jazgotu powsta-

wała dźwięczna i niesamowita muzyka, jednostajny, metaliczny jęk przejmującego niepokoju.

Nadzieжда oparła się plecami o szczerbatą ścianę. Zamknęła oczy i czekała. Znowu pocałowałem ją w usta, które zdażyły już ostygnąć. Odnalazłem te wielkie piersi, moje wdzięczne znajome. Nadzieжда skuliła się, jakby w obawie przede mną albo może z lęku przed raptownym powiewem chłodu niepewności. Ogromne sutki nastroszyły się spazmatyczną szorstkością, zapachniało rozgrzany przez słońce ogrodem, poczułem ostry, wabiący zapach liści brzozowych. Nadzieжда coś powiedziała szeptem, czego nie zrozumiałem. Zrobiła się ciężka, musiałem ją przytrzymać, żeby nie upadła na zbutwiałą podłogę.

Słyszeliśmy rozpaczliwe uderzenia tętna. Słyszeliśmy też ten wielogłosy krzyk ptaków, jak narastające ponaglenie. Rozdzieliłem kolanami jej nogi. Wspiąłem się w nią. Wspiąłem wysoko.

Ona coś mówiła bezdźwięcznie, jakby odmawiała litanię. Zaciśnęła oczy, aż zbiały powieki. We wrzosowej różowości ust świeciły drapieżnie ostre zęby.

- Nadziejo- szepnąłem. - Nadziejo, to ja.

- Wiem. To tylko ty. I na zawsze ty.

Wparła się plecami w ścianę, jakby chciała ją odepchnąć aż po horyzont, gdzie słońce szykowało się do zachodu. Chwyliła w obie dłonie moją rękę, krzyknęła krótko zdławionym głosem i stała się tak ogromnie ciężka, że nie mogłem jej utrzymać. Osunęła się na podłogę kryjąc twarz w czerwonej przedzy włosów. Gdzieś z resztek sufitu kapała woda. Zabłakana osa przyleciała z ogrodu. Jęła krażyć nad głową dziewczyny. Próbowałem odpędzić, schyliłem się po źdźbło zrudziałej pokrzywy, ale wtedy rozległ się zgrzyt deptanego szkła. We framudze drzwi stanął niemłody jegomość w czerwonej czapeczce z długim daszkiem i ze skórzaną torbą na brzuchu, jaką noszą dozorczy parkingów. Zasalutował dwoma palcami do daszka czapki ozdobionej nie znanym mi emblematem. Dopiero teraz spostrzegłem, że w drugiej ręce trzyma czerwoną kartkę, przypominającą kwit.

- Dzień dobry - powiedział rześkim głosem. - Dziesięć tysięcy złotych.

- Dziesięć tysięcy złotych? Za co? - spytałem.

- Za zbliżenie miłosne w gmachu publicznym.

- A co to, nie wolno?

- Wolno, tylko trzeba płacić.

- To mandat?

- Nie, taka taksa. Weszła w życie od pierwszego. Gdyby pan się do mnie zgłosił, toby było wygodniej, bo wypożyczam dmuchane materace.

Stałem osłupiały nad skuloną Nadzieждą. Osa latała teraz koło mojej głowy.

- Ludzi dużo, mieszkać mało, więc państwo poszło na rękę - informował funkcjonariusz. - Z czasem będzie więcej komfortu. Mają wprowadzić maskujące plandeki i poduszki. Pan płaci czy zawałta milicjanta.

- Płacę, płacę - powiedziałem niechętnie, schodząc na parter.

- Ale skąd pan wie, co tu robiliśmy?

- U nas dobierają fachowców. Chyba pan nie zaprzeczy? Ja pana skądś znam, co? Może pan występował w telewizji?

- Może i występowałem. Nie pamiętam - odnalazłem banknot dziesięciotysięczny. Wyjął mi grzecznie, afe stanowczo z rąk.

- Bo ja, zanim poszedłem na rentę, byłem dyrektorem w telewizji. Podał mi czerwoną tekturkę z wieloznacznym napisem "kwit miejski".

- Mogą tu państwo zostać, ile zechcą. Ja popilnuję.

Zasalutował uprzejmie, ulokował banknot w torbie i wyszedł na ulicę.

Gdzieś w głębi śródmieścia znowu odezwały się orkiestry. Słychać było też pojedyncze przeraźliwe krzyki po sąsiednich bramach. Krzyki

przypominające zimowe wycia wilków. Ale wilków już nie było na ziemi. Zostali tylko ludzie. Miasto, jak zwykle przed wieczorem, uderzało w gaz.

- Nadzieńdo, obudź się - potrząsnąłem jej ramieniem.

Nie odpowiedziała kłęcząc tak w kretowisku starego popiołu, z głową ukrytą w ramionach, jakby powstrzymywała okropny ból nie do przeżyczenia.

Zacząłem ją podnosić, strasznie ciężką i bezwładną. Sypał się tuż obok zwietrzały tynk. Osa dzwoniła natrętnie, objając się o moje ucho.

- Nadziu - szepnąłem w czerwony kosmyk jej włosów.

Zatoczyła się raptem na ścianę. Przez moment zobaczyłem jej oczy zdziczałe w jakimś ledwo dostrzegalnym rozbieżnym zezie. Pchnęła mnie nagle i zaczęła uciekać po tych strzaskanych schodach. Potem rzuciła się w bok, w sam gąszcz czarodziejskiego ogrodu, traciła pewnie starą blachą, bo z tego drzewa wybuchnął nagły cień, który zasłonił niebo. A to tylko zerwały się wróble i z ogłuszającym furkotem pomknęły w głąb miasta.

Więc odsłoniło się znowu niebo, tak niewinne i czyste, jak kiedyś, kiedy było naprawdę niewinne i czyste. Dziś to niebo zasmrodziły rakiety, zdeptali skwapliwi filozofowie w poszukiwaniu prawdy, której, być może, nie ma. Ale teraz na ten jedyny przedwieczny niebo wystroiło się, uszmkowało, przyrumieniło i wyglądało jak młode.

- Nadziu! - zawołałem niegłośno.

Pokancerowany motyl, być może ten sam, który leciał do KC, unosił się teraz niespiesznie nad dorodnym krzakiem ostu wyprostowanym jak huzar. Pajęczyny srebrzyły się w zaciemnionych buro kątach.

Zjawiła się nagle, jak to było w jej zwyczaju. Szła kołysząc się krokiem zza tego drzewa opuszczonego przez wróble. Szła tym swoim własnym, wdzięcznym, choć ociężałym krokiem, jakby płynęła czołmem przez szalowaną powierzchnię jeziora.

Już z daleka uśmiechała się do mnie, wierzchem dłoni wycierała kąciuki oczu. Czekałem na nią stojąc po pas w paprociach, obsypanych białymi, tajemniczymi mackami, które pozostały im z dawnych dobrych czasów, kiedy były na ziemi drzewami.

Podeszła, objęła za szyję, głowę schowała w moim ramieniu.

- Jestem zmęczona - szepnęła. - Ktoś tu przychodził?

- Staruszek, który kiedyś pracował w tym domu. Życzył nam szczęścia i błogosławił.

- Tak właśnie chciałam, żeby ktoś nas pobłogosławił. U was też są dobrzy, mądry, starzy ludzie.

- Bywali u nas szlachetni, rozumni, godni starzy ludzie.

Wierciła swoją powiększoną przez ogromne włosy głową. Boża krówka szła spieszenie po szerokim loku rozjaśnionym w słońcu.

- Słuchaj - powiedziała szeptem.

- Słucham, Nadziejo.

- Pójdę z tobą.

- Dokąd, kochana?

- Tam, pod Pałac Kultury. Zrobię to samo co ty, miły.

- Nie, Nadzieńdo, ja reżyseruję swoje ostatnie opowiadanie. Ze względu kompozycyjnych i nastrojowych lepiej będzie, jeśli zostaniesz, tęskniąc za mną do końca życia..

Podniosła głowę rozbawiona moim pomysłem. Patrzyła na mnie wielkimi roziskrzonymi oczami, z których jedno mogło być bardziej zielone, a drugie bardziej fiołkowe. Małymi stadkami wracały wróble na to drzewo, gdzie mieścił się ich parlament. Ucałowałem leciutko łewę jej oko, potem prawe.

- Naprawdę, nie chcesz?

Potrząsnąłem przeczącą głową. Znowu ukryła twarz w moim ramieniu.

- Czekał, muszę się namyśleć - szepnęła.

Objąłem ją znajdując od razu te zdumiewające piersi tak mi życzliwe

i przychylnie. Były też zmęczone, ogrzane rzewną sennością.

- Nie. Nie trzeba - odtrąciła mnie łokciami. - Niech tak zostanie. Na całe życie.

- Będę na ciebie czekać w ponurym, brodatym, prawosławnym niebie. Przycisnęła silniej twarz do mojej kurtki omotanej przezroczystymi pajęczynami.

- Co mam robić? - spytała. - Wszystko zburzyło się w parę godzin. Ale ja o tym wiedziałam. Domyślałam się, że spotkam ciebie.

- Takich jak ja jest wielu. Jestem w każdym z nich. Mnie pojedynczego nie ma. Obejmujesz manekin ubrany w spodnie i kurtkę z domu towarowego.

- Ty to jesteś ty. Ja wiem. Ja sniłam Polskę z zrujnowanymi pałacami i ciebie w plecakiem na długiej, wijącej się drodze.

- Musimy się rozstać, Nadziejo.

- Aż do spotkania.

- Tam.

- Albo jeszcze tu. Chcesz prosek uspakajający?

- Nie. Już nie. Jestem spokojny, choć nie wiem, co zrobię.

- Zrobisz, jak zechce Bóg, w którego wierzę.

- Najlepszy jednak byłby koniec świata. Poszlibyśmy razem, objęci, do czyszcza. Razem z wrogami i z przyjaciółmi. Z walizeczką świętości i z wagonem grzechów.

- Tak, byłby dobry koniec świata, na który ludzie czekają pół miliona lat.

- Nadziejo, mam jeszcze kilka ostatnich spraw do załatwienia.

Przyciągnęła mnie do siebie. Usłyszałem znowu leciutki zapach schnących witek brzoszowych. A potem odepchnęła lekko na odległość oddechu.

- To idź, miły. Będę się modlić za ciebie.

Przeżegnała mnie prawosławnym, ruskim krzyżem, a ja pocałowałem koniec jej palców. Wróble podjęły swój brzękliwy, chiński chorał. Kłęby komarów wzbily się nad krzakami tego ogrodu pełnego teraz złota i studziennej czerni.

- Zaczekaj tu, aż odejdę - powiedziała patrząc gdzieś w bok.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam.

Przeniosła wzrok na moje oczy. Żrenice rozszerzyły się w ledwo dostreżalnym uśmiechu, a w kątach powiek błysnęła raptowna wilgoć.

- Obejmij mnie. Bardzo mocno, jeszcze mocniej.

- Już mocniej nie mogę.

- Mocniej, miły, żebym zapamiętała.

Ucałowaliśmy się mokrymi i słonymi ustami. A potem ona odwróciła się z rozpaczliwym postanowieniem, pobiegła trochę ociążałym i dziwnie płynnym krokiem w głąb słonecznej ulicy. Rozejrzałem się machinalnie za kanistrem. Ale nigdzie nie było mojego naczynia torturu. Poczuję nagle ciężar głowy, udarczonej kacem i zżymi myślami. Z głębi ogrodu nadleciała ta osa, której spodobałem się niedawno. Znowu tłukła się o moje policzki, o moje uszy. Razem z nią wyszedłem na ulicę.

A tam, przy zapadniętych murach miejskiego ustępu, stał uśmiechnięty Tadzio ze Stawogardu z niebieskim kanistrem w rękach.

- Bo może kiedyś, w kolejnym kręgu nieskończoności, jeszcze będę kochał. To też z pana - powiedział kołysząc bańką. - Zapiękowałem się benzyną. Pan zostawił na ulicy.

Pijani manifestanci budzili się z poobiedniej drzemki na betonowym skwerku. Jeden z nich oddzierał z płótna transparentu papierową literę L, żeby owinąć krwawiący palec.

Przekroczyłem jezdnie cuchnącą topniejącym asfaltem i podszedłem do uśmiechniętego Tadzia z prowincji. Uniósł bańkę, chciał mi ją wręczyć. Ale ja bez uprzedzenia złapałem go za uszy kołnierza flanelowej koszuli, ścisnąłem ją tak na jego chudej szyi, że wylazły mu z orbit głupie, poczciwe oczy.



- Ty łajdaku, wyprowadziłeś mnie na żorża. Od kiedy u nich pracujesz?

Odpychając mnie lekliwie rękami zabełkotał niewyraźnie:

- Od trzech lat.

Trzasnąłem go na odlew po tym pysku bez zarostu. Upadł na kolana, ale tak jakoś umiejętnie, żeby nie uszkodzić kanistra. Schwycił moją rękę i zaczął ją całować paskudnie mokrymi i śliskimi ustami. Dopiero teraz spostrzegłem, że wcale nie był taki młody. Miał coś starczo chytrego w tej infantylnej twarzy pozbawionej owłosienia.

- Ile ty masz lat, świńtuchu?

- Trzydzieści trzy - wystękał okrywając moją dłoń gorliwymi pocałunkami.

Uderzyłem go jeszcze raz. Otarł wtedy ręką nos, żeby sprawdzić, czy nie krwawi i zajęczał:

- Czterdzieści. Przysięgam Bogu, że mówię prawdę.

- Jak cię zwęrbowali?

- Piszę im wiersze. Wymyślałem takie dowcipy. Dla departamentu propagandy i badań nastrojów ludności.

- Wstawaj, draniu. Nie rób zgrywy, bo powiem ludziom, kim jesteś.

Zaczął się podnosić z kolan chlipiąc nosem. Oczyścił starannie rękawem krawędź banki. Taki był mi oddany.

- Co to są za wiersze? - spytałem i złapałem znowu za kołnierz ohydnej, przepoczonej koszuli.

- Satyryczne. Na różnych opozycjonistów, kontestatorów, w ogóle wrogów.

- A dowcipy?

- Dowcipy to na ludzi z rządu. Dwa rodzaje anegdot. Jedne sondażowe, żeby sprawdzić, jak tłum reaguje, a drugie przeciwko działaczom, którzy wylatują z obiegu.

- Potworze, Zawołałem jednak ludzi, żeby cię zlinczowali.

On znowu upadł na kolana i chwycił swoimi łapkami jaszczurki moją rękę.

- Błagam, proszę mi wybaczyć. Przecież ja się przyznałem. Co miałem robić? Co mógł zrobić człowiek ze Stangardu i do tego ukłomny. Dwa-dziesiąt lat pisałem wiersze i pies z kulawą nogą nie powiedział o do-brego słowa. Wszystkie listy z redakcji i wydawnictw zaczynały się od "Z przykrością informujemy". Znienawidziłem w końcu pocztę. Pan mnie zrozumie i wybaczy. Inni gorsze świństwa wyprawiają. Ja pana proszę w imieniu moich rodziców, bo ja jestem sierota.

- Masz tyle lat co PRL i tyle samo perfidii. Może jeszcze coś zacytujesz z moich tekstów?

- Proszę bardzo - ucieszył się sprzedajny Tażzio. - Już mam odpowiednią cytate.

Podniosłem pięść, żeby go uderzyć. A on skulił się i zapłakał.

- Kiedy ja naprawdę uwielbiam pana prozę. To jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Jestem pod pana literackim urokiem. W mojej poezji są pańskie wpływy. Dyrekcja departamentu stawia mi nawet zarzut, że inspirowuję się pana twórczością. Ja pana Kocham. Nie mogę żyć bez pana. Pijacy obserwowali mnie nieprzychylnie. Postronnym mogło się wydawać, że maltretuję nieletniego.

- Wstawaj, kutasie starogardzki. I przepadnij mi z oczu.

Podniósł się z chodnika wycierając nos i oczy.

- Ja dziś przeżyłem szok - powiedział płacząco. - Niech pan da-ruje. Zaczynam nowe życie. Po obiedzie wymówiłem pracę w departamen-cie. Jestem taki sam człowiek jak pan.

Zacisnąłem pięść i postąpiłem krok w jego stronę, a on osłonił się brudnymi rękami.

- Te, fetniak, zostaw mażego! - krzyknął manifestant podnosząc kij od transparentu.

- Dobra - powiedziałem. - Daj bankę i chodu.

- Ja będę nosił za panem - rozszlochał się Tadzio.  
Zerknąłem w stronę obudzonych pijaczków. Wstawali chwiejnie na nogi.

- Jak dobrze, że pana spotkałem. To był przełom. W moim życiu i w mojej twórczości. Pan uratował człowieka. Czy może być ważniejsza sprawa na tym świecie?

- Zamknij mordę i chodźmy stąd, bo nam dołożą - warknąłem.  
Ruszyłem w Nowy Świat, a czterdziestolatek Tadzio za mną. Trzeźwiejący opornie demonstranci odprowadzili nas podejrziwym, nieśkaskawym wzrokiem.

- Tyle lat zmarnowanych - białą Tadzio z tyłu. - Tak, zgrzeszyłem, nie będę się zapierał. A nasi klasycy współcześni nie grzeszą? Niech pan patrzy, proszę - zżapał mnie za rękę i pociągnął do witryny sklepu z pasanterią.

A tam wśród haseł stał rozstrojony telewizor. Nie na tyle jednak popsuty, żeby nie można było obejrzeć kolejnego wydarzenia ze zjazdu. Oto hołd składali obu sekretarzom prezesa związków artystycznych. Prezes plastyków ubrany był w dziewiętnastowieczny fartuch, ogromny aksamitny beret, w rękę trzymał paletę i pędzel. Drugi w białym giele niośł ogromne gęsie pióro oraz rulon papieru. Trzeci w tożdej rzymskiej trzymał przed obliczem grecką maskę. Czwarty z wieńcem na czole szczypał struny liry. Ale jeden z nich był w cywilu, nie posiadał symbolicznego rekwizytu, wszakże tak samo jak pozostali klęknął na jedno kolano przed sekretarzami. Zaintrygował mnie ten cywilny prezes, nagle zachciało mi się za wszelką cenę dowiedzieć, kogo on reprezentuje. Tadzio pewnie wiedział, ale nie wypadało zapytać.

- Widzi pan, im to można? Wszystko mają. Gotówkę, piękne kobiety, sławę w kraju i za granicą, a ukłękli przed tymi cepami. To co pan chce ode mnie?

- Tadzio, jesteś obrzydliwy - westchnąłem.

- A czy to moja wina? Ja chciałbym wyglądać jak pan. I co mogę zrobić, jeśli pan Bóg miał inny zamiar.

Chrzaknąłem nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Oddaj bankę - rzekłem wrzascie.

- To ja się zabiję.

- Możesz iść za mną, jeśli chcesz, ale oddaj bankę.

- Pan mną gardzi?

Rzuciłem się w jego stronę, a on uskoczył przytomnie.

- Oddaj kanister, sukinsynu!

Nagle obrazik się i podał mi bankę z rękojeścią mokrą od jego parzącego potu.

- Myśli pan, że ja nic nie wiem - rzekł dwuznacznym tonem.

Pod "Paradyzem" było pusto. Arabowie już w środku macali nasze dziewczęta w rytm orientalnych melodii. Zatrzymałem się przed kryształowymi drzwiami, w których kiedyś wybito kryształowe szyby. Na lekkim przedwieczornym wietrze huśtała się tekturka z napisem "Wszystkie miejsca zajęte".

- Pan wie - odezwał się pojednawczo czterdziestolatek Tadzio - Arabowi to wystarczy dotknąć nogi białej kobiety i już się spuszcza.

- Teraz będziesz mi tu takie świństwa opowiadał? - wrzasnąłem.

- To prawda, szczerą prawdą. Niech pan zapyta panienek.

Poszedłem w stronę ronda. Gmach partii leżał sennie na wielkiej kamiennej platformie. Stare, zmęczone zwierzę z oslepłymi oczami. Lekki dreszcz przeleciał mi po plecach, bo znowu przypomniałem sobie tajny bankiet dla najwyższego kierownictwa oznaczony kryptonimem - TBDNK. Czy moi druhowie w alkoholu zdążą zatrzeć ślady? A mój rachunek. Zapomniałem uregulować należność za ragout. Trudno, może utonął w ogólnych szkodach.

Na rondzie drzemał pusty tramwaj. Wszyscy pasażerowie otoczyli morderczego, który stał obok wehikułu i opędał się przed natręctwem podróżnych.

- Powiedziałem, że nie pojedę, to nie pojedę.
- Ależ, panie złociutki, co się stało?
- Po prostu mi się odechciało i już. Idę do domu.
- Panie mechaniku, przecież pan ma teraz krótszą trasę. Tylko od mostu Poniatowskiego, który się zawalił.
- Krótszą trasę też chromolę.
- O rany, człowieku, bądź pan człowiekiem.
- A ja nie chcę i nie będę się tłumaczył. Proszę się rozstąpić.
- Kochany, jadę do chorej matki z obiadem.
- A co to mnie obchodzi?
- Mam ćwiartkę salcesonu. Chce pan?
- A idźże pan. Mnie szkodzi. Mnie wszystko szkodzi, mówię wam jak ludziom. Dajcie przejść.
- Błagamy, bądź pan Polakiem.
- Polakiem, pierwszym kandydatem? - spytał tramwajarz.
- Zrobiło się raptem cicho. Ktoś zakaszał, ktoś inny odchrząknął. Jakie dziecko zaczęło płakać.
- Och, kurdebalans - westchnął motorniczy. - Ja mam miękkie serce. Zawiozę, ale tylko na plac Narutowicza, a potem szluz. Wsiadajcie, Polacy.

Skoczyliśmy żywo do zrujnowanych wnętrz. Słyszałem za sobą zdyszanego Tadzia. Tramwaj zadzwonił wściekle i popłynęliśmy zgrzytliwie pod zachodzące słońce.

- Jeszcze do tego pewnie mnie mylisz z jakimś innym literatem, kaspuciana głowo - warknął patrząc w zarosłe kurzem okna.
- No jak to? Przecież dobrze wiem. Pan jest Ryszard Szmidt, prawda? Chciałem go kopnąć do tyłu, na niewidzianego.
- Cytowałeś mnie, głupku.
- A to pana teksty? Mnie się zdawało, że pana Ryszarda.
- Odwrociłem się. Ta bezwasa, młodzieniaszkowata i zmarszczona twarz uśmiechała się z poufałą protekcyjnością.
- Niech się pan nie boi. To pana złote myśli i ja wiem, kim pan jest.
- Możesz recytować, kogo chcesz. Ja to bimbam.
- Kiedy to dobre teksty, choć panu nie zafartowało do końca. Ale ja pana pomszczę, jak dostanę Nobla.
- Zajączałem cicho wracając do okna. On przysiadł na kanale ogrzewczym i czule wyjął mi z ręki niebieski kanister. Objął go kolanami, pa-trzył wesoło przed siebie mrugając porozumiewawczo.
- Wtedy poczułem, że ktoś mnie trąca delikatnie w prawą nogę. Oczywiście był to Pikuś. Patrzył mi z oddaniem w oczy i merdał smętną resztką ogonka.

- Pikuśiu, gdzie ty się znowu podziewałeś?

- A on wczepił się łapkami jak frędzelki w moje spodnie, popiskiwał z wielką miłością, szczęśliwy, że zrobił mi przyjemność swoim niespodziewanym odnalezieniem się.
- Odprowadzimy cię piesku, do twoich bliskich koło placu Zbawiciela. Oni już tyle lat nie mogą ciebie zapomnieć. Oni kochają zwierzęta. Ale ludzi także,

Pikuś cieszył się, gwałtownie kręcąc młynka wokół swego ogona, którego właściwie nie było. Minęliśmy rondo na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami. Teraz w szybach wystawowych i oknach mieszkań pokazało się odbicie kamiennej góry Pałacu Kultury. Błyskały światła wojskowych reflektorów. Pulsował między nimi napis złożony z podświetlonych wanierek dziecięcych z plastyku: "Zbudowaliśmy socjalizm!". Ale waniereki były z odrzutu eksportowego, gdzieś tam gdzie pekiły, pokazując w swoim wnętrzu ukryte żarówki, z których większość już się przepaliła.

Coś mnie przymuszało, żeby odwrócić się i spojrzeć na ten mój przyszyły gigantyczny nagrobek ozdobiony dawnym godłem Polski i współczesnym państwem radzieckim. Byłem nawet ciekaw, czy już obłożono naszego orła herbowymi snopkami zboża przewiązanymi wstęgą z hasłem "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się". Lecz nie odwróciłem się para-

liżowany jakimś zabobnym albo magicznym sprzeciwem. Spojrzę na ten gmach wtedy, kiedy będzie trzeba. Spojrzę nań wieczorem o ósmej, jeśli w ogóle spojrzę.

Słyszałem więc za plecami, poprzez zgrzyty tramwaju, huczenie gigantofonów i rozmywające się dźwięki orkiestr. Po moich ramionach przeskakiwały trupie, fioletowe refleksy światła lamp żukowych. Pikuś spał przy mojej nodze.

Minęliśmy dworzec centralny stojący w jeziorze potłuczonego szkła z ostatnich szyb, które wyleciały od salutu armatniego. W tej potrząskanej szklanej tafli odbijało się zachodzące słońce. Więc ledwo minęliśmy krwawe rozlewisko wokół szerniatego bunkra dworcowego, tramwaj nasz zaczął szarpać się, jakby próbował zerwać uwięź, jął trzeszczeć w żelaznych spojeniach, aż wreszcie ucichł i płynął jeszcze kilkadziesiąt metrów niczym okręt przybijający do brzegu. Wreszcie stanął, gibnął się do przodu, i do tyłu, w końcu zamark.

Pasażerowie biegli do przedniej kabiny, z której wytaczał się chwilejnie motorniczy.

- Panie, pan obiecał do placu Narutowicza.

- Obiecałem, bo honorowy jestem. Ale wyłączyli elektryczność. Och, ludzie, jak mnie szury - wachlował się mosięzną korbką, którą zabrał ze sterowniczego pulpitu.

- Kłamię! Znowu mu się odechciało. A ja wiozę obiad dla chorej matki! - wrzasnęła jakaś kobieta.

- Proszę bardzo - ukłonił się motorniczy powstrzymując czkawkę. - Bierzcie korbę i jedźcie.

Kilku młodych myszkowało już po jego kabynie.

- Prawdę mów. Nie ma prądu! - zawołali.

Rozległy się mało dynamiczne ziorzeczenia. Tłumek zaczął się rozplýwać po sąsiednich ulicach. Motorniczy siadł na przednim buforze, wystawił siną twarz ku słońcu i przymknął z ulgą oczy.

- Idziemy, chłopcy, pieszo - zadecydowałem.

Pikuś ruszył przodem, ja w środku, a Tadzio z banką na końcu. Weszliśmy na ulicę Oczki przyczerwioną zachodem. Szliśmy ponurym kanionem między cmentarnymi drzewami. Wiedziałem, że za tym więziennym murem kryją się miejskie prosektoria i kostnice. Ale wtedy usłyszeliśmy za sobą historyczne wycie syreny. Środkiem jezdni pędziła karetka pogotowia z zepsutym, martwym światłem sygnalizacyjnym. Dlatego kierowca cały nacisk położył na klakson. Karetka minęła nas zrywając z asfaltu obłoki zeschniętych liści i nagle zaczęła gwałtownie hamować. Zrzuciło ją trochę w stronę krawężnika, ale szofer opanował wóz i po sekundzie jął wracać na wstecznym biegu. Uchyliły się tylne drzwi, z których wyjrzał uradowany Kobiałka.

- Widzicie, jaki mam mundur - pokazał na swój nienagannie czysty kaftan furlata. A mógł poruszać trochę rękami, bo przez protekcję związane mu luźno rękawy na plecach. - Doczekałem się wreszcie karetki. Miała awarię; No, ale już, chwała Bogu, w porządku. Lecimy do Tworek. Może was podrzucić do drodza?

- Dziękujemy, sąsiedzie - rzekłem serdecznie. - My niedaleko. Już właściwie jesteśmy na miejscu.

- A co na mieście?

- Po staremu. Świętujemy.

- Lada dzień zrównamy się z Zachodem. To znaczy Zachód z nami się zrówna. Wtedy będzie lepiej. W ogóle będzie lepiej.

- Dlaczego pan myśli, że może być lepiej?

- Dlatego, drogi sąsiedzie, że wszyscy zaczniemy od nowa. To znaczy odbijemy się od dna, ściśle mówiąc świat odbije się od dna totalnego jak od kosmicznej podłogi. Przepraszam, sąsiedzie, ale ja już jestem optymistą, Mam własny, wolny, niepodległy dom - i uderzył euforycznie dłońmi w dach karetki. Kierowca natychmiast chciał ruszyć, ale Kobiałka zakomenderował tubalnym głosem:

- Stop! Stop! Jeszcze chwilę. Uściskałbym pana, kochany sąsiedzie,

lecz widzi pan, że ubrany jestem nieodpowiednio.

- Życzę panu zdrowia.

- Zdrowy to ja jestem. Szczęścia, panie, nam wszystkim trzeba żyć w nowej rundzie, w nadchodzącej epoce, w następnym świecie. Pamiętajcie, że was wszystkich zawsze kochałem! - Spostrzegł Pikusia, który z ciekawości zaglądał do karetki. - I zwierzęta zawsze kochałem! Ta miłość mnie zgubiła! Co ja mówię, ta miłość uczyniła mnie przeciwieństwem wolnym! Niech żyje wolna, niezawisła Polska Republika Radziecka!

I odbębnił jakiś afrykański werbel na skorodowanym dachu karetki rządowego szpitala psychiatrycznego. A zdecydował się chyba dlatego na taką demonstrację, ponieważ przez boczne okienko wyjrzał Zenek i przysłuchiwał się bacznie oświadczeniom pacjenta.

Karetką ruszyła z fantazją buksując kołami na jezdni usłanej liśćmi klonu i pomknęła w stronę ulicy Grójeckiej.

- Widziałeś szczęśliwego człowieka, głąbie - rzekłem do Tadzia Skórki. - Daj kanister.

- Ale dlaczego?

- Bo będzie mi potrzebny. Wejdę tu do szpitala, a wy na mnie poczekajcie.

- Proszę uważać na siebie, błagam. Ja też kocham pana, jak ojca.

Chciałem go kopnąć, ale odskoczył czujnie.

- Ja się za pana zemszczę. Jeszcze świat mnie popamięta.

Szanotał się z kieszenia usiłując wyciągnąć jakiś pakiet.

- Zacząłem pisać pracę. Mam już trzy rozdziały. Jeszcze świat takiej prozy nie widział.

Zrezygnowany ruszyłem do wejścia szpitalnego. Kilku nietrzeźwych chorych leżało na porośniętych trawą schodach. Chciałem ich ostrzec przed zapaleniem płuc, ale patrzyli na mnie wrogo, tak jak chorzy patrzą na zdrowych.

- Antychryst - powiedziałem. - Antyohryst pod postacią wirusa. Epidemia. Jak grypy albo cholery. Epidemia z wnętrza kosmosu.

Szedłem korytarzem oświetlonym przez maleńkie żarówki, które rozjaśniały się i gasły. Szpital brał prąd z własnego agregatu. Po tych ciemnowych zakamarkach snuli się podpici pacjenci. Lżej chorzy usługiwali bez entuzjazmu ciężko chorym. Salowych i pielęgniarek już dawno nie widziano w naszych szpitalach. Wyszły z mody.

Wreszcie zobaczyłem szklaną ścianę sali reanimacyjnej. Stały w niej trzy fotele albo łóżka, a najprędzej rachityczne katafalki, na których podrygiwały trzy bezwładne ciała. Drzwi były niedomknięte, więc bez trudu wszedłem do zielonkawego wnętrza wypełnionego zegarowymi odgłosami tykania, syczenia, brzęczenia. Mrugały kolorowe światełka, z kranu ciekła woda, w powietrzu płynął ciężki zapach karbolu albo może waleriany.

Kolejno przyjrzałem się trzem twarzom bez kropli krwi. Ten w środku, ciemno szpakowaty, jakby z trochę murzyńskimi rysami, mógł być Hubertem. Oplatały go jakieś przewody, druty, a do gardła wbiła się grubo karbowana rura. Podrygiwał histerycznie miotany rytmem aparatów i patrzył na mnie jednym ślepych okiem, które nie widziało. Wyszczrzył zwielokrotnione dziwnie zęby, ale wyszczerzył je chyba dawno, bo w kątach szarych ust zastygła żółta piana. Patrzył na mnie tym ślepych okiem i nic nie mówił, bo nie mógł już mówić. Wydało mi się raptem, że śmierdzi tu trupem. Że w tym szklanym kiosku, którego nie sprzątano od tygodni, że w tym zielonkawym czyszczu cuchnie śmiercią.

Nie mogłem znieść jego wzroku, to znaczy nie mogłem znieść tego białego oka, co świdrowało mnie seledynowym, fosforycznym światełkiem. Uklękłem więc w nogach łóżka, miałem przed sobą woskowe stopy Huberta obciążone nieżywą skórą, kościste, żyłaste, jakby wygotowane w formalinie.

- No i co, Hubercie? - rzekłem półgłosem. - Naganiałeś się po świe-

cie w swoim średnio długim życiu. Naganiałeś się po naszym małym mikroświecie miasta konającego pośrodku Europy. Co ciebie pędziło do przodu, jaka siła, jaka wiara?

Ktoś westchnął jękiłwie. Uniosłem głowę, ale to tylko ktośś z maszyny, może sztuczne płuco, sztuczna nerka albo sztuczne serce, któryś ze sztucznych organów ludzkich zmienił rytm, jakby zmieniał zmęczoną rękę.

- No i co, mnichu schyłkowej epoki, Sawonarolo końca starego świata? Marne miałeś życie, niziutkie bytowanie, biedny los. Zawsze byłeś przeciw i mówiono, że ciągle zmieniasz poglądy. Dławiłeś w sobie ludzkie odruchy, a może filisterskie przyzwyczajenia i w bliźnich tępiłeś mieszczaucha oraz filistra. Mało kto cię kochał, wielu cię nienawdziło. Kochano cię byle jak, nienawidzono z całej siły. Jakaż to logika moralna kierowała twoim postępowaniem, mój blady, sztywny, nieludzki wyrzucie sumienia?

Wtedy skądś z półmroku podłogi wyłonił się Pikuś, który trafił tu sobie tylko wiadomymi drogami. Zaczął obwąchiwać z nastroszonymi uszka mi wysokie, pokraczne nogi tych żózek, jakieś kubły, zworki opatrunków. Maszyny sapały miarowo mrugając słabymi światełkami.

- Kiedy zacząłeś drukować na emigracji i w podziemiu krajowym, artystyczne salony rządowe zachichotały szyderczo, że szukasz rekompensat, że podlizujesz się włownemu Zachodowi, że na polityce próbujesz zbudować swoją karierę literacką. Kiedy cię po nocach studenci powielali na hektografach, kiedy stare maniaczki stukały ukradkiem na maszynach twoje eseje, kiedy rozchodziły się twoje płody, twoje rozpaczliwe myśli i beznadziejne nadzieje, kiedy rozchodziły się po kraju w nakładzie kilkudziesięciu egzemplarzy, twoi koledzy, twoi wierni druhowie, stróże ogniska narodowego, westalki ojczystej watry, oni zagębiałi się w dwuznaczny ale popłatny flirt z bezmózgim reżimem. Parli do góry w kraju zgarniając forsę i uznanie, parli wwyż za granicą korzystając z reżimowego poparcia, dyplomacji, gotówki, z wielkiej machiny państwa. Oni mrugali znacząco w wolnym świecie, że reprezentują siłę moralną uciemiężonego kraju, że tę siłę moralną tworzą i jej przewodzą. A tobie, biedaku średniowiecznego wychowa, a tobie nie szczędzili kopniaków ani jedni, ani drudzy. Naciskasz dźwignię zamykającą twój los. I z jakim saldem? Czy ktoś wypiękniał w tych naszych kazamatach prócz mnie? Czy ktoś wskoczył w ogień, żeby zgrzeszyć i obrazić Pana Boga prócz mnie?

Pikuś siadł po środku sali. Nie patrzył na mnie, nie patrzył na u mierających. Podniósł głowę i wbił oczy jak paciorki w zielonkawą sufit z kafelków, w zielonkawą kolor beznadziejnej nadziei.

- Masz słuszność, szantażysto, że umierasz. Pomykasz chyłkiem jak hudaraulik, który nie potrafił zreperować kranu. Świat się wyrównał. Nie ma złych i dobrych. Jest wielki, nieszczęsny tłum depczący sobie po nogach. Wysychy, wsiąkły w piasek zapomnienia źródła ożywcze niedyślatejszej moralności. Nie ma skąd czerpać, nie ma tego miejsca, gdzie można się orzeźwić. Nie ma przykładu, nie ma natchnienia. Jest noc. Noc obojętności, noc apatii, noc chaosu.

Na stoliku pod nieczynną lampą stoi kalendarz biurowy. Żółkły, z zagętymi rogami, pokreślony czyjąś ręką. Wskazuje datę 22 lipca 1979 roku, jeszcze jedną datę z wielu dat, które nas osaczają.

- Za wcześniej umierasz, Hubercie. Oni wszyscy, świadomi lokaje czasu albo historii, oni wszyscy czekają na twoją głowę. Oni żądają, abyś się przed nimi korzył i przyznał im rację. Oni skalp z twojej głowy chcą zawiesić na piersi, jak jeszcze jeden order. A może ty już się ukorzyłeś? Może płacisz życiem za kapitulację?

Gipsowe nogi Huberta drżały leciutko. Poza prześcieradła zsuwała się wolno ukazując owłosione, martwe łydki. Gdzieś stuknęły drzwi, ale Pikuś nie zmienił pozycji na środku sali. Z przekrzywioną głową pa-

trzyli w sufit albo w coś, cc było nad sufitem.

- Hubercie, byliśmy sobie najdalsi i najbliżsi. Byłoby mi źle bez ciebie na ziemi. Tobie byłoby źle beze mnie na tamtych świecie. Pora się żegnać na krótką chwilę, na mgnienie martwego oka Pana Boga.

Wstałem, podszedłem do wezgiowia. Maszyny miotają nie za mocno tą szpakowatą głową o twarzy ściętej bólem albo oczekiwaniem. Schyliłem się, dotknąłem ustami zimnego i mokrego czoła. Nie miałem na to ochoty, ale wiedziałem, że tak trzeba.

Wtedy Pikus zaczął wyć. Wył jak do księżycyca do tych zielonych kafli nadziei. A ja, czemuś, bałem się mu zabronić tego wycia. Więc ze ściśniętym sercem słucałem żalobnego hymnu psa Pikusia, który zginął i odnalazł się niespodzianie.

Korytarzem ktoś nadchodził chwiejnie. To był młody doktor w nieswieżym fartuchu. Widocznie wyrwaliśmy go ze snu, bo ziewał serdecznie, aż mu trzeszczało w szczękach.

- Kto panu pozwolił? Do tego jeszcze z psem? - zionął we mnie odorem farmaceutycznego spirytusu. - To jest sala reanimacyjna.

- Pan widzi ten kalendarz? - spytałem.

- Widzę - odparł zdziwiony.

- Czy to dzisiejsza data?

- A bo ja wiem? Musi pan opuścić salę.

- Przyszędłem pożegnać się z kolegą. To był prorok. Chciał nas wyprowadzić z domu niewoli.

- Który to?

- Ten po środku.

- Acha. Mówiąc bez ogródek, te maszyny stwarzają pozór życia. On już daleko. Pan rozumie.

- Nie, to nie był prorok. To był może uczciwy człowiek, a może marniak. To był skromny wyrzut sumienia, a może majak sumienia, który nam się widzi od czasu do czasu w naszych oczach. Po prostu oddarty kawałek naszego wspólnego życiorysu. Ach, jak boli mnie głowa.

- Mnie też boli - pocieszył doktor. - I słusznie, bo co by to było, gdyby po kielichu nie bolała.

- Tak, w końcu, gdzieś w nieznanym końcu musi być sprawiedliwość, nie?

- Ja go nie będę męczył, choć go już nic nie boli - młody doktor pokazał stłamszonego Huberta. - O siódmej odłaczę.

Pikus trochę przycichł, skamlał boleśnie spoglądając w naszą stronę.

- A nie mógłby pan o ósmej?

Lekarz połaskotał Huberta w sztywne stopy i spojrział trzeźwo w moje oczy.

- Pan ma jeszcze nadzieję?

- Nie. Ale bardzo mi zależy, żeby o ósmej.

- Szkoda aparatury.

- Bardzo pana proszę. To niewielka prośba. Może los panu wynagrodzi.

- Powiada pan o ósmej?

- Tak. Punktualnie.

- No dobrze. Nastawię budzik. Ale proszę stąd iść. Pies pewnie pchły zostawił.

Wypchał nas na korytarz, zatrzasnął drzwi i sam schronił się do dyżurki. Popatrzyłem jeszcze przez szybę z odciskami palców jak w komisariacie milicji, więc popatrzyłem jeszcze na te trzy fotele-katafalki w aureoli brzasku światełek sygnalizacyjnych.

- Tak ci miałem wiele do powiedzenia. Wydawało mi się, że o życiu, ale okazuje się, że tylko o sobie. O sobie w tobie. Albo raczej o tobie we mnie. Jak rozplątać moje własne, że tak powiem, hormonalne rozpacze i niespełnienia, z ogólnymi, powszechnymi, które mi zaszczepił mój czas, mój okrucich historii? Żebrzę o sprawiedliwość, a ile razy sam byłem sprawiedliwy? Wołam o porządek moralny, a przez ile lat go deptałem? Wyję ze skargą do Boga, a czy wierzę w niego tak, jak trzeba wierzyć?

Machnąłem ręką. Ktoś krzyczał gdzieś w głębi szpitala. Czerwone

światło zachodu wypełniło szczelnie korytarz.

- Powtarzam się. Ty to wszystko wiesz. I mnie także już nudzi. Przepraszam.

Odszedłem kilka kroków w głąb korytarza, tu stanąłem tknięty zią myślą.

- I pogrzeb chwalebny ci zabiorą. Ja ci zabiorę, twój przypadkowy brat. Przepraszam.

Pikuś prowadził bezbłędnie. Już zapamiętał drogę. Mineliśmy kilka korytarzy wypełnionych łózkami z ciężej chorymi, weszliśmy do niechlujnego hallu.

- A benzyna? - spytałem sam siebie. - Jest, gaworzy beżkotliwym głosem w niebieskim kanistrze.

Mój testament. Moje hojne zapisy dla bliźnich. Beznadziejna epoka w dziejach. Nie, nie epoka. Chwila, sekunda, jakich zdarzyło się wiele. Było życie przed nami, będzie życie po nas. Raz lepsze, raz gorsze. Może jutro lepsze. Wystarczy jeden niedostrzegalny wstrząs, drobne tąpnięcie w misternym wszechświecie psychologii współczesnych, w tym gigantycznym banku zbiorowej wrażliwości. Epidemia złego samopoczucia, powszechnej depresji, totalnej niewiary - nagle przychodzą i nagle znikają jakby zmiecione życiodajnym wiatrem stoniecznym. Żle trafiliśmy, nie do tego przedziału w nieskończonym ciągu czasu albo istnienia.

Ciało mamy zwierzęcia, lecz aspiracje boskie. Hormony przekroczyły barierę postawione im przez biologię, przez prawo świata zwierząt. Hormony nasze produkują enzymy głodów nie do zaspokojenia, marzeń nie do zrealizowania, tęsknot nie do zagłuszenia. I ja w samym gąszczu z wielką pustą głową, ze wzdętym sercem bez krwi, z rozrzedzoną duszą antymaterii. Zmęczony sobą i swoim czasem. Zmęczony ograniczeniem, niemocą, nieopomowianiem. Ja - przeciętna statystyczna Wielkiego Rachunku.

Co zapisać żywym oprócz niespłaconych długów? Wielkie testamenty intelektualne idą do archiwów nie doczytane do końca. Podniebne apele moralne stają się słowami piosenek. Więc moja czułość chyżkiem pomyka ku tym różnym ofermom, nieudałotom, fajtkapom. Chciałbym szeptać im na ucho dobrą radę, chciałbym ich skrzepić słowem otuchy, zagrzać do oporu wobec przeznaczenia.

Słuchajcie, bracia biedacy. Podejdźcie bliżej i nadstawcie ucha, bo powiem znowu o sprawach wstydliwych, których lepiej, żeby nie było, a które przecież są. Chodźcie tutaj, niedorajdy, co się męczycie po nocach z żonami i kochankami. Czytałem wasze listy w rubrykach porad seksuologicznych. Skarżycie się, że małżonki i konkubiny niezadowolone, że narzekają, że wysmiewają. Pytacie, obłani straszny rumieńcem hańby męskiej, jak to przedłużyć, jak nad tym panować, jak doprowadzić do szczęśliwego końca.

A chcieliście, moje szybkie zajączki, błyskawiczne króliki, przynajmniej w nocnej ciszy zaimponować męskością, charakterem, sukcesem? Więc zapytajcie mnie, lubieżnego starca. Nie szukajcie ratunku u seksuologów, którym żony rypią wszyscy koledzy i znajomi.

Przede wszystkim doradzam upór i wytrwałość. Nie ma mocnych w tej konkurencji, są tylko wytrwali i pracowici. Trzeba się starać o każdej porze, z rana i po obiedzie, wieczorem i o świtanu, a los w jakimś momencie sownie wynagrodzi. Na tym polu, polu właściwie bitewnym jest tak, że sukces rodzi sukces. Że pierwsze zwycięstwo powoduje łańcuch następnych zwycięstw.

Jak w każdej sztuce i tu obowiązuje adeptów rzetelna pokora. Osobnik skromny, nie liczący na łatwy sukces, przygotowany na doraźne klęski ma więcej szans od typka zadufanego, egocentrycznego, żadnego natychmiastowych laurów. Pokorni i robotni wynieśli na wyżyny trudną sztukę miłości.



Pięknym czasem do podejmowania ryzyka jest czas kaca, zmiekkzonego już, złagodniałego kaca wieczornego, o tej porze leniwej, podszytej metafizycznym lękiem, wielu przeciętnych z natury zawodników osiągało wielkie wyniki. Wódka jest kapryśna i nieobliczalna. Kac łaskawy, dobroduszny i dopingujący.

Ta sztuka różni się od innych tym, że nie toleruje efekciarstwa, pyśszalkowatych popisów i zwykłej hucpy. Nie wolno startować dla popisu, żeby się pochwalił czy zaimponować. Jeśli nie musisz, nie zaczynaj. Jeśli możesz uniknąć starcia, unikaj. Tylko pojedynki nieuniknione, którym błogosławią niebiosa, wieńczy powodzenie.

Chciałbym tu przytoczyć przepis mego przyjaciela Zdzisława M. Jest to metoda sprawdzona naukowo i na ogół niezawodna. Otóż Zdzisio udzielił następującej rady swojemu koleźce aktorowi, znanemu z pośpiechu w tych rzeczach: żeby nad sprawą panować, musisz głowę czymś zająć, myśleć o abstrakcji. Na przykład dobrze jest powtarzać w pamięci jakiś tekst. Tobie, jako aktorowi, przyjdzie to bez trudności. Który tekst, stosunkowo długi, mógłbyś sobie cichcem recytować? - Może "Pana Tadeusza"? - spytał nieśmiało aktor. - Bardzo dobrze - pochwalił Zdzisio. - Dwanaście ksiąg. Dobry dystans. - Po tygodniu spotykają się przypadkiem. - No i co? - pyta Zdzisio. - Szło doskonale, ale przy "gdzie panięskim ruinieciem dziećielina pała" wypadło mi słówko, zapomniałem tekstu - rzecze aktor. - No i katastrofa.

Ćwiczmy więc przede wszystkim pamięć.

Oto i podjazd. A horyzont wygląda jak piec hutniczy. Będzie jutro wiatr, może nawet huragan. Jutro będzie dla żywych.

- Powtarzam się - szepnąłem. - Powtarzam się, bo sytuacja się powtarza. Ta sama sytuacja każdego dnia.

- Pan ze sobą rozmawia? - usłyszałem czyjś głos.

Odwrociłem się w stronę Alej, gdzie na północy wyryły się z widnokręgu czarne chmury. Przede mną stał Sacher z nieodstępną teczka. Pierwszy zmierzch przycisnął fanatyczne światła w oczach starca.

- Coraz mniej mam życzliwych rozmówców.

- Otóż to. Pan wchodzi czy wychodzi?

- Wychodzę.

- No to wejdziemy na moment. Bo ja tu do przyjaciela z dawnych lat, starego rewolucjonisty i starego uparciucha. Należy mu się klinika rządowa, a on chyliłem hyc między lud słaabujący i tu wreszcie jest szczęśliwy.

- Mnie się wydaje - powiedziałem szyderczo, - że go dzieci spławiły przez protekcję na mozołne i długie konanie.

- No wiecie, on jest w niezłej formie. Ho, ho, kawał byka. Ale może wstąpimy do hallu, bo wiaterek się odezwał? Wy, widzę, posłuchaliście mojej rady i spacerujecie po mieście.

Wciągnął mnie z powrotem do ponurego wnętrza pełnego szklanych kiosków, walących się przepierzeń i gmatwaniny nieaktualnych haseł.

Przyciągnął mnie ponownie za guzik kurtki. Patrzył pilnie w oczy.

- To wyście mnie wyrzucali z partii?

- Nie. Pan mnie i moich kolegów wyrzucił z partii.

- Możliwe. Popłatało mi się - rzekł zaferowany. - Ale ja mam do was jakiego instynktowne zaufanie. Wiecie - rozejrzał się podejrzliwie dokoła - piszę pamiętniki. Noszę je stale ze sobą, w tej teczce, bo mnie śledzą. Na zakupy, na spacer, do znajomych, wszędzie z teczka. Lękam się zostawić w domu. Włamią się i zniszczą. Słyszeliście o podobnych wypadkach!

- Wszyscy piszą i nikt nie czyta.

- Co, nie słyszę? - przyłożył dłoń do ucha, z którego sterczały krzaczki ślówch włosów.

- Może chwalił Bogu, że ktoś chce czytać. Rwie się do niedokończonego rękopisu. To dopiero pasja czytelnicza.

- Wiecie, potrzebuję oddanego człowieka. Na śmierć i życie. Do pilnowania manuskryptu. Tak sobie pomyślałem... tak pomyślałem przy obiedzie...

- Państwa robią się totalne, piłka nożna stała się totalna i cały świat już jest totalny. Dlaczego literatura nie miałaby być totalna?

- A może pan, młody człowieku? Będzie pan strzegł prawdy. Jednej prawdy o naszych czasach. Piszę teraz rozdział o Bogu. Bogu wzgardzonym przez partię. Studium rywalizacji dwóch bóstw. Wiwisekcja totalnej zawiści i nienawiści.

- Proza przy użyciu wszelkich dopuszczalnych i niedopuszczalnych środków. Wychodząca poza papier, puentująca się krwawym rozwiązaniem w życiu. Śmierć w maszynopisie jest martwa, w życiu żywa, wstrząsająca i prawdziwa. Co, staruszk, jaką prozę piszesz? Napatrzyłeś się ostateczności. Żadnych tam wchodów i zachodów słońca, żadnych migdałowych się parek, żadnych szlochów starych panien. Tylko spadające głowy. Harde, głupie, tchórzliwe, święte głowy lecące z szafotu. Pokaż swoją prozę, staruszk, zobaczymy, co tam nosisz w przefuszonej teczce.

- Precz! - szarpnął teczkę, wyrwijając mi z rąk. - Wy jesteście chorzy. Marsz z powrotem do szpitala!

- Zaraz, zaraz. Jestem poszukiwaczem prawdy. Spaceruję tam i z powrotem i szukam prawdziwej prawdy. Niech pan otworzy teczkę, która kiedyś nosiła wyroki śmierci. Powącham i będę wiedział jaka to prawda.

- Co wy ciągle z tą śmiercią? Co wy o niej wiecie, gówniarzu. Ja dziesięć lat siedząc w biurze politycznym czułem na szyi powróż, zaciskający się stryczek. Śmierć to moja siostra. Dopiero na starość wypuściła mnie z ramion, odeszła niedaleko i czeka.

- Boli mnie głowa. Wczoraj w nocy przez krótki moment wszystko rozumiałem. Od początku do końca. Niech pan spojrzy w niebo. Będzie gwiazdzista noc. Może zaczekać, może się powtórzy to objawienie, ten wstrząsający błysk pojmwania całości w skomplikowanej prostocie lub w prostej komplikacji?

- Ja nie wiem. Nadchodzi mój koniec świata.

- O przepaszam. To koniec mojego świata nadciąga.

- Muszę iść. Przyjaciel czeka. Poczytam mu pierwszy rozdział. Geneza jego i moja. Uspię go dobrym wspomnieniem, zanim odbiorą mi moją prawdę. Ja nauczyłem ich, jak to robić? Pan się myli.

- Antychryst. Nijakie przeniknięte nijakim daje zło. Cholera, co za chmury. Pan Bóg zamyka szyber albo raczej pokrywę. Zostawia nas sam na sam z nim, pan rozumie?

- Nie mam czasu. To znaczy, mam już mało czasu. Do widzenia, do widzenia - i pobiegł podrygującym, krzywym kroczkiem w głąb czarnego korytarza, gdzie zalani chorzy śpiewali nieprzyzwoite pieśni.

Pikuś wstrząśnięty krztynę patrzył na mnie wyczekująco. Na ulicy robiło się ciemno. Z północy waliły potężne, atramentowe chmury, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali.

- Idziemy, pieszku - potrząsałem kanistrem, tym moim sakwojażem pod różnym.

Pikuś szczechnął i ruszył w ciemność. Ale nie uszliśmy daleko. Ze skweru Starynkiewiczza wysunęło się ostrożnie kilka zgarbionych postaci.

- Ręce do góry! - zakomenderował jeden z nich i szturchnął mnie w bok obrzynkiem, czyli karabinem z uciętą lufą. Spostrzegłem, że inni mieli harcurskie noże przytroczone do modnych plecionych pasków. Unosiłem ręce, w tym prawą obciążoną kanistrem.

Dowódca przeszukał moje kieszenie i od razu skonfiskował gotówkę.

- A gdzie legitymacja partyjna? - zapytał groźnie.

- Nie należę do partii.

- Nie należy do partii - powtórzył sztycherco dowódca, chciał mnie zdzielić kolbą, lecz zrobiłem unik i zaczępił się obrzynkiem o kolegę.

- A wy kto jesteście, jeśli można wiedzieć? - spytałem.

- My jesteśmy partyzantka miejska. Pan nie słyszał?  
 - Coś jakbym słyszał. Ale chyba nie w Polsce.  
 - W Polsce, w Polsce. Jeszcze usłyszycie. Co tam pan niesie w kanistrze?

- Benzynę.

- Zaraz sprawdzimy. Proszę naprzód, tam, do miejskiego ustępu.

- Ależ on nieczynny od dziesiątego zjazdu.

- To nie szkodzi..

Zeszliśmy po schodach zawalonych doraźnym śmietnikiem. Oczywiście drzwi były zabite deskami, które ktoś skrupulatnie połamiał. Jeden z partyzantów zaświecił latarkę, inny otworzył hermetyczny kurek bańki.

- Benzyna. Rozpuszczalnik - stwierdził posępnie.

Teraz dowódca puścił mi strumień światła w oczy.

- Po co panu benzyna?

- Żeby oblać siebie i podpalić.

Zdetonowany zgasił latarkę.

- Co pan, zwarłowi?

- Chodźcie, bracia, razem się polejemy. Mam dobre szwedzkie zapalki. Schwyciłem dowódcę za kaptę, Usiłowałam wyrwać odzienie z moich rąk, ale trzymałem krzepko.

- Ratunku! - wrzasnął. - Psychiczny!

- Dajcie, chłopcy, kanister z łaski swojej. Facet tłusty jest, nada-  
 je się.

Ale słyszałem już tylko tupot nóg w gąszczu krzaków. Moja ofiara także rzuciła się do ucieczki. Nie zdołałem franta utrzymać. A latarka porzucona na schodach, świeciła prosto w czerniejące niebo. Odnalazłem kanister, podniosłem latarkę, która może się przydać. Przejrzałem kieszenie. Zabrali nawet ten szczątek "Trybuny Ludu", co go zdobyłem raniem.

- No i zagapiłeś się, Pikusiu, nie bronieś pana.

Zawstydzili się, skoczyli ze szczekaniem w krzaki.

- Daj spokój. Może oni chcieli dobrze. Może raczkują jak potrafiają.

Antycypst, dopust boży, już sam nie wiem, co. Położyłbym się i zasnął. Na zawsze.

Wtedy wylaził z ciemności Tadzio Skórka. Tym razem jakoś bez cytatu.

- No i co, łachmyto? - spytałem.

- Oni tam, w filtrach miejskich, mają swoją kryjówkę - pokazał czarne hałdy za placem Starynkiewicza. - Zwykła żulia. Pan da kanister. Pan zmęczony.

- A masz ty, ośle, kopię tego pisma do departamentu? Masz jakieś pokwitowanie, że złożyłeś wypowiedzenie pracy?

- Oczywiście.

- No to pokaż.

Zakręcił się, jął odpędzać niewidocznego komara.

- Nie wstydz się. Pokaż.

- Kiedy ja nie mam.

- To znaczy nie złożyłeś podania?

- Nie złożyłem - przyznał się bezwstydnie. - Ale jutro złożę.

- Widzisz, Tadzio, jaki ty jesteś. A ja już chciałem ci wierzyć.

- Przecież dziś święto. Wydział kadr nieczynny. Jutro wymówię, jak Boga kocham.

- To znaczy, że chodzisz z mną służbowo.

- Ależ skąd. Zupełnie prywatnie. Jako miłośnik pana prozy. Pana ostatniej relacji. Totalnej noweli.

Stado jakichś ptaków leśnych przeleciało w popłochu. Coraz więcej dzikich zwierząt garnęło się do dziczejących miast.

- Jestem młody - rzekł cicho Tadzio. - Mam dużo sił. No i pana doświadczenie za sobą. Nie popełnię pana błędów. Kupię ryżę papieru i wyjadę jutro do Starogardu. Za rok wszyscy o mnie posłyszą. Ja dokończę pana dzieło.

- Ty jesteś straszna pokraka. Ja to mam szczęście.

- Jestem straszna pokraka - przyznał rzeczowo. - I to jest mój numer. Pan był o krok od pokraczności, ale Panu Bogu zadrażała ręka z liłości. Resztę pan sam wykonał. Całe życie ukrywał pan swoją pokraczność grając estetycznego pana. Ale ja pana pomszczę. Nas obu pomszczę.

- Diabli wiedza. Może faktycznie byłem lekliwy. I teraz się boję, lękam się wyglądu, obawiam wzgardy. Pycha mi tylko dopisała.

- Ja też jestem pyszny - rzekł spokojnie Tadzio. - Może nawet pysniejszy od pana. Dlatego pozwalał panu na te wszystkie niewybredne obelgi. Pana pycha już zostanie na-zawsze głodna, a ja swoją nakarmię. Zaświeciłem w niego latarką. Stał z kanistrem wyprostowany, godny i nawet nie mrużył oczu przed światłem. Przez chwilę wydało mi się, nie wiedzieć czemu, że chyba ma rację. Jakaś swą nieodgadnioną rację. Nawet Pikus wytrzeszczał na niego zielone, fosforyzujące oczy.

Zupełnia już byłem zagubiony. Głowa bolała przeraźliwie, jakby mi ktoś skreślił kark. Głowa bolała, bo to było dla niej najlepsze wyjście. Gdzieś w górze otworzyło się okno, młoda kobieta chlusnęła czymś na chodnik. Przez moment zaczerwieniły się z wyszarzałej bieli framugi jej długie włosy. Ale to nie była Nadzieжда i nie miała ta młoda kobieta czerwonych włosów. Lampa naftowa w czerwonym abażurze zaświeciła w okno czerwienią jak w dawnych czasach, kiedy rodził się ten mój kiepski świat.

Poszedłem w stronę Alei, a oni za mną. Po drugiej stronie ulicy zaczynały się ogródki działkowe założone na dawnym parkingu samochodowym. A ten parking pod koniec lat siedemdziesiątych wybudowano na gigantycznej płycie przykrywającej tunel Dworca Centralnego. Osłabła mania samochodowa, parking zlikwidowano i uprzywilejowani zaczęli zwozić na tę betonową płytę ciężarówki ogrodniczej ziemi, jeśli sadzić drzewa owocowe, pomidory i kapustę. O ile warzywa rosły wśmienicie na tej piaszkiej skale i wyrównywały państwowy deficyt w dziedzinie zieleniny, o tyle jabłonki, grusze, śliwy okazały się krapkowane, nie chciały rosnąć pośrodku zrezygnowanego miasta. To znaczy rosły, ale niechętnie, bez przekonania i żadne z tych drzew nie przekroczyło wysokości półtora metra. Dlatego właściciele działek, żeby ukryć się przed natrętnym wzrokiem gapiów, musieli permanentnie kucnąć. Stąd też zapewne powstała nazwa Kuczki, którą ochrzczono tę dzielnicę.

Od strony Starego Dworca toczył się zakasami gazik milicyjny z jedną osłepłą latarnią. Przyhamował koło nas. Z wnętrza wychylił się podchmielony milicjant.

- Może podrzucić pana? Drogo nie weźmiemy.

Za jego plecami ktoś leżał bezwładnie w półmroku budy oświetlonej słabo przez zegary kontrolne tablicy.

- Nie mam gotówki. Chuligani odebrali.

- Nie trzeba się szwendać po bocznych ulicach. Mogę podrzucić jakiś fant.

- Dziękuję. Mam niedaleko. Idę się zabawić pod Pałac.

Milicjant usztywnił się natychmiast. Obejrzał mnie od stóp do głów. Ale wtedy zza jego pleców wyrzała błada, nieprzytomna twarz żorża.

- Bierzcie go! - wycharczał. - On chce podpalić miasto. To Antychryst.

Milicjant objął żorża, zaczął go upychać we wnętrzu gazika.

- Spokojnie, pułkowniku. Proszę nie podnosić głowy, bo znowu zrobi się niedobrze.

- Łajdacy! Ja was jutro zgnoję! Baczność! Ruki po szwam!

Teraz milczący dotąd kierowca odwrócił się, dzielił pułkownika pięścią przez łeb.

- Patrz, kurcze, jaki poliglota - powiedział i zapuścił motor.

Nasz milicjant zaśmiał się ugodowo przykładając dwa palce do daszka czapki.

- Dogodził sobie. No ale to przecież święto. Każdy ma prawo, nie?

- Każdy ma u nas prawo do kielicha - zgodziłem się.

- Dlatego daje się żyć.

- Dlatego można żyć aż do śmierci.
- Gazik odjechał skręcając w stronę Mokotowa. Milczeliśmy dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się zamysłony Tadzio ze Starogardu:
- Widział pan, jak poniewierają człowiekiem. Całe ministerstwo trzęsie się przed nim.
- Dziś oni poniewierają, jutro on będzie poniewierał.
- Dawno mu się awans na generała należy, ale lubi wypić i trochę porozrabiać. Artystyczna natura.
- Tak, za dużo artystów.
- No bo artyści wymyślili to wszystko. Zna pan wierszyk Stalina o włości?

Przeszliśmy na drugą stronę szerokiej, pustej ulicy. Płytkim rynsztokiem gnała spieniona woda z pękniętej gdzieś rury. Pikuś zainteresował się pożamany ogrodzeniem. Wąchał pilnie zardzewiałe słupki i podnosił co chwila nogę.

- Znałem ten wierszyk na pamięć, ale teraz zapomniałem - rzekł Tadzio przekładając kanister z ręki do ręki.
- Mojej prozy zacząłeś się uczyć.
- A żeby pan wiedział. To zabawne, zdarzają się wam podobne porównania w opisach przyrody.

Nie podjąłem dyskusji. W ogródkach działkowych było ciemno. Między lilipucimi drzewami stały malutkie altanki zamknięte na głucho. Ale gdzieś w głębi chybała jakiś pływak. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że na jednej działce pali się ognisko, wokół którego siedzą jakieś skulone postacie. Dopiero tu odczuliśmy wieczorny, zimny wiatr. Leciał z północnego zachodu niosąc na plecach to ogromne rumowisko złowróżbnych chmur.

Zaraz, zaraz. Przecież miałem kiedyś dzieciństwo, młodość. Dzieciństwo i młodość na innej planecie. Co się stało z taką planetą podobną do ziemi, po której stąpam, i tak zupełnie niepodobną? Gdybym się wysilił, tobym jednak przypomniał, jak czynikiem to nie wiadomo po co podczas tyłu bezsennych nocy. Lampa naftowa, ognisko z marnym, rozpełzającym się po łakach dymem, wiatr gnający straszne chmury po niebie jeszcze nikomu nie znanym. Strach nocny przed życiem, które czeka gdzieś za górami, lasami, powolne miasteczko, co będzie istnieć wiecznie do najbliższej wojny, pacierz dziadków, różaniec groźnych i pięknych zaklęć ułożonych z podniosłych niezrozumiałości, pociąg gwiżdżący o tych samych porach dnia, miłość do dziewczyny z jeszcze innej planety, bo wtedy dziewczyny pochodziły z innych, tajemniczych planet, zwierzęca, przerażająca tęsknota do kobiecego ciała, w którym mieszkał szatan, i anioł białoskrzydły, tęsknota za przyszyłym, niezwykłym życiem, jakieś przejmujące nastroje w błądzeniu po lesie, jakieś niezapomniane zapachy maciejki i swobodnych dzikich ziół, jakieś burze, co zwiastowały każdego lata koniec świata, jakieś smutki, jakieś raptowne nadzieje i wesołości, jakieś przerażenie wobec magicznej jasnowłosej głowy księżycy z fałszywymi rysami dobrodusznego demona. Gdzie ta moja planeta okryta szczerze atmosferą drobnych przeczuć, małych radości, kruchych nadziei? Może leci jak gołąb wśród dalekich i obcych galaktyk.

Dlatego się męczyłem tyle lat? Bo ja się męczyłem nie tylko mozym życiem, ale i jego radościami. Bo ja się męczyłem patrząc na przejmującą piękny wschód słońca i kochając rozpaczliwie pożądaną kobietę. Męczyłem się odbierając z rąk losu ulotny sukces i modląc się z wdzięcznością do Boga. Męczyłem się nawet w snach, kiedy odrywałem się od ziemi i żeglowałem ku dalekim wyspom przyobiecane go raj. Ale ze mną męczyli się wszyscy inni ludzie, z wyjątkiem tych, co się nie męczyli. A w tym męczeniu się najbardziej dokuczliwa była męka świadomości, że to wszystko banalne, dawno już odkryte i przeżyte przez umarłe pokolenia, seryjne i powtarzalne, jak z genetycznej sztancy. Że wszechświat wypełnił się do samego końca jękami podobnymi do sie-

bie, jak dwie nuty, że utworzyły te poszczególne jęki jeden wielki jęk podobny do wizu sejmikujących wróbił i stał się ten jęk szumem międzygwiazdowym, niedostrzegalnym stękanem starzejącego się kosmosu.

- Hej - odezwał się ktoś za ogrodzeniem.
- Hej - powiedziałem.
- Dlaczego się spóźniłeś?
- Ja się spóźniłem?
- Widzisz, zapomniałeś, Ktoś jest z tobą?
- Młody poeta i pies.
- To wejście. Czekamy.

Przeleźliśmy dziurawie ogrodzenie. Za metrową śliwą stała Lucyna w starym płaszczu i w kapeluszu z piórami. Przebrana za dziewczynę sprzed dwudziestu lat.

- Pieczemy własne kartofle z działki, wróżymy z węgla i wspominamy Kazia. Bo to dzisiaj rocznica naszego ślubu.

- Twojego z Kaziem?
- Mojego z Kaziem. Nie pamiętasz.

Pamiętałem, że Kazio nie żyje od lat. Wzięła mnie za rękę, poprowadziła do ogniska. Szliśmy alejką wąską jak kładka między ogrodami wielkości klatek na ptaki. Od Pałacu Kultury szedł fioletowy, jakby do biskawicy, która zamarła na wieki, blask reflektorów wojskowych. Mijałiśmy krzaczki porzeczek, zagajniki malin, mogliki grządek z kalafiorami, marchewką, czosnkiem. Mijałiśmy drzewka, na których nie zmieszczyłby się nawet gołąb, ale które rodziły zminiaturyzowane owoce, każde podparte gałązką lub zeschniętym badylem. Weszliśmy w ciepły krąg ogniska, z którego wiatr porывał iskry i niósł je w gęstniejącą ciemność.

- Ja właściwie się spieszę, która godzina?
- Młoda godzina. Dochodzi siódma. Patrz, poznajesz?

Wokół ogniska siedziało kilkanaście kobiet. I wydało mi się, że śnię i że we śnie robię grzeszny rachunek sumienia. Bo były to wszystkie kobiety, które kiedyś kochałem i z którymi, wstyd powiedzieć, żyłem. Jedne kochałem dramatycznie i namiętnie, inne kochałem, bo tak wyszło i nie wypadało inaczej, a jeszcze inne kochałem naiwnie, z obawą i oszczędnie, jakbym zażywał zdradliwego eliksiru. Żyłem też z nimi rozmaicie, po całym kraju i w niektórych zakątkach Europy, czasem z sukcesem, częściej z kląpą, albo sam nie wiem do dzisiaj jak.

Patrzę na nie z nabożną zgrozą. A to wszystko wdowy, rozwódki, stare panny z bujną przeszłością. Chwała Bogu, że jedna nie wie o drugiej całej prawdy, więc może uniknę zdemaskowania i lynchu. Ale za coś tu linczować po tylu latach, których być może nawet nie było.

Kłaniam się lekko dostrzegalnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- Siadaj - mówi Ula, która miała kiedyś piersi bez brodawek, piękny biust obdarzony indywidualnością.

Siadam mocno stremowany na zimnym kamuszu. Pikuś wywalił jęzor za moimi plecami i dyszy ciekawością. A Tadzio ze Stawogardu już prawł Małgosi prymitywne komplementy, których ona słucha z zachwytem.

- Masz, to twoja porcja - rzecze Rena, z którą przed laty słabo poszło, i podaje mi szklaneczkę napełnioną po balaski. - Czekająca na ciebie, aż wystygła.

- No to za Kaziłczka - salutuje swoim zwyczajem Lucyna.

- I za ciebie - powiadam. Nie powinienem pić, ale wypiję. One są już na luzie. Kilka obalonych flaszek poniewiera się między krzakami. Boże, spraw, żeby nie wracały do przeszłości, żeby darowały te meandry aluzji, fajerwerki niewczesnych skojarzeń. Pałac Kultury świeci nieprzyzwyczajenie tym swoim wzrodem w niskie chmurne niebo. Nad Wisłą rozprysła się pierwsza próbna rakietą.

- Widziałam ciebie niedawno na ulicy - powiada Lidka, którą włóczyłem kiedyś po wszystkich powiatowych hotelach.

- Tak, chodzę czasami po ulicach.

Z mroku wyłania się twarz Kasia.

- Dlaczego chowasz się w kąt? Chodź tu do nas. Dostaniesz gorące kartofla.

A ta Kasia to miała taki apetyt, że omal <sup>nie</sup> mnie wpędziła w gruźlicę. Ciągle jej było mało. Ludzie, ja je naprawdę kochałem, bom sentymentalny i powolny instynktom natury. Nie ma nic zdrożnego w tych blyskach mojej zawstydzonej pamięci. Życie było po prostu życiem.

- Może zaśpiewajmy - proponuje Ola, która miała złote włosy i ozarne futerko. Zaciskam powieki, żeby już nic sobie nie przypominać.

- Zgłupiała. Zaraz przyleci milicja. Dziś nie wolno śpiewać prywatnie.

Na szczęście wiatr coraz częściej zagłada do tego minigrodu. Szamocąc drzewami, jakby były prawdziwe, porywa liście i niesie je w stronę słabo oświetlonego dworca.

- Masz jakąś dziewczynę? - pyta Rysia, o której lepiej nie wspomnę.

- Daj spokój - powiadam. - Straszna noc nadchodzi.

Schyla się, całuje mnie koło ucha.

- Bardzo ciebie lubiłam.

- I ja ciebie też.

- Powiedziałaś to tak jakoś zdawkowo.

Wybawia mnie z kłopotu Tadzio. Pije na ty z Lucyną. Całują się skromnie, ale ja już niczemu nie wierzę.

- Śniłeś mi się kiedyś - woła przez skąpy ogień Kasia.

- Oho, w jakiejś to sytuacji? - pyta któraś.

- A nie powiem, zgadnijcie.

- Dziewczyny, za wasze zdrowie - podnoszę nie dopitą szklankę.

- On oszukuje. Dolejcie mu, baby.

- Fakt, jedyny nasz mężczyzna.

- A ja? - wtrąca się rozszuchwalony Tadzio.

- Ty jesteś za młody. Siedź cicho.

- Ja za młody? Ja wam zaraz pokażę.

Z ciemności wychodzi Hania, która dla mnie chciała sobie odebrać życie. Tak samo tajemnicza i histeryczna jak wtedy.

- Hej - wita mnie.

- Hej.

- Podobno zrobiłeś karierę. Ludzie po biurach szepczą o tobie w czasie przerw śniadaniowych.

- Może mnie mylą z kimś innym.

- Zawsze udawałeś skromnego.

- Daj spokój.

- Boisz się wspomnień. No miej odwagę, powiedz: odejdziesz, stara babo.

- Świetnie wyglądasz, słowo daję.

- Byłeś zawsze świnią, ale cię lubię.

Robi mi się gorąco, brakuje trochę powietrza, choć wiatr wieje tego, niesie tony ożywczego ozonu.

- Może zagramy o niego? - proponuje trochę za głośno Kasia. Bode wzrokiem ciemność, żeby sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Ale miasto drzemie świątecznie podbite. Kiedy wiatr ucicha, przebija się od Wisły słaby, anemiczny głos orkiestr, które z estrad bawią wiodząc gów i lunatyków. Z wieży Pałacu leci raptem ziom piaskowca obrywając girlandę żarówek. To znaczy, że idzie zmiana pogody.

Któraś z moich byłych dziewcząt rzuciła kartoflem. Przerzucam z dłoni na dłoń nie dopieczzonego ziemniaka z rakowatymi naroślami. Krajowy. Moim dziewczynom słabo się wiedzie.

- To co? Zagramy o tego jedynego mężczyznę?

- Ale w co?

- Szkoda fatygi.

- Może w butelkę?

- Ja rezygnuję.

- Ja go biorę bez butelki.

- A figę. Dlaczego ty?

- No to grajmy.
  - Tadzio, poszukaj butelki.
  - Ani mi się śni. Ja też jestem do zagrania. Mam swoje lata.
  - Nie rozśmieszaj mnie.
  - Gdzież ta butelka?
  - Poczekajcie, trzeba go zapytać. Może sam już wybrał którąś.
  - On nie wybierze. Nieśmiały. Niezdecydowany.
  - A skąd go tak dobrze znasz?
  - Opowiadała mi przyjaciółka.
  - Nie wygłupiajcie się, Lucyna płacze.
  - Nie płacze, tylko popiół jej wpadł do oka.
  - No to co, gramy? Boże, jak nudno.
  - Ja też miałam ciężki dzień.
  - Coraz ciężej żyć.
  - Z rana popatrzyłam w lustro.
  - Lepiej nie patrzeć.
  - Och, gdzie nasi chłopcy.
  - To już minęło, przepadło.
  - Dlaczego? Ja się czuję młoda.
  - A Glenia ma trzydziestoletniego.
  - Ja już nie mam siły.
  - Przestańcie. Dostyc tego narzekania. Wypijmy, dziewczyny.
  - Za naszą młodość.
  - Przecież jesteśmy młode.
  - Czego, głupia, beczysz?
  - A ty czemu ryczysz?
  - Puścił mi tusz w rzesach.
  - A mnie wszystko puściło.
  - To gramy o niego?
  - Protestuję. Co to, baby, mamy grać o przybłądę? Miał nas i szedł dalej. Głupia Lucyna pobiegła za nim.
  - Kaziczek go kochał.
  - Ja go też kochałam.
  - To dziwne, bo ja też.
  - Niemożliwe, co wy opowiadacie?
  - Może powiesz, że ty nie? Całe miasto plotkowało.
  - To jest dobry gagatek.
  - Kawał świntucha.
  - Z jedną kończył, z drugą zaczynał.
  - Z dwiema na raz romansował. Co ja, głupia, żeż wylałam.
  - Wiecie, damy mu łupnia.
  - Za naszą i waszą krzywdę.
- Już kilka z nich powstało chwiejnie od ogniska. Rena wyłamywała gałąź z uschniętej jabłoni.
- Za jaką krzywdę? - spytałem podnosząc się z kamienia. - Dziewczyny przecież ja się starałem. Chciałem was kochać jak nikt na świecie. Może gdyby nie wy, dziś byłbym Szekspirem. Tak, to prawda. Dla was zmarotrawiłem pół życia.
  - Bezczelny.
  - Robi nam jeszcze wymówki.
  - No, tego już za wiele.
  - Niech idzie do diabła.

Wyciągnąłem z ognia żagiew, jak pochodnia. Trochę dla efektu, trochę dla obrony. Wiatr szarpał niczym skrawkiem jedwabiu skąpym płomieniem.

- Moje kochane, najdroższe. Jeszcze cała noc przed nami. Przypomnijcie sobie te wiosny, lata, jesienie, a nawet zimy. Poranki, godziny obiadowe i wieczory. Jedwabne pościele, mchy leśne i zakamarki kuchenne. Rozważcie wszystko sprawiedliwie i dopiero potem wydajcie wyrok samosądu.



- Ja go przecież prawie nie znam - odezwała się po chwili Rena.

+ A ja go znałam tylko z widzenia - dodała Rysia.

- Więcej dymu niż ognia.

- Wypłjmy nasze dziewczynińskie.

- Aby do włosny.

- Aby do Nowego Roku.

- Aby do jutra.

Odłożyłem nieznacznie zwęgloną gałąź. Ostrożnie, krok za krokiem skryłem się za niską gruszę. I jakby w lesie na grzybach, przykurczony do ziemi, parłem na drugi brzeg ogrodów. A kiedy krzaki i drzewka zakryły już ognisko i ziębnące moje dziewczyny, wyprostowałem się, byłem wolny.

- Hej - powiedział ktoś cichym głosem.

- Hej!

Podeszła do mnie, smukła w ciemnościach, piękna w ciemnościach, młoda w ciemnościach. Ujęła moją twarz w obie dłonie, jakby chciała się przyjrzeć w świetle nagłej kłuny, co wyjrzała spodziędzy rozdartych chmur.

- Ja kocham ciebie do dziś - szepnęła,

- A kto ty jesteś?

- Twoja dawna dziewczyna.

Usiłowałem rozpoznać ją po głosie, lecz odzywała się przecież szep-tem. A szep-tem jest tylko echem głosu.

- I ja ciebie kocham.

- Przypomnisz mnie czasem między innymi i nie wiesz, że to ja.

Pocałowała mnie w usta młodymi ustami.

- Wiesz, odchodzę.

- Wiedziałam, że odejdiesz.

- Odchodzę na drugi brzeg.

- Co ty mówisz? Co się stało?

- Taka wynikła konieczność.

- Co to znaczy?

- Że skończyły się żarty. Moje żarty.

- Żi- śniłam ciebie. Niosłeś do mnie małe dziecko. Ani twoje, ani moje.

- Będę ciebie pamiętał na zawsze.

- Przecież nie wiesz, kto ja jestem.

- Będę ciebie pamiętał młoda, tajemniczą, przyściennoną letnim zmierzchem, jak słowiańska madonna. Chcesz?

- Dobrze, taką mnie pamiętaj.

- I ty mnie dobrze wspominaj.

- Będę zawsze wspomiwała.

- Jeśli ci coś dałem.

- I jeśli ja ci coś mogłam dać.

Pocałowaliśmy się długo i serdecznie, jak dwoje skrzywdzonych ludzi. Wiatr latał już po ogrodzie w jesiennym szaleństwie, zrywał daszki z altanek, przewracał resztki ogrodzenia, wył sztucznym głosem w duktach alejek.

- Hej - powiedziała.

- Hej.

I już jej nie było. Postąłem chwilę zbierając myśli. Głowa jakby trochę napęczniała i opuchła po tej szklaneczce damskiego bimbru. Ruszyłem się na północ, przecinając wąwóz skarłałego ogrodu.

To nieprawda. Ja pamiętam stale o Nadziei. Na tym gruzowisku miłości albo miłostek majączy mi przed oczami posąg Nadziei. Z rozwianymi czerwonymi włosami, z wyciągniętą ku mnie ręką, z otwartymi do krzyku ustami. Strasznie mi czegoś żal. Co to jest? Co się stało w ostatnich godzinach przed ostatnią nocą?

Nic się nie stało. Mam wielu świadków łącznie z nauką biologii, że nic nie mogło się stać. Spotkałem przypadkowo dziewczynę, której w ogóle mogłem nie spotkać. Dziewczynę o czerwonych włosach po rzekomym

dziadku, dziewczynę przy kości, białoskórą, z pełnymi, szerokimi ustami, z jednym okiem seledynowym, a drugim niebieskawo-fiołkowym, ze sporadycznym zezem rozbieżnym, wagi około pięćdziesięciu ośmiu kilogramów. Pięćdziesiąt osiem kilo wody z dodatkiem wapna, fosforu, żelaza oraz niewielkiej ilości innych minerałów. Pięćdziesiąt osiem kilo wody oraz szczypty pierwiastków z tablicy jej rodaka Mendelejewa. Dziesięć wiader wody ożywionych przez wielką ewolucję albo przez naszego zaściankowego Boga. Nic się nie stało. Sparzyliśmy się przypadkiem gnani przez animalny instynkt w ustronnej ruinie, na splugawionych pijaństwem schodach. Wprowadziłem w jej organ rodny swój organ rodny, ona zawisała na zeszywniałych nogach o milimetr nad spaloną posadzką, rytmicznie rozgarniała bezwładnymi stopami kruchy złom tynku walający się po podłodze. Spod pleców sypało się wapno, w jej ciele zachodziła pospieszna reakcja chemiczno-elektryczna, wokół jej ciała wytwarzało się swoiste pole magnetyczne, które współdziałało z moim obszarem bioprawd. Potem nastąpił umowny rozkurcz systemów nerwowych i nic się nie stało, nic się nie stało.

Rozeszliśmy się swoimi ścieżkami w dżungli, która usycha i pustynnieje przed zagaładą. Może już nigdy się nie spotkamy i nasze niespotkania również nic nie znaczą jak nasze sparzenia się pojedyncze albo wielokrotne. Nic się nie stało. Chwała Bogu, że nic się nie stało. To nieprawda. Coś się jednak stało. Ona szła ku mnie z miliona przypadków omijając miliony alternatyw i ja szedłem ku niej podobnym sposobem. Wiele gwiazd zapaliło się i zgasło w tym czasie, kiedy zśliśmy sobie naprzeciw. Wiele małych wszechświatów urodziło się i skończyło, zanim spotkaliśmy się w domu przeznaczonym na rozbiórkę, w którym leży sparaliżowany kombatant wielkiej wojny albo wojen następnych, co wstrząsają rytmicznie naszym miniaturowym globem. Żadne nic się nie stało.

Stało się fatalnie. W ostatniej chwili. Może wskoczyć do mysiej dziury na tym omentarzysku? Uwić gniazdko, w którym już nic się nie urodzi? Och Nadziejo, moja Nadziejo.

- Hej - usłyszałem przed sobą. - Nie zgubił pan banki?

Tadzio i Pikuś stali na błotnistej, rozjeżdżonej drodze koło parkanów okalających rozpoczęte i zaniechane budowy. Miała tu urosnąć kiedyś dzielnica wleźowców. Niektóre urosły nie do końca, inne umarły w embrionalnym stadium.

- No i co? - spytałem sam siebie.

- Zakochała się we mnie.

- Kto.

- Lucyna. Nie jadę do Starogardu, bo umówiłem się jutro na randkę.

- Tadziu, ty jesteś straszna oferta.

- Niech pan liczy się ze słowami. Jeszcze się okaże, kto jest ofertą. Miałem trzy żony, wszystkie sekretarze. Połowę partii wypieprzyłem w Starogardzie.

- Może się już rozstaniemy? Czy musisz za mną chodzić?

Muszę. Zbieram materiały do wielkiego reportażu o panu ostatniej drodze. Uczynię pana nieśmiertelnym.

Obszedłem go z lewej strony po chodniczku ze zmurszałych desek. Nie znałem nigdy dobrze tej dzielnicy, ale wiedziałem, że trafię. Od lat wieczorem nie zapalano tu lamp z wielu względów, a przede wszystkim z oszczędności.

- Jeśli ma pan jakieś notatki, rozpoczęte prozy albo ciekawe listy, niech mi je pan zostawi - dogadywał z tyłu Tadzio Skórko. Pikuś wysłował się do przodu, prowadził mnie umiejętnie przez bezdroża. Musiałem sobie przyswiecać latarką.

Wreszcie zobaczyłem ludzi siedzących na betonowych rurach. Niektórzy z nich trzymali feretrony i chorągwie kościelne. Kilka dziewcząt biało ubranych osłaniało przed wiatrem płomyki zabytkowych świec z wosku. Obok nich stały nosiarki z gipsową figurą świętego. Mruczeli wszyscy sennymi głosami powolną pieśń religijną.

- Zgasić światło! Nie oślepiac? - usłyszałem dziwnie znajomy głos. Pikuś zaczął merdać przyjaźnie, ja schowałem do kieszeni zdobyczną latarkę.

- Kogo ja widzę? - z ciemności wyłonił się Kolka Nachałow z podbitym okiem. - Co wy tu robicie, muszkietierowie?

- Wracamy z bankietu. Może się tam wybierzesz? Panienki czekają w ogródkach działkowych.

- A nie, nie mogę. Idę w nocy z pielgrzymką do Częstochowy.

- Przechrzciłeś się Kolka? Kiedy? Może Szmidowie ciebie nawrócili?

- A nie, jestem ateistą. Spotkałem kolegę z organizacji młodzieżowej. On jest dziś za księdza. Prowadzi pielgrzymkę i ma zbiórowy paszport. Przyłączyłem się, bo w Częstochowie będą rozbiierać hutę imienia Bieruta. Teraz u nas wielka koniunktura na huty. Chcesz piec konwertorowy?

Z mroku stale ktoś wychodził chyłkiem i opowiedziawszy się księdzu przytaczał się do oczekujących wiernych.

- Ziutek, pozwól na chwilę - zawołał Kolka.

Młody ksiądz z brewiarzem, ksiądz o przeźroczyście oczach, które choć nie patrzą, wszystko szczegółowo widzą, więc ten ksiądz z nowego naboju podszedł do nas bez pośpiechu.

- Poznajcie się. Koledzy z bankietu, ale niewinnego. Może ich poślęgiawisz, bo błagają się po nocy jak grzeszne dusze.

- Kolka, biorę ciebie pod warunkiem, że zachowasz się przyzwoicie. Mam nadkomplet, mogą być przykrości.

Wymieniliśmy ukłony. Ksiądz nieznacznie, ale z uwagą przyjrzał się Tadziovi.

- Może po kielichu? - zaproponował Kolka trącając palcem wzdętą marynarkę na piersiach. Pewnie zwędził fiaskę z KC.

- Później. W drodze. Ostrzegam ciebie, Kolka. Wierni patrzą - rzekł surowo młody ksiądz.

- No to życzymy szczęśliwej podróży - powiedziałem.

- Wzajemnie - rzekł Kolka, a ksiądz ukłonił się z powagą.

Minęliśmy punkt zborny pielgrzymki, ruszyliśmy w stronę ulicy Świętokrzyskiej. Z boku stał wielki biały słupek Pałacu Kultury.

- Znam skądś tego księdza - rzekł Tadzio. - Moi rodzice byli religijni. Ja to nie bardzo. Czasem wierzę, czasem nie wierzę. A ten, co się rozebrał na zjeździe, to podobno chciał marksizm połączyć z religią.

Gdzieś z rozległych przestrzeni nadleciał wicher i omal nas nie przewrócił. Wstrząsnął mną raptowny chłód. Może mam gorączkę? Mogę mieć gorączkę. Wszystko jedno.

Przekroczyliśmy Świętokrzyską. W czarnych pagórkach miasta podgrywała orkiestra. Gigantofony umilkły, tylko wiatr przygwizdywał w ich męrtwych zakratowanych bebechach. Czy zauważyliście, jakie wielkie koło zataczam wokół tego wybielonego przez reflektory Pałacu kuszącego się z kamiennych płyt niczym gigantyczna ryba? Jak go nie spuszczaam z oczu, jak go pilnuję i zarazem utrzymuję dystans? Przechywałem od lat, że to mój grobowiec.

Oto i dom Jana. Przedpotopowa kamienica, ale zdrowsza od tych nowych. W oknach trupie widmo mojego Pałacu. Dom drzemie. Wszystkie domy o tej porze drzemią. Ludzie także drzemią. Oprócz tych, którym nie wolno, którzy muszą się bawić i świętować.

- Poczekajcie na mnie chwilę - powiadam do swojej świty.

- Kiedy zimno. Dostanę kataru - mówi Tadzio. - A umówiłem się na randkę z Lucyną. Wie pan, ona na mnie działa. Szykowna kobieta, chociaż na ogół mam wstręt do wdów.

- Schowajcie się do klatki schodowej - komenderuję.

Ale na schodach zatrzymuje nas emeryt z samoobrony lokatorów.

- Do pana Jana - powiadam.

- Tego na pierwszym piętrze?

- Tak. Zgadł pan.

- Wszyscy?

- Nie, oni poczekają.

- Ale prosimy o spokój. Tam często są hałasy. Jacyś ludzie przychodzą, niby porządni, a potem krzyki i śpiewy.

- Ja tylko na moment.

- Proszę pamiętać, że o dziewiątej barykadujemy bramę.

Wspinam się na pierwsze piętro. Wszędzie cuchnie uryną, choć dom strzeżony przez samoobronę lokatorów. Dzwonię do tych znajomych drzwi, do których dzwoniłem tyle razy w życiu.

Otwiera listonosz w czapce służbowej na głowie.

- Nie zamknięte - mówi. - Czy pan może domownik?

- Przyjaciel.

Prowadzi mnie do gabinetu Jana. Ściana nad biurkiem obwieszona fotografiami oraz pocztówkami. Fotografie przyjaciół i dziewcząt z różnych pokoleń, które kochały się w Janie albo które Jan kiedyś po długiej drodze kochał. Na pocztówkach widoczki osobliwych miast i osobliwych zakątków świata, które odwiedzili jego przyjaciele albo które on sam odwiedził. Stare dziwaczne rachunki, nieaktualne już listy od znanych instytucji, od słynnych ludzi. Wielkie archiwum człowieka, który pisał się do elity światowej i nigdy się do niej naprawdę nie dostał. Pośrodku pokoju syczy elektryczny nawilżacz powietrza, bo Jan cierpi na astmę.

- Wie pan, mam kłopot - odzywa się listonosz. - Przyniosłem rentę, a przynoszę specjalnie pod wieczór, gdyż mistrz śpi zwykle do obiadu. No i trzeba nieszczęścia, że mistrz chyba niezdrów, zamknął się w łazience i nie wychodzi. Stukam, pukam, perswaduję. Bez skutku.

- Może ja odbiorę.

Listonosz przygląda mi się pełen wątpliwości.

- A pan kto?

- Przyjaciel. Bliski przyjaciel. Nie widział mnie pan tutaj?

- Może i widziałem. Ale to duża renta, dla zasłużonych. Przeszło milion złotych.

Spostrzegam telewizor otwarty pod oknem. Wielki kolorowy telewizor, który przysłał Janowi przyjaciele z Zachodu, kiedy Zachód miał jeszcze co przysłać. Na ekranie w pełnej gali kolorów znowu prezydium zjazdu i znowu dzieci. Teraz są dzieci nocne, a rano były dzieci ranne. Dzieci nocne obwiązują szyje dostojników czerwonymi chustami, choć dostojnicy są już obwiązani przez dzieci poranne. Każdy uczestnik prezydium bierze swoje dziecko na ręce i całuje w usta. A niektóre z dzieci to już piersiaste dziewczyny. Najbujniejszą kobietkę otrzymał sekretarz-gość. Ma już mętne oczy, bo gołnał sobie w czasie przerwy, ma też minę pedala, jakąś taką obrażoną po pedalsku minę, ale musi nasze dziecko z niezłym cymem całować w usta. Obraz idzie niemo. Ktoś wyłączył dźwięk, bo wszędzie wyłącza się dźwięk podczas takich transmisji.

- Może pokażę panu dowód? - pytam zafrasowanego listonosza, który ma ochotę pozbyć się kłopotliwej gotówki.

- Ale podpisze się pan jego nazwiskiem?

- Oczywiście. Nieraz już podpisywałem.

Sprawdza mój dowód zerkając na kanister. Kanister, nie wiedzieć czemu, przeważa wątpliwości.

- Niech pan pisze - powiada listonosz z westchnieniem.

Potem odlicza milion dwieście tysięcy złotych w nowych banknotach obficie śliniąc palce.

- Szkoda człowieka - mruży do siebie. - Dawniej to był porządny dom. Ale jak uciekła żona, ta aktorka, to różni się tu zaczęli schodzić. Niby, mówią, artyści. Ja znam artystów. Mój szwagier porcelaną klei. Póki trzeźwy, nie znajdziesz pan większego artysty, ale kiedy dopadnie gorzały, to koniec świata. Niech pan przeliczy z łaski swojej.

Udaje, że liczę szybko. Na biurku w maszynie do pisania wetknięta kartka z kilkoma rzędkami liter. Widzę także różne rozpoczęte rękopisy, nie dokończone rysunki, nawet papier nutowy. Bo Jan uprawia wiele sztuk. Zu-

pełnie jak Leonardo da Vinci. W małych krajach wielcy artyści są wszechstronni. Im mniejszy kraj, tym większa wszechstronność.

- W porządku - mówię i jeden tysiączek wtykam w twardą reumatyczną dłoń funkcjonariusza pocztowego.

- Uprzejmie dziękuję - rzecze z ulgą, bo przeczuł we mnie pana, a taki nie połasi się na mały grosz. - Życzę dobrej nocy.

Wychodzę, a ja zamykam drzwi na klucz. Ileż dni i nocy spędziłem w tym domu, który raz był zasobny, bogaty, z koniakami, łososiami, dzierzyną, a innym razem ubożuchny, na ostatnich nogach, z czysciochą, pieczonym boczkami i gotowanym bobem. Teraz ten pokój stoi przede mną obnażony, pełen wstydu. Mogę zajrzeć do rękopisów, mogę otworzyć szufladę "biurka", mogę schować do kieszeni pieniądze.

Jan był naszym starcem Zosią. Bo rzeczywiście nikt go nie znał młodym. Może w ogóle nie miał młodości. Może zjawił się na ziemi od razu jako siwiutki, suchy, starszy pan z ogromnym czołem, na którym z powodzeniem można zmieścić sporą nowelę albo nastrojowy pejzaż wiejski. Do Jana przychodziło się po wsparcie moralne, po kieliszek wódki albo po komplement. Nikt nigdy nic nie przyniósł do Jana, wszyscy zawsze coś od niego wynosili.

Podchodzę do drzwi łazienki, stukam delikatnie.

- Janie, to ja.

Cisza, nawet woda nie zastęka w rurach.

- Janie, przyszedłem się pożegnać.

Łazienka jakby zasypała gruzem. Jedyne z tyłu za oknem miota się wicher z wyciem, jękami, tupaniem.

Naciśkam klamkę. Drzwi nie są zamknięte od wewnątrz. Uchylają się z łagodnym skrzypieniem. Na krawędzi wanny chybocze płomyk świecy wypalony prawie do końca. Wielkie sopele stearyny zwisają aż do podłogi. Pewnie żarówka się przepaliła w tym domu chyłącym się ku ruinie.

Wchodzę na jakies szmaty, które walają się na podłodze. Dopiero teraz widzę, że Jan leży w wannie. Ma na sobie tylko koszulę, trochę zardarta tak, iż widać pod nią żałosne przyrodzenie starego człowieka. Bezwładne ręce dotykają przykurczonych nóg oblanych jakimś płynem, może lekarstwem, a może resztką słodkiej wódki.

I Jan patrzy na mnie spod przymkniętych powiek. Patrzy, ale nie reaguje. Ani się cieszy, ani wstydzi, ani martwi.

- Jak się masz, Janie. Odpoczywasz? - pytam, żeby jakoś nатуralnie tę nienaturalną sytuację. On milczy, ale wyraźnie patrzy mi tymi kosymi szpareczkami wprost w oczy.

Pochylam się nad nim.

- Źle się czujesz?

On lekko przeczy głową. Siadam więc na krawędzi wanny obok filującej czarną sadzą świecy.

- Może potrzebujesz pomocy?

Patrzy nieruchomo na mnie. Na policzki i brodę wylaży biały, chudy zarost. Płomyk w piecyku gazowym przedrzeźnia ogienek świecy. Szamoczą się oba każdy po swojemu.

- Wiesz, Janie, mam przed sobą straszną decyzję.

Zaczyna poruszać spieczonymi wargami. Dopiero teraz spostrzegam, że ściana wanny za nim oblepiona jest rzygowinami. Jakąś okropną substancją z żołądka karmionego jedynie alkoholem.

Wszluchuję się w jego szept i słyszę:

- Zabłądziliśmy w wielkim lesie nikczemności narodów i pojedynczych ludzi.

- Jasiu, dlaczego zabijasz się tak okrutnie, na raty przez całe lata?

- A ty?

- Ja kuszę los od czasu do czasu. Kiedy przychodzi najgorsza godzina.

- Ziemia, totalny rozpad. Nieustanna wieczna agonია. Rozwlekła śmierć. Planeta śmierci.

- Janie, my wszyscy z ciebie. Karmiłeś nas, ogrzewałeś, uczyłeś przez wieki. Co się stało?

Tyle lat bałem się Jana. Każdy swój uczynek, zanim go uczyniłem, w myślach przedstawiałem mu do aprobaty. Ile razy mówiłem tak, myślałem o Janie, ile razy mówiłem nie, widziałem przed sobą twarz Jana. A teraz już się nie musiałem lękać. Leżał przede mną nagi, splugawiony, wyzuty z człowieczeństwa. Nawet bez tego najżałośniejszego dostojenstwa, dostojenstwa śmierci.

- Jasiu, chcę się zerwać do ostatniego lotu, żeby spać w lodowatą przepaść. Widzisz ten kanister? To benzyna. Pójdę pod Pałac Kultury, bo już się zdecydowałem, i tam w bólu dokonam żywota. Ja, mandata-riusz głupich i mądrych, chytrych i naiwnych, kombinatorów i świętych. Powiedz, czy warto? Czy nie szkoda mego nędznego życia dla wspa-niałych idei?

Usiłował przełknąć ślinę. Unosiłem mu głowę z tymi srebrnymi włosami, które lepiły się jak sierść myszy.

- Historia - wyszeptał - historia z bliska jest odrażająca, głupia, Dopiero z odległości jest tragiczna, piękna i majestatyczna.

- Co mam zrobić, Janku?

Dźwignął z trudem powieki, ale i tak widziałem tylko skrawki czerwonych, chorych gałek oczu. Patrzył intensywnie, jakby przemacając w sobie ogromny ból. Kiedyś był także pyszny. Pyszniejszy od nas wszystkich. Niedobitki ludzi w moim kraju ciągle jeszcze czekają na jego słowo.

- Ktoś musi przerwać letarg, Janie. Dzikim krzykiem obudzić drze-miacych.

Usiłuje skinać głowę. U sąsiadów spuszczają wodę w łazience. Mały wodosпад przelatuje rurami koło skroni tego starca, który nigdy nie był starcem, choć go nikt nie znał młodzieńcem.

Sam dziwiąc się sobie podnoszę jego mokrą, brudną rękę z przeraźliwie długimi palcami. Całuję wiotką skórę dłoni. Rękę, puszczonea przeze mnie, leci po ścianie wanny, aż znajduje swoje miejsce na pod-dartej koszuli obok pachwiny porośniętej zielonkawym włosom.

- Do zobaczenia, Janie. Módl się, jeśli potrafisz, jeśli rozjaśni ci się umysł, jeśli dobry anioł przyjdzie do ciebie nad ranem ze złą nowiną.

Knot świecy przewrócił się do kałuży stearyny. Niedługo zgaśnie. Niech zgaśnie.

Przymykam drzwi łazienki zostawiając sporą szparę: niech Jan widzi swój pokój, swoją celę skazańca i niech ci, co może przyjdą, odnajdą naszego starca Zosimę.

Chcę jeszcze raz obejrzeć i zapamiętać na zawsze mały wszechświat Jana. Jego książki we wszystkich językach, książki, których nikt nie czytał, fotosty filmów, które zrobiły kłapę w kinach studyjnych pięciu kontynentów, płótna obrazów do dziś nie wystawionych na widok publiczny. Pustawe ściany przeznaczone na wawrzyny, których nikt nie zesłał z nieba.

Wtedy zadzwonił telefon i to było dziwne, ponieważ nie pamiętałem, żeby w tym domu był telefon. Ale stał obok telewizora na parapecie okiennym i terkotał ponaglająco.

Zdjąłem słuchawkę.

- Halo?

- Czy to numer 8713? - spytał ktoś nie najlepszą polszczyzną.

- Tak - spojrzałem na tekturkę przyklepioną do pudła aparatu. Zga-dza się.

- Mogę rozmawiać z właścicielem?

- Niestety, jest ciężko chory.

- A pan kto?

- Jestem jego przyjacielem.

- Acha, rozumiem. Tu mówi Krulick, starszy publicysta z Associated Press. Chciałem zapytać, co słychać dziś w Warszawie?

- Nic ciekawego. Małe świąteczne zamieszki.

- Acha, rozumiem. To tak jak u nas. Małe codzienne zamieszki. Dzię-kuję. Do widzenia panu.

- Dobranoc.

Odkożyłem słuchawkę. Trzeba było się spieszyć. Przewodniczący obrad zjazdu czytał telegramy powitalne, które mu podawano z wielkiej sterty. Niedługo odśpiewają Międzynarodówkę i pojadą na bankiet ufundowany z oszczędności naszej partii.

Ale znowu zadzwonił telefon.

- Halo?

- Z jakim numerem pan rozmawiał? - zapytał nerwowy, agresywny głos męski.

- Bóg raczy wiedzieć. Ja wiem tylko, że z Ameryką.

- To i my wiemy. Proszę podać dokładny numer, bo wyłączymy telefon aż do odwołania.

- A wyłączajcie i powieście go sobie na Pytasińskim.

- Na czym?

- Na pycie.

Coś zgrzytnęło przeraźliwie w membranie, a ja położyłem słuchawkę na widełkach. Za oknem bez firanek, za gołą szybą, poznaczoną ospowatymi śladami kropel deszczu, leżało cichutko skulone miasto. Gdybym wyteżył wzrok, mógłbym zobaczyć Żoliborz i Bielany, wielką przestrzeń marnych, koślawo pobudowanych domów i zdziczałej zieleni. Bo to miasto budowano przez wieki pod knutem i to miasto palił każdy, kto miał ochotę. A ja to miasto słabo kocham, nie tak mocno, jak te sfory lokajskich artystów, co kochają mocno, do szaleństwa, kochają za pieniądze wyciągane od sentymentalnych mieszkańców, którzy muszą kochać swoje miasto, bo nie mają nic innego do kochania, i za pieniądze wyciągane od chytrej partii, która utożsamia się z miastem, państwem i Panem Bogiem.

Gdzieś tam w otchłani nocy umiera Ukraina, kona Litwa, wydaje ostatnie tchnienie Białoruś, w daleką podróż do rajy Mahometa odchodzi Tartaria. Gdzieś tam na trzęsawiskach, na rojstach małej jak atom ziemi umierają ludzie i konają przedwcześnie nieszczęśliwe narody. Dzwon miedzygwieżdny bije na Anioł Pański. Serce kosmosu bije na alarm.

Schodzę na dół, gdzie przy drzwiach wejściowych czekają na mnie Tadzio i Pikuś.

- Kończy się jeszcze jedna nieskończoność. Przemija kolejna wieczność - cytuję na powitanie chłopiec w podeszłym wieku ze Starogardu.

- Ale skostnieliśmy. Pan widzi, co się dzieje?

Widzę i oczom nie wierzę. Z nieba lecą rzadkie płatki śniegu. Po upalnym, dusznym popołudniu nadciąga krótka nocna zima. Pikuś goni te szybujące wolno śnieżynki, które mu przypominają wesołe pieskie Boże Narodzenie.

Tadzio przysuwa się do mnie konfidencjonalnie, bierze nieśmiało za rękaw.

- Ja wiem - szeptce ze zgrozą - ja wszystko wiem. Pan chce się targnąć na swoje życie z powodu braku powodzenia.

Gdzieś na sąsiedniej ulicy coś zawaliło się z grobowym łoskotem. Ale, na szczęście, bez ofiar, bo nie słychać ludzkiego krzyku.

- Ja pana pomszczę.

Wchodzę bez słowa do ceglanej zagrody na pojemniki ze śmieciami, których nikt już nie wywozi. Pod piramidą cuchnących odpadków wynajduję zdrową cegłę.

- Tadzio, pozwól tu na chwilę.

Zaciekawiony poeta ze Starogardu wchodzi ufnie do tego śmierzącego krematorium. Odstawiam bankę, przytrzymuję Tadzia za mokry kołnierz kurteczki.

- O co chodzi? - stara się oswobodzić z mojego uchwytu.

- Wiesz co, wiesz co - rzekę z namysłem - postanowiłem na końcu zabić ciebie. Możesz krzyczeć do woli. Nikt nawet nie wyjrzy przez okno. Mam tu czerstwą cegłę. Dobry warszawski ogłuszacz. Przerwiemy naukowo twoje marne życie.

- Pan żartuje. Pan lubi zabijać w powieściach.
- Nie, Tadziu, nie żartuję. Dosyć wyobraźni, dosyć fikcji. Popełniny zwykłą banalną zbrodnię.
- Widzi pan, ja nie krzyczę, nie chwytam pana za gardło. Pan robi przymiarke.
- Nie. Patrz, podnoszę cegłę do góry, zaraz roztrzaskam twoje piegowate czoło. Zobaczysz, jak to wygląda w życiu, naprawdę.
- Tadzio patrzył bez lęku na szczerbatą cegłę, którą trzymał nad jego głową.
- Mam ochotę, mam straszną chętkę, żeby skusić los. Aż mi jakieś oiarki idą po plecach. I potem zaraz się spotkamy, dobrze? Będę czekał na pana pięćdziesiąt kilometrów dokładnie ponad szpicem Pałacu Kultury, tam gdzie kończy się definitywnie nasza atmosfera, nasza mała ziemskość. Ale pan tego nie robi, bo dwa tysiące lat temu pewien młody Aramejczyk powiedział do swoich okrutnych współczesnych: miał zabijać na ofiarę jagnię, sąsiada albo swojego brata, ziół ofiarę z samego siebie. We mnie jest siedem atomów Antychrysta, ale w panu co najmniej siedemdziesiąt siedem.
- Patrz, Tadziu, jak łatwo zabić człowieka. Za pół roku w czynie społecznym wywieziono by ciebie razem ze śmieciami do podmiejskiego lasku, gdzie rosną ostatnie psie grzyby i ostatnie trujące trawy. Jak łatwo jest przerwać cudze istnienie.
- A swoje własne?
- Wyjął z mojej ręki tę cegłę, zważył ją na dłoni.
- Zabiorę ze sobą na pamiątkę. To będzie mój talizman. Ręś stryozka. Może pan głodny? Mam dwie kostki cukru.
- Co ty bredzisz?
- Powiniennem otrzeć pana twarz. Ale nie mam chusty.
- To była ostatnia stacja naszej męki?
- Tak. Przed nami ołtarz ofiarny - pokazał ręką bielejący w zadymie wysoki do nieba ikonostas Pałacu.
- Dlaczego ciebie nie zabiłem, kiedy mogłem zabić?
- Ja nie mam w kieszeniach srebrników. Moim honorarium będzie pięć ston prozy, jeśli po drodze nie ukradną tematu, Pan wie, jak to dzieć bywa. Ja pracuję w pocie czoła od rana, prowadzę pana niczym ślepcę ku przeznaczeniu, a w ostatniej chwili wyskoczy jakaś sprytna menda i podbierze puentę, ostatnie przesłanie, całą metaforę.
- Tadziu, daruję ci życie.
- Dobrze, dobrze. Już czas. Nie wolno się spóźnić.
- Ruszyliśmy szybkim krokiem na przełaj w stronę Pałacu Kultury. Musiałem poszukać w kieszeniach latarki, żeby poświecić na tych bezdrożach. Pikuś przeczekał dyskretnie nasze ceregiele i biegł teraz żwawo przede mną wybierając bezpieczną drogę. Śnieg gęstniał coraz bardziej.
- Wtedy zaczęła nas jakaś zafrasowana kobiecina.
- Panowie nie wiedzą, gdzie tu jest zbiórka pielgrzymki do Częstochowy?
- Głos wydał mi się znajomy. Zaświeciłem jej w oczy na krótki moment. Zobaczyłem wielką głowę porytą energicznymi zmarszczkami i rozmazaną na wszystkie strony oblicza jaskrawą zminkę.
- Niedaleko, pani Gosiu. Trzeba pójść w prawo, tam gdzie te nie dokończone wieżowce.
- A to pan - rzekła bez zdziwienia. - Ładna zabawa, nie ma co. Ten cham mnie nadużył. Jestem zbeszczeszczona. Za moje własne pieniądze.
- Ale ksiądz, który prowadzi pielgrzymkę, też wygląda podejrzanie.
- To nie szkodzi. Ksiądz może fałszywy, byle pokuta była prawdziwa. Pan ma jakiś występ przed Pałacem?
- Kto pani powiedział?
- Już nie pamiętam. Moja biedna głowa. Tyle przykrości naraz. A pan wie, jaka tam droga do Częstochowy? Połowa trasy to pustynia po tych różnych kopalniach odkrywkowych. Obniżyli wody gruntowe, zrujnowali ekologię, wszędzie wydmy i dzikie psy. Dawniej szło się tydzień, a te-



raz może nawet do Nowego Roku będziemy pielgrzymować. Jestem zbankrutowana.

- Proszę pomodlić się i za moją duszę.

- Nie wiem, czy swoją odkupię. A to cham, a jakże ma zdrowie. Ledwo z życiem uszłam.

Oddaliła się bez pożegnania przeklinając kuchmistrza-pułkownika. Póki chciał zaszczezać, ale zrezygnował. Wyszczrzył tylko swoje niezbyt ładne zęby i warczał patrząc w ciemność.

Byłe pokuta była prawdziwa. Oto nadchodził z ciemności Pałac Kultury świecący jak księżyc cudzym światłem reflektorów. Zbliża się do nas brnąc przez lotne obłoki zamieci. Już widzę wmontowane w atykę nad salą kongresową stalowe słupy, wielką palisadę, co ma chronić delegatów przed spadającymi niespodzianie wielkimi blokami okładziny z piaskowca. A na tej palisadzie rozpięto olbrzymią tęczę z kolorowych żarówek, która unosi na swoim łuku krwawy napis: "Zbudowaliśmy socjalizm".

Jeszcze mogę uciec w myślą norę. Jeszcze mam ostatnią chwilę czasu. Skryć się w jakąś dziurę, na przykład w Starogardzie, zmienić nazwisko, wstąpić do partii, założyć nową rodzinę. Uratować kilka lat dla Nadzieży, czyli Nadziei. Ale wtedy dopiero ją stracę. Umrze na moich rękach albo w moich myślach. Nadzieжда o wielkich piersiach, stepowy eliksir kobieceści, błogie ukojenie do którego tęskniłem całe życie. Bo dopiero teraz nagle zrozumiałem, co to jest tajemniczy pierwiastek feministyczny niesiony wiatrami słonecznymi z trzewi kosmosu. Spałem z półbabami, z półchłopami, pieściłem atrapy z białka, kochałem bezpieczniowe manekiny biologiczne. Chciałbym położyć głowę na łonie Nadziei i zasnąć na zawsze.

Przedemną szli tą samą ścieżką na stos buddyjscy mnisi, pewien Czech, jacyś Litwini. Przed nimi szli tą rozżarzoną steczką ludzie różnych ras, języków, religii. Dlaczego samobójstwo w samotności jest żądnym występkiem? Dlaczego samobójstwo publiczne w majestacie obrzędu jest wniebowstąpieniem? Dlaczego samotna śmierć z własnej ręki jest grzesznym łamaniem praw boskich, a śmierć na oczach bliźnich jest zwycięskim wyzwaniem Pana Boga?

Gdzie jesteście, dusze pokutne, bezsilnie towarzyszące nam w tej ziemskiej szamotaninie? Gadam z wami od rana, snuję opowieść będącą wielokrotnieniem powtórzeń. Powtarzam się niewolniczo, bo niewola powtarza się codziennie. Zanudziłem i was, dlatego w milczeniu czekacie na puentę, kiedy wejść między grzeszne, pokutne dusze, które przecieź nikogo nie straszą po nocach, których nikt żywy się nie lęka, które żywego nigdy jeszcze nie powstrzymały przed zbrodnią.

Nie wykonałem w swoim żywocie próż statecznych, epickich, obiektywnych, wszechogarniających, wieloznacznych i pojemnych, jak Biblia czy Korany. Mnie mój czas przymuszał do monotonii, do jednostajnego jęklivego bełkotu, do odpychającej historii, do pospiesznego bełkotu, do jednostronnych oskarżeń, do niepowabnej brzydoty. Mnie przymuszał, bezimiennego literata, nieznanego człowieka, doskonałą przeciętność schyłkowej epoki, przeciętność o rozwydrzonych ambicjach.

Stój, zatrzymaj się. Czy nie szkoda choćby tych kilku miesięcy albo paru marnych jesiennych dni, które ci może podarować los? Godzin podsypanych nadzieją, a nawet brakiem nadziei, bo brak nadziei też jest posępnym rodzajem nadziei. A może coś się zdarzy, na co czeka ziemia od milionów lat?

Jesteśmy już na placu Defilad. Przed nami wyszczerbiona kolumnada sali kongresowej. Wokół niej rozstawione reflektory skierowane na rząd drzwi wyjściowych albo może na tę kamienną platformę, która czeka na mnie jak ziemia rodzinna. Widzę dwie kamery podobne kuloniotom gotowym do rozstrzelania. A po środku rozstawionego taboru filmowego stoi Władysław Bułat w wielkim kożuchu. Odłożył wyjazd do Ameryki i ma rację. Będzie filmować wyjście delegatów, a sfilmuje moją śmierć. Tych kilkadziesiąt metrów taśmy naeksponowanych śmiercią człowieka uczyni go nieśmiertelnym.

Spostrzegam moich bliskich. Nadzieję z zarośniętym chłopcem, Rysia Szmidta, zaszępionego Cabana, z którym przemówiłem się, kiedy było jeszcze lato na dworze, spostrzegam także owego kłozarda z moich stron, mężczyznę w nieokreślonym wieku, z łysą czaszką, z łopaciastą brodą, z kijem pasterskim w rękę. Docent Edward Szmidt mycząc z rozkoszy szcza pośrodku tłumy, co ostatnio wchodzi w powszechny zwyczaj. Stoją zatem wszyscy w ażurowym półkolu gapiów, między aktywem demonstrantów, między delegacjami sennej ludności, między ruchliwymi jak wróbelki dziećmi. A przed tą publiczność wystawiono kilka monitorów transmitujących przebieg obrad. Właśnie powstaje prezydium, za nim sala. Zaczynają nierównymi głosami śpiewać Międzynarodówkę. Nasz sekretarz spleta dłoń z dłonią najwyższego sekretarza, który rządzi całym światem.

Ale kto naprawdę rządzi całym światem? Przecież ja jestem niewolnikiem, niewolnikiem jest nasz sekretarz i niewolnikiem jest ten władca imperium o lekko obrażonej twarzy kałmuka. Nami i całym światem rządzi biuro polityczne upiórów, jacejka wi dm, czerezwyczajka grzesznych trucheł Stalina, Dzierżyńskiego, Żdanowa, Berii i tych pozostałych skrytych w mroku cmentarnym.

Ktoś mnie obejmuje od tyłu. To Caban. Nic nie mówiąc całuje mnie w ramię, jak kiedyś całowali się Polacy. Potrzasa mną zeszytami w zięmna i odstepuje na bok. Podbiega Nadzieжда. Zaczyna szlochać czepiają się mego rękawa.

- Nie trzeba płakać. Teraz już nawet nie wolno - powiadam.

Jęk tej Międzynarodówki przebija się przez mury aż do nas. Wygląda jak skarga zamurowanych żywcem ludzi.

- Pójdę z tobą. Może ci będzie lżej - szepce przez łzy Nadzieжда.

- Nie, ty zostań. Ktoś musi zostać. Weźmiesz Pikusia, Psa wędrownika. On już wszystko o mnie wie.

Podchodzi ten młodzieniec zarośnięty jak apostoł Jan Chrzciciel.

- Proszę obnażyć przedramię - rozkazuje.

- Ale dlaczego? Dajcie mi teraz spokój.

- Marek zastępuje Halinę. Ją po południu aresztowano, a jego wypuszczono - szepce Nadzieжда.

Nim zdążyłem zaprotestować, podciągnął rękaw i wbił mi igłę pod skórę. Krzyknąłem niegłośno, a on już przyklepywał ślad po igle mokrym tamponem.

- Środek przeciw bólowi - poinformował.

- To już drugi zastrzyk dzisiaj.

Ona podnosi moją rękę. Całuje chłodnymi ustami skaleczone miejsce. Stój, zatrzymaj się, Czy nie szkoda tego marnego świata? Czy nie żal codziennych klęsk życiowych, nieudanych miłości, wiecznego lęku przed nieznanym?

- We mnie siedzą wszystkie pokutne dusze - szepce z tyłu Tazio. - Pan się rozgląda za nimi. Czekają na ich znak. To ja, to ja. Jak skrzyż podłogi w nocy, jak majak księżycowy, jak zdławiona krtań w strasznym śnie.

W monitorach cała sala spleciona łańcuchem dłoni śpiewa pieśń, która kiedyś, w młodości, była piękna, a na starość brzmi jak płacz niewolników. I nasz sekretarz śpiewa, ale jakby anemiczniej niż inni, robi przerwy, spogląda do tyłu, przełyka ślinę, wreszcie puszcza rękę radzieckiego sekretarza, puszcza swoją ostoję i zaczyna walić się na wznak, wprost na drugi rząd prezydium i już leci pod stół bezwładnie z wywróconymi martwo oczami. Lecz chwytają go od tyłu czujny szef jego osobistej obstawy, wielki jegomość o twarzy wieprza z dziwnie cienkim i spiczastym nosem, jakby ktoś długo ciągnął za ten organ. Łapie go pod ręce, doskakują inni, po krótkiej szarpaninie wloką go za kulisy. Jednak po drodze rezygnują, sadowią na wolnym fotelu i w tym momencie obraz sali znika, a pojawia się plansza z dwoma czerwonymi ptaszkami, z których jeden ma biały ogonek.

- On też w końcu zasiadł. Wszyscy słabną - odzywa się Rysio Szmidt.

- Słuchaj stary, żeby nie było nieporozumień. Pamiętasz, co mówił Edek o tej mojej książce reżimowej, z której ja żyję i opozycja żyje? To mój mandat karny, grzywna wymierzona wściekłemu państwu, kontrybucja ściągana przez niewolnika z ciemleżycieli.

Ktoś ze skonsternowanych widzów zaczyna skandować cienkim głosem:

- Polska! Polska! Wpiero! do przodu!

- Już czas - szeptem Caban.

- Nie, nie - zasłania mnie moja Nadzieja. Płacze rozpaczliwie, a ja gładzę ją po mokrych włosach, które za dnia są czerwone.

Śnieg sypie, jakby chciał załagodzić, znieczulić, uspić. Czarne miasto patrzy na mnie, niewidzącymi oczami. A jednak to moje miasto. Przysporzyło mi cierpienie i ja mu nie szczędziłem cierpienia. Miasto niewinnych grzeszników podobnych mnie grzesznemu.

Po mego życia trudach, jeśli  
Na jakieś względy zasłużyłem,  
Nie chcę, by moją trumnę nieśli  
Ci właśnie, których nie znosiłem.

Tak napisał do mnie przed śmiercią mój przyjaciel, mój opiekun, mój ojciec chrzestny, poeta Antoni S. Ponieśli go najbliżsi, i ja co niosłem. Włamię się do was gwałtem, na krótko przed terminem, jak mnie przyjmiecie, przyjaciele? Wejdę między was zwęglony, ze strasznym piętnem śmiertelnego grzechu na czole. Boże, z miłości do Twoich praw złamię to najświętsze Twoje prawo.

Jest kanister zroszony śniegiem jak łzami. Są zapałki w trzęsącej się dłoni. W głowie huczy, Wodospad rozsypanych myśli, lustrzane odpryski zdarzeń, śpiew jak jęk, jęk jak pieśń.

Rozpalają się wszystkie światła w półkolistej kolumnadzie. Agenci zaczynają otwierać ciężkie wierzaje od piekła albo nieba. Ruszyły kamery filmowe, mrugając czerwonymi oczkami lampek kontrolnych.

Całuję mocno usta Nadzieży, które rozwierają się w bezgłośnym szlochu. - Chcę je zamknąć swoimi wargami, żeby umilkły i nie przypominały nie dookończonych życia, nie dookończonych rojeń, nie dookończonych miłości.

Widzę kątem oka, że Tadzio klęka ciężko w roztopionym śniegu. Pikuś miota się w rozterce, chce biec za mną, ale jakaś nagła mądrość każe mu pozostać wśród żywych. Rysio Schmidt opuścił głowę, płatki niespodziewanego śniegu syją mu się za kołnierz. Caban podnosi rękę, jakby dawał znak, a może tylko błogosławił.

- Żegnaj, Nadziejo. Jeśli nie po mnie, to po którymś z następnych poetów, robotników czy studentów przyjdzie raptowna wolność, jak niespodziewany początek lata.

- Kochałam cię całe życie.

- I ja cię, miła, będę kochał tak długo, jak będę mógł.

Olśnienie olśnieniem. Tak, widzę, pamiętam wczorajsza noc. Nagłą świadomość na progu jesiennej albo letniej nocy. Raptowną, wszechogarniającą pewność, że to my, ludzie, ta płynąca znikąd do nikąd rzeka materii biologicznej, że to my stworzyliśmy Boga. Nie w siedem dni, ale przez wieki lodowców i tropików, przez wieki rodzących się kontynentów i wysychających mórz, przez wieki rozwoju półkul mózgowych i zamieranie skrzeli, przez wieki złe i dobre, przez ery ujawnione i okryte dotąd tajemnicą, przez całą naszą człowieczą wieczność stworzyliśmy mozołnie, z bólem, z męką naszego Boga, Boga miłosierdzia i dobra, aby nas uchronił przed złem wszechświata, kosmosu albo choćby tego niebieskiego nieba, które razi nas piorunami. Żeby nas uchronił przed nami.

Bóg istnieje. Bóg ulepiłony z naszych fal elektromagnetycznych albo jakichś innych, fal rozciąganych naszym cierpieniem, naszą rozpaczą, naszym gniewem. Bóg przeciw innym Bogom.

Bóg nasz potężniejszy, ogarnia najdalsze galaktyki, wreszcie zapanuje nad całym wszechświatem, naszym wszechświatem, bo nic nie wiemy o in-

nych-wszechświatach, i uczynił nas rodem wybranym z ziemi obiecanej.  
Bóg miłosierdzia. Bóg ludzi.

Zaczynam iść powoli ku tej platformie kamiennej wieńczącej niewysokie schody. Nogi stają się ciężkie i głowa ciąży ku ziemi, z której kiedyś powstałem i do której muszę z własnej woli wrócić. Ludzie, dodajcie mi sił. Ludzie, dodajcie sił każdemu na świecie, kto o tej porze idzie razem ze mną na całopalenie.  
Ludzie, dodajcie sił. Ludzie...

#### NOTA O AUTORZE

Tadeusz Konwicki urodził się w roku 1926, podczas wojny był żołnierzem Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, następnie przeniósł się na obecne tereny Polski. Debiutował w roku 1950 prozą reportażową "Przy budowie", później wydał m.in. powieści:  
"Rojsty" /1956/, "Dziura w niebie" /1959/, "Sennik współczesny" /1963/, "Wniebowstąpienie" /1967/, "Nic albo nic" /1971/, "Kronika wypadków miłosnych" /1974/, "Kalendarz i klepsydra" /1976/.  
Jest również scenarzystą i reżyserem filmowym, nakręcił:  
"Ostatni dzień lata", "Zaduszki", "Salto", "Jak daleko stąd, jak blisko". Laureat nagród krajowych i zagranicznych, Powieść "Kompleks polski", której nieokaleczone wydanie przez którekolwiek z oficjalnych wydawnictw krajowych okazało się niemożliwe, ogłosił w "Zapisie" nr 3 /lipiec 1977/. Najnowszą książkę - "Małą apokalipsę" - autor udostępnił "Zapisowi", nie składając jej uprzednio w wydawnictwach cenzurowanych.



**NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA** dąży do tego, aby wolne słowo nie stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyjnego.

**NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA** nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

**NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA** spełni swoje zadanie jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia. Jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu sprzętu i materiałów poligraficznych, pomocy finansowej.

**OD NAS SAMYCH ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE !**

**Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICyny WYDAWNICZEJ**

ukazały się :

- |                       |                                                                |
|-----------------------|----------------------------------------------------------------|
| Stanisław Barańczak   | JAWIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE                                       |
| Władysław Bienkowski  | SOCJALIZM PO 60 LATACH                                         |
| Kazimierz Brandys     | NIERZECZYWIŚĆ                                                  |
| Josif Brodski         | WIERSZE I POEMATY                                              |
| Józef Czapski         | WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE                                      |
| Jerzy Ficowski        | GRYPŚ                                                          |
| Władysław Gnomacki    | TOW. SZMACIAK                                                  |
| Witold Gombrowicz     | WSPOMNIENIA POLSKIE                                            |
| Bohumil Hrabal        | ŻYCIĘ GŁOSNA SAMOTNOŚĆ                                         |
| Fawst Jasienica       | ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ                                    |
| Zdzisław Jaskuła      | DWA POEMATY                                                    |
| Wieniedikt Jerofiejew | MOSKWA - PIETUSZKI                                             |
| Tadeusz Konwicki      | KOMPLEKS POLSKI (Zapis N 3)                                    |
| Andrzej Kijowski      | NIEDRUKOWANE                                                   |
| Jacek Kuron           | ZASADY IDEOWE MYŚLI O PROGRAMIE,                               |
|                       | UWAGI O STRUKTURZE RUCHU                                       |
| Antoni H. Liehm       | NOWA UMOWA SPOŁECZNA                                           |
| Adam Michnik          | CIEŃ ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW                                     |
| Czesław Miłosz        | TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY                              |
|                       | KRÓL POPIEL I MIASTO BEZ IMIENIA                               |
| Osip Mandelsztam      | POŹNE WIERSZE                                                  |
| Maria Ossowska        | O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI                              |
| Józef Piłsudski       | BIBUŁA                                                         |
| George Orwell         | FOLWARK ZWIERZĘCY                                              |
| Jan Strzelecki        | ZAPISKI 1950-1953                                              |
| Marek Tarniewski      | POCHODZENIE SYSTEMU ; DZIAŁANIE                                |
| Piotr Wierzbicki      | CYRK I PRZYSZŁOŚĆ                                              |
| Kazimierz Wierzyński  | CZARNY POLONEZ                                                 |
| Witold Wirpsza        | POLAKU, KIM JESTEŚ ?                                           |
| Wiktor Woroszyński    | JESTEŚ I INNE WIERSZE                                          |
|                       | +Antysemityzm + Dwie rozmowy + Uwagi o sytuacji gospodarczej + |
|                       | +Eurokomunizm + Nocne rozmowy z Josefem Smrkovským + Z księgi  |
|                       | zapisów GUKPPiW + Słownik domowy i uliczny + Słownik warchola  |
|                       | + Dokumenty bezprawia + Opracowania PPN + Pakty Praw Człowieka |
|                       | + Obywatela + Język propagandy - zęzył TKN + KULTURA - wybór   |
|                       | z rocznika 1978 +                                              |
|                       | + Nakładem NOWEJ ukazują się kwartalniki literackie -          |
|                       | ZAPIS I PULS                                                   |